TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI
Wojciech Waglewski o żałobie i zachwycie
Papież nie wierzy w AI
Ile jest warta praca artystów
Polski paszport w cenie
Bałtyk, jakiego nie znacie

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 2 – 9 czerwca 2026 | nr 23 (4013)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Gdy twój bliski cierpi psychicznie

JAK CI, KTÓRZY TOWARZYSZĄ I WSPIERAJĄ, MOGĄ ZADBAĆ O SIEBIE | ANNA GOC: STR. 10–15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

RAINBOW

R.pl



URLOP BEZ BAGAŻU?

Ponad 80% Polaków stresuje się powrotem do obowiązków już na wakacjach*. Może dlatego **tylko 1/3** z nas wraca z urlopu wypoczęta.

Sprawdź, jak Ty wypoczywasz i jak robić to lepiej na:

urlopbezbagazu.pl |

*źródło: Badanie „Rola odpoczynku w higienie psychicznej Polaków”, N=1000

REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kultura to nie dodatek
MONIKA OCHĘDOWSKA, PIOTR KOSIEWSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Jak zostać Polakiem
MAREK RABIJ: *W ślad za rosnącym prestiżem paszportu i znaczeniem gospodarki przybywa chętnych na polskie obywatelstwo. Władze próbują zahamować ten trend*

20 Przystanek Jasionka
JACEK TARAN: *Do medycznego hubu pod Rzeszowem trafiają ranni i chorzy obywatele Ukrainy*

23 Demokracja w dole
MAREK KĘSKRAWIEC: *Czy odwołanie prezydenta Krakowa to początek referendalnej fali*

■ ■ ROZMOWA

26 Jak John i Lennon



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

ROZMOWA Z WOJCIECHEM WAGLEWSKIM: *Raz jest lepiej, raz gorzej. Oprócz kolegów, bardzo pomogła mi dyscyplina. Do życia podchodzę zadaniowo*

■ ■ ŚWIAT

32 Sto tysięcy twarzy
MIŁKA FIJAŁKOWSKA: *Półtora roku po upadku Asada Syryjczycy wciąż szukają zaginionych podczas wojny i próbują uwolnić się z traumy*

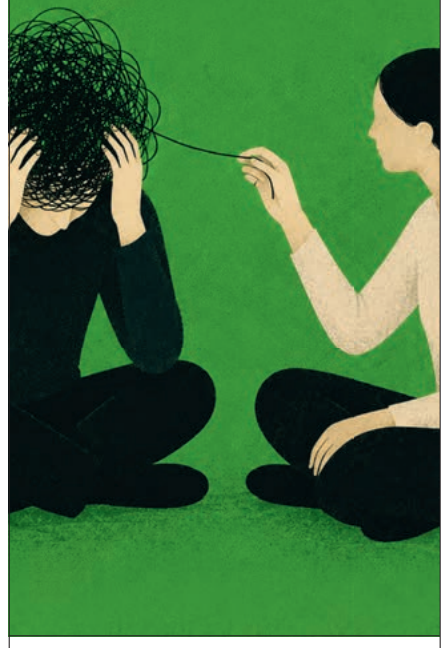
36 Rok z Merzem
KAMIL FRYMARK: *Kanclerz Merz obiecywał nowy początek, ale napotyka więcej rozczarowania niż wdzięczności. Beneficjentem tych nastrojów jest AfD*

38 Ludzie od ostrzy
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *W Hiszpanii ten zawód znika. Rozmawiamy z ostatnimi ostrzycielami noży*

41 Tygodnik Czytelników

TEMAT TYGODNIKA

10 Gdy twój bliski cierpi psychicznie
ANNA GOC
Co czwarty dorosły Polak doświadczył zaburzeń. Jeśli doliczyć rodziny i bliskich, problem dotyka każdego z nas. Jak ci, którzy towarzyszą i wspierają, mają zadbać o siebie?



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■

25 OLGA DRENDA
51 ZUZANNA RADZIK
61 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ WIARA

42 Proroctwo Leona



ALESIA GIULIANI / IMAGO / EAST NEWS

PIOTR POPIOŁEK: *Czy AI to nowa wieża Babel? Encyklika „Magnifica humanitas" wyznacza moralny kurs w epoce cyfrowego chaosu*

45 Jak rozbroić AI
SYLWIA CZUBKOWSKA: *Papież mówi „sprawdzam"*

47 Katolicy z przyzwyczajenia
ADRIAN BURTAN: *Samo przywiązanie do chrześcijańskiej kultury i tradycji nie wystarczy, by ocalić polską religijność*

50 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

52 Tkaczki dziejów
ROZMOWA Z DAISY DUNN: *Historię starożytności pisały też kobiety*

■ ■ HISTORIA

58 Odyseusz z Galicji
PIOTR HAPANOWICZ: *Józef Wittlin, twórca ważny, twórca nieznany*

■ ■ KULTURA

64 Przepiórki i pieczarki
ROZMOWA Z ALICJĄ KOBZĄ: *Czy osiągnięcie rozpoznawalnego stylu jest mistrzostwem? O graficzkach z PRL*

68 Beethoven boso
DOROTA KOZIŃSKA: *W sali koncertowej wciąż jesteśmy oceniane nie tylko w kategoriach rzemiosła muzycznego, ale też stosowności wyglądu i zachowania*

70 To, co boli
PIOTR KOSIEWSKI: *Polaków i Niemców łączy coraz mniej. Widać to także w tegorocznym Miesiącu Fotografii*

73 Polecamy

74 Matki i córki
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Młode matki" braci Dardenne*

75 Inna wojna
LEKTOR *o książce „Delfiny i Belzebub" Wojciecha Tochmana*

■ ■ ZMYSŁY

78 Morze jest mokre
ADAM ROBIŃSKI: *Choć jego materialność zagadujemy mirażami, nad Bałtykiem wszyscy jesteśmy polodowcowi*

KS. ADAM

Boniecki: *Kiedy cierpi dziecko*

Wiem, że ich ukrywali. Nie wiem, czy ze wstydu, czy chcąc oszczędzić im niefortunnego zainteresowania, czy z innych powodów. Wiem, że prowadzali ich na spacer po zmroku, albo wcale ich nie prowadzali. Może wydawało im się, że to kara Boża? Nie wiem, zresztą nigdy ich na tych nocnych wycieczkach nie spotkałem. Słyszałem, że trzymano ich w oborze czy w jakiejś komórce, nie w domu. Że mówiono o nich okrutnie: „nienormalni".

Ile lat temu to było? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Może jeszcze dawniej. Od tego czasu wiele się zmieniło. Mam nadzieję, że teraz nikt już tak nie postępuje. Wiem, że lekarze czasem ostrzegają jeszcze przed urodzeniem dziecka i rodzice wtedy dochodzą do wniosku, że jeśli ma być „taki", to niech się nie rodzi. Ale nie wszyscy tak mówią, nie wszyscy też wiedzą, co będzie. Czasami dzieje się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć. Tego nie sposób sobie wyobrazić. Jest miłość do dziecka, a jednocześnie znużenie, zmęczenie, czasem irytacja. Niech nie ocenia nikt, kto tego nie przeżył.

Myślę jednak, że dokonał się tu wielki postęp. Zmiana mentalności rodziców, którzy dziś po prostu wiedzą, że nie są jedynymi dotkniętymi taką próbą, że coś można z tym zrobić, poszukać pomocy. Problemem jest rozpoznanie sytuacji, pogodzenie się z faktem i znalezienie możliwie najlepszego miejsca na terapię.

Czasem jednak trudno zauważyć, że terapia jest potrzebna. Czasem trudno się zorientować, np. odróżnić dziecko



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *Ktoś ci musi pomóc z boku*

Zwykle mówię, że nie wolno mnie o to pytać. A tobie nie mówiłem, że nie wolno?" – pyta **WOJCIECH WAGLEWSKI WOJCIECHA BONOWICZA,** dotykając niepokoju towarzyszącego od czerwca 2025 r. wielu ludziom, dla których solowa płyta „Gra-żonie" albo nagrana z Voo Voo piosenka „Gdybym" służyły za wehikuł tylu miłosnych wyznań. „Jak on się trzyma?", zadawali po cichu pytanie, które na głos wypowiada teraz nasz felietonista. Jak i o co pytać kogoś, kto cierpi z powodu straty?

Refren piosenki „Bujam się" z nowej, nagranej już po śmierci Grażyny Waglewskiej płyty Voo Voo – „ktoś ci musi pomóc z boku / podać choć palca koniec / zanim pogrążysz się w mroku / nim utoniesz" – towarzyszył mi nie tylko podczas lektury rozmowy dwóch Wojciechów. Otwierający ten numer „Tygodnika" tekst **ANNY GOC** jest właśnie o tym: o towarzyszeniu osobom pogrążającym się w mroku, bólu, chorobie. „Dla nas, bliskich cierpiących psychicznie ważne jest

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 31
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

(wydawałoby się) rozkapryszone od dziecka potrzebującego wsparcia. Myślę, że dobrze robią ci, którzy szukają opinii specjalisty, zwłaszcza że – to obserwacja laika – w etapach rozwoju człowieka różne są etapy, a niektóre z nich mogą zamienić się w kryzys.

Różne bywają trudności, czasem naprawdę przekraczające siły młodego organizmu. Np. rozpad związku rodziców: dziecko, dla którego byli zawsze, w krótkim jeszcze życiu opoką, nagle traci oparcie. Konfliktu, jaki powstaje między dorosłymi, nie da się przecież przed nim ukryć. Często winę przypisuje sobie, a jeśli nawet nie, to bezradność, udawanie, że nic nie widzi, inne, pozornie drobne fakty stają się ciężarem ponad siły. Czasem oznacza to nagłe zaniedbanie w szkole, czasem smutek wyładowuje się w tym, że dziecko staje się nieznośne, nie mówiąc o reakcjach najcięższych...

Na szczęście nie zawsze tak bywa, to zresztą tylko przykład jednej z wielu trudnych sytuacji. Przecież dzieci dopiero zaczynają swój pobyt na tym łez padole, nie mają ani doświadczeń, ani nie zdążyły nabrać właściwej dla dorosłych (czy zawsze?) odporności. Dzisiejszy świat im nie sprzyja – ale czy sprzyjał kiedykolwiek?

Nie piszę tu podręcznika, od tego są ludzie kompetentni. Chcę tylko powiedzieć, że odpowiedzialność najbliższych za dziecko jest ogromna. Nie jest więc żadną przesadą zasięganie rady specjalisty. Zawsze lepiej zrobić to wcześniej niż zbyt późno. Nawet jeśli się okazuje, że to normalny etap rozwoju. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

to, żeby pojawił się »ktoś trzeci« – zauważa jeden z rozmówców autorki, **BŁAŻEJ KMIECIAK.** – I podkreślam to jako ojciec córki, która przeszła kryzys psychiczny, brat siostry, która choruje psychicznie i człowiek, który ma na co dzień kontakt z chorującymi i ich rodzinami. A także dorosły mężczyzna, który sam przeszedł kryzys”.

Osobą, która wesprze, może być psycholog, terapeuta, ekspert z telefonu kryzysowego, mądry lekarz rodzinny, ale także ktoś będący w podobnej sytuacji – a z tekstu Ani wynika, że są nas miliony. Miliony, które potrzebują także pamiętać o sobie i o wsparciu dla siebie.

„Ważne, by nie zostać z tym samemu” – podkreśla Błażej Kmieciak. Także dlatego, że „nasza miłość do najbliższych, którzy chorują, nie ma polegać na tym, że się z tej miłości sami spalamy. Tylko że szukamy dla nich pomocy, ale dbając o siebie, uczymy się także stawiania granic chorobie”.

„I nie pytaj jak to jest / i czyja to wina / w niewiedzy wszystko się kończy / i od niewiedzy zaczyna” – to jeszcze jeden cytat z „Bujam się”. Wyznam, że słowa piosenki też potrafiły mi pomóc. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP”, autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MONIKA OCHĘDOWSKA
Jakie uczucia wobec naszych sąsiadów i wobec Europy można wyczytać z literatury polskiej ostatniego piętnastolecia?

JONATHAN WILSON
W USA, Kanadzie, Meksyku zaczynają się piłkarskie mistrzostwa świata: święto komercji, polityki... czy także sportu? Czy kulturalny człowiek może je oglądać bez poczucia winy?



MICHAŁ WALKIEWICZ
W jakiej formie wraca Steven Spielberg

PATRYCJA BUKALSKA
Na stacji Arctowskiego, czyli 50 lat polskich misji w Arktyce

DOMENA PUBLICZNA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

25–29 MAJA 2026

„BOHATEROWIE UPA” – nowa nazwa jednej z ukraińskich jednostek wojskowych wywołała kryzys w stosunkach Kijów-Warszawa. Rzecznik polskiego MSZ stwierdził, że decyzja prezydenta Zełenskiego o użyciu takiej właśnie nomenklatury rani pamięć o ofiarach UPA i może być wykorzystana przez propagandę Kremla. ■■■ **ROSYJSKI DRON** wleciał w rumuńską przestrzeń powietrzną i rozbił się na dachu bloku mieszkalnego, lekko raniąc dwie osoby. Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała w związku z tym przyspieszenie prac nad 21. pakietem sankcji wobec Moskwy. ■■■ **KOMISJA EUROPEJSKA** nałożyła 200 mln euro kary na chińską platformę handlową Temu, która łamie unijne przepisy o usługach cyfrowych, m.in. sprzedając niespełniające standardów bezpieczeństwa zabawki dla dzieci. ■■■ **USA-IRAN:** wciąż bez porozumienia, choć amerykańscy politycy deklarują, że jest ono blisko; sporne kwestie dotyczą nadal irańskiej polityki nuklearnej i zapasów wzbogaconego uranu. ■■■ **REŻIM KUBAŃSKI** może upaść tego lata – twierdzi portal Axios, powołując się na źródła w Białym Domu. ■■■ **POLSKA I WIELKA BRYTANIA** podpisały traktat o partnerstwie w dziedzinie bezpieczeństwa i obronności. Szeroko omawiany w polskich i praktycznie niezauważony w brytyjskich mediach dokument wzbudził zastrzeżenia Kancelarii Prezydenta, która o rządowych planach w tej kwestii dowiedziała się zbyt późno. ■■■ **NOWY I PREZES** Sądu Najwyższego, Zbigniew Kapiński, podzielił z kolei obóz polskiej prawicy. Liderzy PiS oraz niedawny współpracownik prezydenta Sławomir Cenckiewicz mają za złe Karolowi Nawrockiemu, że podpisał się pod nominacją sędziego, który w 2000 r. uznał, że Lech Wałęsa złożył prawdziwe orzeczenie lustracyjne. ■■■ **ARTYŚCI** dzielą opinię publiczną: rząd przyjął projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym osób wykonujących zawód artystyczny, wprowadzający ubezpieczenia społeczne dla przedstawicieli tego fachu o najniższych dochodach. W mediach społecznościowych trwa burza wokół tej sprawy: populistyczni politycy i influencerzy nazywają np. zawód aktora „pajacowaniem”. ■■■ **KOMISARZ W KRAKOWIE**. W związku z odwołaniem w referendum Aleksandra Miszalskiego, do wyborów nowego prezydenta miastem będzie zarządzał dotychczasowy wiceprezydent, doświadczony samorządowiec Stanisław Kracik. ■■■ **ZADOWOLONY JAK POLAK.** 35 proc. badanych przez CBOS uważa, że sytuacja w kraju zmierza w dobrym kierunku, odmiennego zdania jest 43 proc., a 22 proc. nie ma zdania. Odsetek niezadowolonych jest obecnie najniższy od dwóch lat. ■■■ **GWIAZDKI MICHELINA.** Liczba polskich restauracji wyróżnionych w prestiżowym konkursie gastronomicznym wzrosła do jedenastu; jeden z docenionych lokali znajduje się w Pszczynie. ■■■ **ODŁÓW NIEDŹWIEDZI** na Podkarpaciu: schwytano osiem osobników, którym założono obroże GPS. Najbardziej uciążliwe dla ludzkich siedzib drapieżniki relokowano. ©℗



RAFAŁ GUZ / PAP

KULTURA TO NIE DODATEK

POWYŻEJ: Monika Drożyńska z haftem „Praca artystyczna to praca” – głosem w debacie o wynagrodzeniach dla artystów. Gala Paszportów Polityki 2025, 10 stycznia 2026 r.

Rząd chce ubezpieczeń dla artystów o niskich dochodach. Polski internet odpowiada gniewem. Tymczasem kultura generuje 3,5 procent PKB Polski.

PIOTR KOSIEWSKI, MONIKA OCHĘDOWSKA

Rząd przyjął projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów zawodowych, a polski internet odpowiedział jednym z najbardziej jednoznacznych dyskursów ostatnich tygodni” – tak dyskusję z ostatnich dni podsumował Kolektyw Analityczny Res Futura. Wniosek: zero społecznego poparcia dla zmian. Zjednoczyliśmy się w wyrażaniu dezaprobaty, pogardy i gniewu, gdy dowiedzieliśmy się, że muzycy, kompozytorki, malarze lub aktorki otrzymają możliwość ko-



To się opłaca

KULTURA I PKB ▪ Wkład sektora kultury do PKB wynosi 3,5 proc., czyli niemal tyle, ile generuje sektor hotelarski i gastronomiczny. Odpowiada też za ok. 300 tys. miejsc pracy.

Europa nie wróci do dominacji w taniej produkcji masowej. Konkurencja o wpływy będzie dotyczyć nowoczesnych technologii oraz definiowania globalnej wyobraźni kulturowej. Ignorując artystów rezygnujemy z udziału w tym wyścigu. Także w naszym regionie, który już dawno rolę kultury dla gospodarki zrozumiał. Świetnym przykładem i wzorem do naśladowania może być Litwa.

Musimy dostrzec, że kultura to – podobnie jak transport czy przemysł – element infrastruktury publicznej, a nie zbędny luksus czy sposób na życie tych, którzy nie poradzili sobie w innych branżach.

rzystania z bezpłatnej opieki zdrowotnej czy urlopu macierzyńskiego bez względu na rodzaj umowy, którą otrzymują od swojego pracodawcy.

ILE ZARABIA ARTYSTA | Według danych przedstawionych przez MKiDN grupa, o której mowa, to nieco ponad 60 tys. osób (choć sektor kultury zatrudnia dziś 300 tys. ludzi). W Polsce tylko nieco ponad 10 proc. artystek i artystów jest zatrudnionych na umowy o pracę, niecałe 20 proc. prowadzi działalność gospodarczą, a mniej niż 15 proc. utrzymuje się z umów-zleceń. Pozostali żyją z umów o dzieło. Oznacza to, że ubezpieczenie posiada mniej niż połowa osób wykonujących zawód artystyczny. Dwie trzecie tej grupy ma przychody poniżej średniej krajowej, a jedna trzecia dostaje co miesiąc na konto mniej niż wynosi wynagrodzenie minimalne przy umowie na etat (to 3606 zł netto).

Projekt ustawy – tak zhejtowanej w debacie publicznej – przewiduje, że dopłaty do składek otrzymają tylko osoby o najniższych dochodach. Warunkiem do ich otrzymania byłoby też uzyskanie statusu artysty zawodowego, o czym ma orzekać Centrum Edukacji i Pracy Artystycznej na podstawie opinii środowiska artystycznego. W projekcie ustawy zostały też wyznaczone rygory dochodowe: osiągany w trzech poprzednich latach podatkowych zarobek nie może przewyższyć 125 proc. wynagrodzenia minimalnego w roku złożenia wniosku (obecnie to ok. 72 tys. zł rocznie). Dodatkowo w tym czasie artysta musi osiągnąć dochody związane z wykonywaniem zawodu artystycznego.

PALIWO NIECHĘCI | Nasze państwo nie będzie więc płacić „za czyjeś hobby ani nieudolne zarządzanie własnymi finansami". Tymczasem taka właśnie narracja zdominowała dyskusję w mediach oraz mediach społecznościowych, zbierając – jak przedstawiła w swojej analizie Res Futura – prawie 90 proc. poparcia opinii publicznej.

Ponieważ w tym samym tygodniu odbył się protest polskich naukowców, dowiedzieliśmy się, że humanistyka i nauki społeczne również nie zasługują na finansowanie. Niechęć internetu skierowana była zarówno wobec konkretnych badaczek – z wyraźnym komponentem mizoginicznym – jak i wobec środowiska akademickiego jako całości. Paliwo tej niechęci? Przekonanie o marnotrawstwie publicznych pieniędzy. Ta emocja jest wyjątkowo podatna na instrumentalizację, z czego najwyraźniej nie zdają sobie sprawy rządzący. Nie zrobili też nic, by sprostować szkodliwe narracje.

MNIEJ KONKRETNA? | Nic dziwnego, przecież także wielu naszych polityków traktuje kulturę jako „dodatek" do gospodarki, a nie jako jej część – choć realnie wpływa ona na PKB, miejsca pracy, innowacje i turystykę. Cenimy sobie produkcję, przemysł, infrastrukturę, technologie. Kultura wydaje się mniej „konkretna". Łatwiej politycznie uzasadnić budowę drogi niż finansowanie biblioteki, choć zarówno drogi, jak i biblioteki wpływają na rozwój regionu.

Dlaczego wpływają? Ponieważ kultura ma silny efekt mnożnikowy, dokładnie zbadany przez ekonomistów. Napędza turystykę, hotelarstwo, gastronomię, rozwój lokalnych usług. Festiwale muzyczne czy inicjatywy artystyczne przyciągają zarówno publiczność, jak i kapitał. To zjawisko dobrze widać w regionach, które świadomie łączą kulturę z rozwojem gospodarczym.

Jeśli potrzebujemy zagranicznych przykładów zmyślnego inwestowania w kulturę, warto spojrzeć nie tylko na Hollywood, ale też np. na Koreę Południową. Jej muzyka (k-pop), seriale (k-drama), moda (k-fashion), kuchnia (k-food) i gry komputerowe generują miliardy dolarów przychodów rocznie. Szacowano, że wpływ jednego tylko zespołu muzycznego na gospodarkę Korei można porównywać do wpływu dużych firm przemysłowych. Wiele osób zaczęło interesować się Koreą właśnie za sprawą jej kultury: dziś uczą się języka, odwiedzają Seul, kupują koreańskie kosmetyki (dostępne też w polskich drogeriach).

PIERWSZY KROK | Jak wyliczył Polski Instytut Ekonomiczny, wkład naszej kultury do PKB wynosi obecnie 3,5 proc., czyli niemal tyle, ile generuje sektor hotelarski i gastronomiczny. Odpowiada też za ok. 300 tys. miejsc pracy. Co więcej, w przyszłości ten sektor będzie mieć dla gospodarki coraz większe znaczenie: Europa będzie bowiem konkurować ze światem głównie w obszarze myśli twórczej i innowacyjności. Gdzie wtedy będziemy bez wsparcia dla osób odpowiedzialnych za ich rozwój?

Przyjęcie przez rząd projektu ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów to zaledwie pierwszy krok. Kluczowe będą teraz prace w Sejmie i Senacie. Pozostaje mieć nadzieję, że obozowi władzy wystarczy rozumu i determinacji, by ustawę – wbrew tej niechęci – uchwalić. O ile ten obóz rozumie, po co w ogóle ją przyjął. ©℗



Sukces i jego cena

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

Ma w swoich rękach życie wielu ludzi. Niewysoka, 24 lata, z włosami w kolorze ciemnego złota. Przewieszony chlebak z przypiętymi gadżetami: jakiś motylek, coś o miłości. Polowe spodnie i kapelusik multicam to jedyne atrybuty militarne. Powiedziałbyś: zwykła dziewczyna, może studentka.

Nie tak zwyczajna. Wioletta, owszem, studiuje (zaocznie, 4. rok medycyny). Na co dzień zaś dowodzi punktem medycznym batalionu Alter Ego. Batalion, przynależny do brygady Chołodnyj Jar, to jednostka NRK: *nazemnych robotyzowanych kompleksiw*, tj. lądowych robotów. Amerykański generał, twórca „Pustynnej Burzy", mawiał, że logistyka nie jest wszystkim, ale bez logistyki wszystko jest niczym. Parafrazując: ludzie z Alter Ego nie zrobią roboty za innych, ale bez nich nic nie byłoby możliwe.

Także bez Wioletty i jej podkomendnych, sanitariuszy pierwszej linii. Roboty naziemne: na najcięższych odcinkach frontu (oni są na takim) logistyka odbywa się właśnie nimi. Również ewakuacja rannych. Aby robot jechał, trzeba ładować baterię, do tego potrzebny jest dobry agregat. Wioletta taki otrzymała, w maju – jeden z tych, które pojechały w naszym ósmym transporcie humanitarnym w tym „sezonie" zimowo-wiosennym. Był też mobilny sterylizator narzędzi chirurgicznych – dla stabpunktu, którym kieruje Roman, naczmed brygady na pograniczu obwodu dniepropietrowskiego i Donbasu.

Brygady Wioletty i Romana mają udział w sukcesie, który odnieśli obrońcy: zestawiając teren, jaki Rosja zajęła i utraciła na skutek kontruderzeń w minionych miesiącach, wychodzi zero. Wygląda też na to, że ukraińskie drony mają znów przewagę: paraliżują logistykę na zapleczu frontu (np. szlak Mariupol-Krym), a głęboko w Rosji „egzekwują" sankcje naftowe (te, które Trump zawiesił w marcu) i zmusiły Putina do proszenia o rozejm na 9 maja.

Oni, Wioletta i Roman, ze swej „perspektywy żaby" widzą tego cenę: stały strumień zabitych i rannych, w skali frontu kilkuset dziennie. Nawet jeśli druga strona traci dwa razy więcej, gorzki to sukces.

Nie miejmy też złudzeń. Przy obecnym poziomie dostaw z Europy (USA nic już nie dają), to przejęcie inicjatywy potrwa do chwili, aż to, co analityka nazywa „rosyjskim cyklem innowacji", nie zniweluje znów przewagi (np. odrzutowe drony Gerań: koncept Rosji na kolejną zimę?). Na razie można mieć chwilę satysfakcji, że Putin jest osłabiony. Groźby systemowego niszczenia Kijowa (czy użycia broni jądrowej, bo i ta mantra wraca) to symptom nie siły, lecz słabości. ©℗



ARIF MURAT / GETTY IMAGES

Zniszczenia po rosyjskim ataku rakietowym na Kijów. 24 maja 2026 r.



(Nie)pokój

MAREK KĘSKRAWIEC

Zawieszenie broni między USA a Iranem ma być przedłużone o kolejne 60 dni. Połowę tego okresu zajmie Iranowi usunięcie min oraz przywrócenie żeglugi przez cieśninę Ormuz. Waszyngton będzie w tym czasie stopniowo usuwać swoją „blokadę blokady", równocześnie prowadząc z Teheranem negocjacje w sprawie utylizacji uranu oraz długości zawieszenia irańskiego programu atomowego – w zamian za zniesienie sankcji i uwolnienie zamrożonych w bankach irańskich miliardów.

Główny warunek jest jeden. Iran musi zobowiązać się do nieposiadania broni jądrowej – choć przed wojną żadna z 18 amerykańskich agencji wywiadowczych nie twierdziła, by aktywnie nad nią pracował. Ten fakt, ciągle ignorowany przez Donalda Trumpa i jego otoczenie, sprawia, że mamy do czynienia z najbardziej absurdalną wojną, jaką USA toczą od czasów Wietnamu. Cierpi przez nią cały świat, zmagając się z ogromnymi cenami energii oraz nawozów, co niszczy gospodarki wielu krajów, a dla tych najbiedniejszych oznacza groźbę głodu.

Przedłużenie rozejmu to dobra wiadomość dla świata. Choć równie dobrze może nie mieć znaczenia, nawet jeśli podpisany zostanie trwały pokój. Trump potrafi zmieniać zdanie kilka razy dziennie, a swych zobowiązań nie traktuje poważnie. Każdą umowę może przecież renegocjować, przy okazji strasząc adwersarza – jak ostatnio Oman – całkowitym zniszczeniem.

Kraje arabskie, które pozwoliły, aby z ich terytoriów atakować Iran, a potem stały się celem odwetu, dziś marzą (z wyjątkiem Emiratów) o pokoju, bojąc się, że kolejna eskalacja doprowadzi je do klęski cywilizacyjnej: zniszczenia infrastruktury naftowej i gazowej, na których się opierają. Uświadomiły sobie też, że (okupiona miliardowymi inwestycjami w Stanach) tarcza ochronna w postaci amerykańskich baz jest dziś niemal fikcją, bo większość z nich została mocno zniszczona przez irańskie rakiety. Waszyngton nie czuje się winny zamieszania, za to ciśnie państwa arabskie, by znormalizowały stosunki z Izraelem, co przy jego brutalnej ofensywie w Libanie i planach stałej okupacji 70 proc. Strefy Gazy wygląda jak siarczysty policzek.

Tak naprawdę tylko Tel Awiw chciałby dziś kontynuacji wojny. Ale to ryzykowna strategia, niszcząca reputację Izraela na całym świecie. Oraz niebezpieczna w obliczu potężnych i coraz bardziej nieprzyjaznych krajów regionu, jak Egipt, Turcja i Pakistan. ©℗

Trump rusza po Księżyc



NASA

Wizualizacja przyszłej bazy NASA na Księżycu

KOSMOS ▪ Plany kolonizacji Księżyca przedstawione w zeszłym tygodniu są imponujące. Dziesiątki lądowań, autonomiczne łaziki, reaktory jądrowe i rój robotów przygotowujących teren pod obecność ludzi. To ma być baza na dziesięciolecia, a jej budowa ma ruszyć w tym roku.

Najcenniejszym miejscem na Księżycu jest dziś jego południowy biegun. W stale zacienionych kraterach prawdopodobnie znajdują się znaczne ilości zamarzniętej wody, z której NASA chce w przyszłości pozyskiwać wodę pitną, tlen i paliwo rakietowe.

W ciągu dekady agencja zakłada ok. 80 lotów. Na Księżyc mają trafić habitaty, pojazdy transportowe, systemy energetyczne, koparki i urządzenia do przetwarzania surowców. Baza ma przypominać rozproszone miasteczko. Niewielkie roboty stworzą mapę terenu i wyznaczą granice bazy. W praktyce będzie to pierwsza próba wydzielenia na Księżycu własnego terytorium. Że zabrania tego ONZ-owski Traktat o Przestrzeni Kosmicznej? Oficjalnie będzie to „wyłączna strefa działalności".

Projekt ma więc wyraźny wymiar polityczny. Administracja Donalda Trumpa otwarcie mówi o nowym wyścigu kosmicznym z Chinami. Pekin planuje wysłać ludzi na Księżyc około 2030 r. Jared Isaacman, administrator NASA, przekonuje, że „różnica między sukcesem a porażką będzie liczona w miesiącach, nie latach".

USA są dziś na prowadzeniu: Artemis II był pierwszym załogowym lotem wokół Księżyca od przeszło pół wieku. Jednak NASA wciąż nie ma lądownika księżycowego. Budowany przez Elona Muska Starship nadal nie wykonał pełnego lotu orbitalnego, a program ma opóźnienia. Konkurencyjny Blue Moon Jeffa Bezosa także nie ma działającego prototypu.

Teraz Bezos zaserwował NASA kolejne, potencjalnie katastrofalne opóźnienie. Jego rakieta New Glenn, która jeszcze w tym roku miała wynieść pierwszą misję przygotowującą bazę, eksplodowała w piątek w nocy na Przylądku Canaveral, niszcząc wyrzutnię. Dochodzenie i odbudowa instalacji mogą potrwać wiele miesięcy. Cały księżycowy plan może przesunąć się o lata.

A opóźnienia są dla bazy śmiertelnym zagrożeniem, bo NASA jest bardzo podatna na wpływy polityczne. Zaledwie dwa dni po starcie Artemis II Biały Dom zaproponował cięcie budżetu agencji o ok. 5,6 miliarda dolarów, czyli 23 proc. Historia amerykańskich programów kosmicznych pełna jest ambitnych projektów, które kończyły się wraz ze zmianą administracji.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



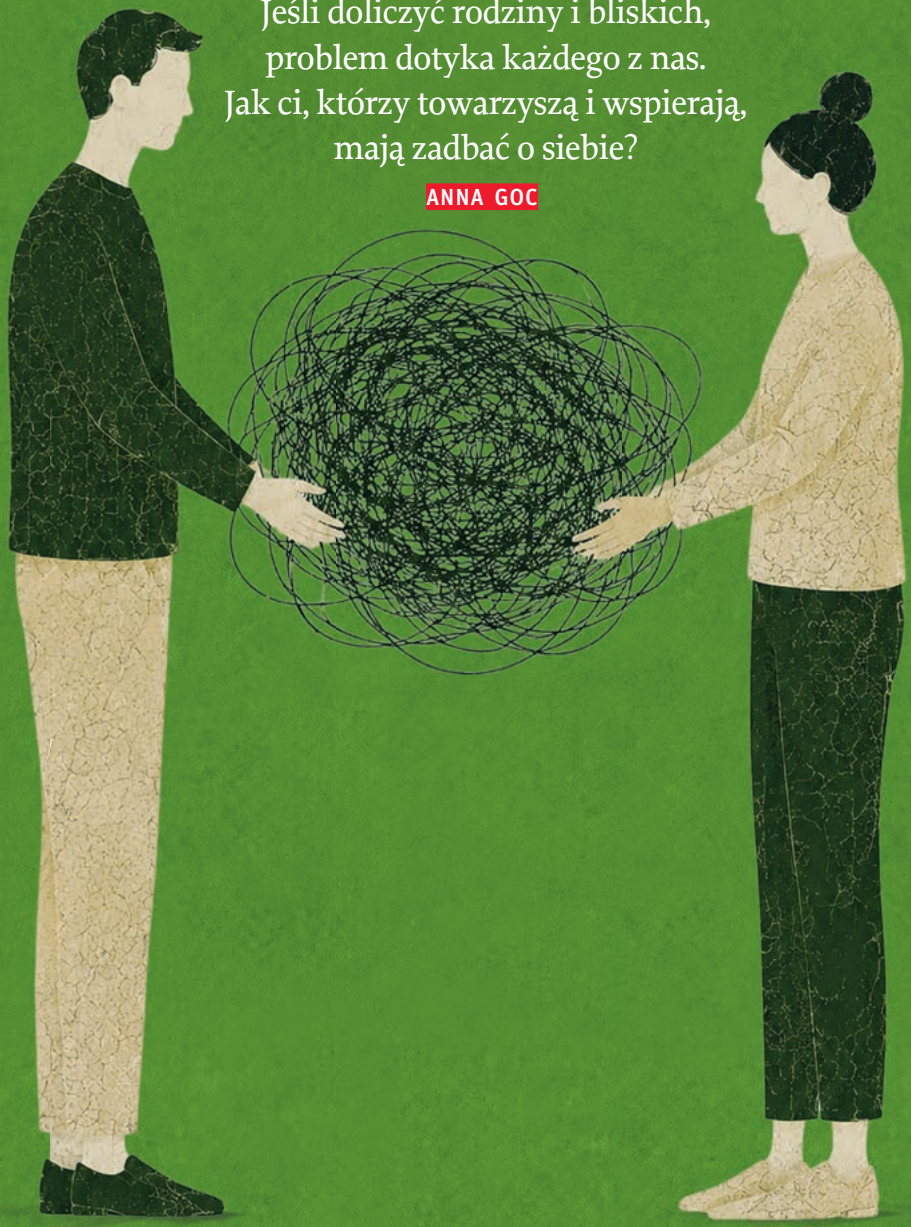
Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

GDY TWÓJ BLISKI CIERPI PSYCHICZNIE

Co czwarty dorosły Polak doświadczył zaburzeń psychicznych. Jeśli doliczyć rodziny i bliskich, problem dotyka każdego z nas. Jak ci, którzy towarzyszą i wspierają, mają zadbać o siebie?

ANNA GOC



Jestem Hania, a to moja historia. W wieku 13 lat zachorowałam na depresję. Cięłam się i biłam, żeby mniej czuć, jak boli. Potem przyszedł strach i zmęczenie. Ataki paniki do nieprzytomności. Podejrzenie dwubiegunowości. W światowy dzień walki z depresją proszę, nie bądź obojętny, nie bądź sam".

Hanna Kmieciak, córka Błażeja Kmieciaka, opublikowała swoją historię w mediach społecznościowych w 2023 r. „Proszę o przemyślenie, nie ocenianie. Na celu mam poszerzenie świadomości, że depresja to nie smutek, to nie wymysł, to nie wada – to choroba. Patrzcie na waszych bliskich, od 2021 r. samobójstwo popełniło średnio ponad 5,2 tys. osób. Zadbaj o uśmiech swój i swoich bliskich, pomóż gdy tego potrzeba" – napisała. I podała numery telefonów zaufania, z których mogą skorzystać osoby w kryzysie.

– Tej choroby nie można zobaczyć w wynikach badań, nie da się jej zlokalizować w ciele, odpowiedzieć na pytanie o przyczyny. Nagle pojawia się tajemnica, która dotyczy najbliższej nam osoby – mówi Błażej Kmieciak, który przez lata pracował m.in. jako rzecznik praw pacjenta szpitala psychiatrycznego, przewodniczący Państwowej Komisji ds. pedofilii, a od 2025 r. główny koordynator ds. ochrony zdrowia psychicznego w Biurze Rzecznika Praw Pacjenta.

Gdy pytam o tamten czas, opisany przez jego córkę, dobiera słowa ostrożnie. – Trwała pandemia. Hania przez jakiś czas właściwie nie wychodziła z pokoju. Nie było momentu, żebym nie chciał do niej wejść i być obok. Jednocześnie wiedziałem, że ona całą sobą krzyczy, żeby zostawić ją w spokoju. To jest trudne, bo każda sytuacja jest inna i każda zależy od specyfiki choroby. Ale być może nawet wtedy, gdy dziecko mówi, żebyśmy „wypieprzali", w głębi myśli i czuje: „bądźcie" – opowiada Kmieciak.

I dodaje: – Przez cały ten czas sprawdzałem, czy ona tam jeszcze jest. Czułem, że potrzebuje wsparcia. Po latach wiem, że my – bliscy chorujących – też go potrzebujemy. Ale o ile telefony wsparcia dla dzieci są, to jako dorosły mężczyzna, który przeżywa własny kryzys, nie wiedziałbym, gdzie zadzwonić po pomoc.

Zaburzenia psychiczne diagnozuje się dziś coraz szybciej i leczy coraz skuteczniej. Przestają one też powoli stanowić tabu: jeśli chorujący decydują się publicznie opowiedzieć o tym, czego doświadczają, możemy poznać ich perspektywę. Jest jednak jeszcze jedno doświadczenie, równie ważne – ich bliskich. Rodziców, partnerów, dzieci, rodzeństwa.

Jak ci, którzy wspierają chorujących, mogą zadbać o siebie?

Historia ośmiu milionów osób

– Co czwarty dorosły w Polsce doświadczył zaburzeń psychicznych. Mówimy więc o ponad ośmiu milionach osób – podsumowuje dr Jacek Moskalewicz, redaktor naukowy wspólnie z prof. Jackiem Wciórką raportu „Kondycja psychiczna mieszkańców Polski", który ukazał się w 2021 r. i jest najobszerniejszym i jednym z największych na świecie badaniem na ten temat.

Badacze z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie już po raz drugi koordynowali kompleksowe badanie stanu zdrowia psychicznego społeczeństwa i jego uwarunkowań – EZOP. Wyniki poprzedniej edycji poznaliśmy ponad dekadę wcześniej.

W pierwszej edycji badacze skoncentrowali się na osobach w wieku produkcyjnym, w drugiej poszerzyli zakres i wyodrębnili trzy grupy – dzieci do 6. roku życia, dzieci i młodzież w wieku 7-17 lat oraz dorosłych. Najpierw uczestników badania wylosowano z rejestru PESEL, potem ankieterzy umawiali się z wylosowanymi, którzy zgodzili się na udział w badaniu, na wywiady twarzą w twarz. Łącznie wzięło w nich udział ponad 12 tys. dorosłych, ponad 2,2 tys. dzieci i młodzieży w wieku 7-17 lat oraz ok. tysiąca rodziców wylosowanych dzieci do szóstego roku życia z całej Polski. Średni wywiad z dorosłymi uczestnikami badania trwał półtorej godziny, ale zdarzały się wielogodzinne.

– Skala zaburzeń i chorób psychicznych nas zaskoczyła, choć już wyniki pierwszej edycji EZOP-a uwidoczniły problem. Osiem milionów, o których mówimy, to liczba osób, które choć raz w życiu doświadczyły zaburzenia psychicznego. Szacujemy, że od dwóch i pół miliona do trzech przeżyło kryzys psychiczny w roku poprzedzającym badanie – mówi Moskalewicz. – Skala może być jednak większa, bo do tych, którzy właśnie chorują, najtrudniej dotrzeć. Także dlatego, że rodzina roztacza nad nimi parasol ochronny.

Ankieterzy pytali o choroby i zaburzenia psychiczne: depresję, epizody manii, zaburzenia lękowe, także ataki paniki, fobie, tendencje samobójcze. O chroniczne zmęczenie, zaburzenia odżywiania, natrętne myśli, czynności kompulsywne. Także o nadużywanie alkoholu i substancji psychoaktywnych. O objawy psychotyczne, hospitalizację z powodu zaburzeń psychicznych, przyjmowanie leków. Czyli o całe spektrum chorób, zaburzeń, objawów.

– Wśród najczęściej wymienianych dominowały dwie kategorie: nadużywanie substancji, zwłaszcza alkoholu, i zaburzenia nerwicowe, głównie lęki i fobie – podsumowuje Moskalewicz. – Co ważne, tzw. *treatment gap*, czyli różnica między tymi, którzy przeżywają kryzys psychiczny, a tymi, którzy w związku z tym podejmują leczenie, wynosi w Polsce blisko 80 proc. To oznacza, że specjalistyczną pomoc otrzymują zaledwie dwie osoby na dziesięć.

W wywiadach z dorosłymi uczestnikami badań nie uczestniczyli członkowie rodzin. Nie mamy więc danych dotyczących ich przeżyć i doświadczeń. Jednak autorzy opracowania zwracają uwagę na kilka wniosków, które pośrednio dają obraz sytuacji rodzinnej osób chorujących psychicznie.

Choruje cała rodzina

O kryzysach psychicznych mówią równie często kobiety, jak i mężczyźni. Wzrost liczby kryzysów i zaburzeń zbiega się z kilkoma istotnymi momentami w życiu.

Badacze zwracają uwagę na wiek 16-17 lat. – Młodzi ludzie kończą szkołę i nie zawsze są przygotowani psychicznie na podjęcie samodzielnej gry o własną przyszłość – mówi Moskalewicz. – Warto jednak pamiętać, że w tej grupie zaburzenia psychiczne są wciąż na niższym poziomie niż wśród osób w wieku 18-29 lat – dodaje.

Badacze zwrócili także uwagę na najmłodszych, czyli dzieci do 6. roku życia. W tej grupie wywiadów udzielali rodzice dzieci i dotyczyły one nie tyle kryzysów psychicznych, ile zaburzeń rozwojowych. – Wynika z nich, że nie ma znaczącej różnicy między chłopcami i dziewczynkami. Zaskoczyło nas jednak to, że zaburzeń rozwojowych u dzieci wychowanych na wsi było dwukrotnie więcej niż u dzieci ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ z miast – przyznaje Moskalewicz. – Być może to sygnał, że na wsiach wciąż brakuje instytucji, które w miastach kompensują niedostatki czy braki kompetencyjne rodziców.

Autorzy raportu zaobserwowali też ważną zmienną wśród seniorów, często wymienianych jako grupa znacznego ryzyka. – Wiemy, że zagrożenie zaburzeniami psychicznymi rośnie wraz z wiekiem. Gdy jednak rozbiliśmy okres po 60. roku życia na pięcioletnie etapy, okazało się, że najwięcej osób, które deklarują problemy psychiczne, jest tuż po 65. roku życia, co zbiega się z okresem przejścia na emeryturę. Po 70. roku liczba zaburzeń psychicznych przestaje rosnąć – mówi Moskalewicz.

W grupach ryzyka, co nie zaskakuje, są także osoby, w życiu których nastąpiły gwałtowne i trudne zmiany: straciły partnerów czy wypadły z rynku pracy.

Każda historia jest inna

Doświadczająca zaburzeń osoba zaczyna zachowywać się inaczej niż dotąd. Wcześniej chodziła do szkoły albo pracowała, prowadziła życie towarzyskie, dbała o siebie i swoje otoczenie, a teraz może obawiać się wyjść z domu. Staje się podejrzliwa. Może mieć urojenia. Mogą nie cieszyć ją rzeczy, które dotąd sprawiały przyjemność. Może przestaje dbać o siebie. Może mieć obniżony nastrój i codzienną aktywność. Objawów mogą być dziesiątki, w zależności od zaburzeń.

Domownicy, bliscy, partnerzy, przyjaciele zaczynają to zauważać. I nie zawsze rozumieją, co się dzieje.

– Zdarza się, że zmiany te są opisywane jako nerwicowe, a przez to mniej uchwytne, a co za tym idzie nie zawsze uznawane za takie, które warto skonsultować od razu z psychiatrą – mówi prof. Bogdan de Barbaro, psychiatra, psychoterapeuta i były kierownik Zakładu Terapii Rodzin Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ i Katedry Psychiatrii. – Badania jednak pokazują, że w chorobach takich jak schizofrenia im krótsza droga do psychiatry, tym lepsze rokowania.

Co ważne, diagnoza choroby psychicznej sprawia, że przed zmianą staje cała rodzina. – Jeśli na schizofrenię zachorował młody człowiek, to jego rodzice będą musieli pogodzić się na przykład z tym, że może przerwać studia. I że pokładane w nim nadzieje mogą się okazać niemożliwe do zrealizowania. W tym sensie wraz z pojawieniem się choroby musi nastąpić pewien reset relacji – mówi prof. de Barbaro. – Ale to nie ma być kapitulacja w tej relacji, tylko dostosowanie jej do nowych warunków.

Prof. Dominika Dudek, psychiatra, kierowniczka Katedry Psychiatrii i Psychoterapii oraz Kliniki Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum UJ, która specjalizuje się m.in. w zaburzeniach depresyjnych, porównuje sytuację osób z depresją – za Antonim Kępińskim – do znajdowania się w głębokiej studni. Człowiek chory czuje się samotny. I choć docierają do niego promyki światła i głosy radosnych ludzi, wie, że nie może się wydostać. Więc radosne głosy bywają tym boleśniejsze.

Wśród tych głosów są także głosy najbliższych i ich codzienność, w której chorujący dotąd uczestniczył i z której się powoli wycofywał. Brak jego obecności, zainteresowania, chęci udziału w tym, co dla rodziny ważne, także smutek, czy wręcz przeciwnie – niemiłe, a nawet agresywne nastawienie i reakcje wywołane chorobą, są dla najbliższych źródłem niepokoju o bliskiego i własnego cierpienia.

– Jeśli choruje pacjent, choruje cała rodzina. Nie da się zrobić tak, by choroba nie odbijała się na życiu rodzinnym. Na początku najbliżsi, którzy obserwują zmiany w zachowaniu osoby chorej, mogą je wypierać. Mogą nawet zaprzeczać diagnozie albo szukać alternatywnych metod leczenia – mówi prof. Dudek. – Od samego początku rolą psychiatry jest zapewnić rodzinie takie wsparcie, dzięki któremu nie będą czuli, że siedzą na beczce prochu. I że nawet w najcięższych chorobach psychicznych możliwe jest zaleczenie objawów i życie z chorobą.

I podkreśla: – A także ciągłe zachęcanie, by, na ile to możliwe, nie żyć tylko chorobą. By zauważać pozostałych członków rodziny. By nie rezygnować ze spotkań z przyjaciółmi i z pasji. Wreszcie: by w samym chorym widzieć te wszystkie cechy, za które go lubiliśmy i które, mimo choroby, ciągle ma.

Poczucie winy, niepewność i lęk

Znów: dalsze scenariusze będą zależeć od wielu czynników. Od relacji w rodzinie. Od rodzaju zaburzenia psychicznego.

REKLAMA



Od przebiegu leczenia. Są jednak pewne emocje, które towarzyszą najbliższym szczególnie na początku – gdy obserwują pierwsze objawy i dostają diagnozę.

Zaczyna się od tego, że najbliżsi próbują zrozumieć, co się dzieje. Czytają, czym jest choroba i jakie ma konsekwencje. Próbują przełożyć to, czego doświadczają, na własne wyobrażenia. Zwłaszcza, jeśli to dotyczy ich dzieci, a także starszych rodziców, za zdrowienie których czują się tym bardziej odpowiedzialni.

Prof. Barbara Józefik, psycholożka i psychoterapeutka, która zajmuje się zaburzeniami jedzenia, na ich przykładzie wyjaśnia, jak radzą sobie z diagnozą rodzice. – Na początku mogą nie rozumieć zachowania dziecka. Zastanawiają się, jak to możliwe, że ich córka, która dotąd rozwijała się prawidłowo, nagle zaczęła robić coś wbrew biologii i ze szkodą dla siebie samej. Jak może odmawiać sobie jedzenia, gdy jest głodna? Albo dlaczego ma nie zjeść czegoś, co dotąd bardzo lubiła? – opowiada.

Na dalszych etapach choroby rodzice mogą poczuć, że tracą wpływ na sytuację. Racjonalne argumenty dotyczące zdrowego odżywiania, usilne prośby o zjedzenie obiadu czy nawet presja wywierana na dziecko już nie działają.

– Doświadczają niemocy i braku poczucia bezpieczeństwa – wyjaśnia Józefik. – Przede wszystkim przeżywają jednak ogromny lęk, bo zaczynają zdawać sobie sprawę, że to poważna choroba, która nieleczona może zakończyć się śmiercią.

Prof. Józefik zwraca też uwagę na to, jak choroba zmienia relację rodziców z dzieckiem: – Rodzice przyznają, że z dzieckiem, którego nie rozumieją, nie potrafią nawiązać takiej bliskości, jaką mieli dotychczas. A nierzadko tracą do niego także zaufanie, bo zauważają, że w kwestii jedzenia są regularnie okłamywani. Utrata bliskości, zaufania i brak zrozumienia wewnętrznego świata dziecka – wszystko to jest doświadczeniem traumatycznym – przyznaje.

Do tego dochodzi poczucie winy. Pojawiają się pytania: czy zawsze byłem, gdy dziecko mnie potrzebowało? Czy nie popełniłem błędów w wychowaniu? A może czegoś nie zauważyłem?

I nierzadko osamotnienie: – Bo nawet jeśli rodzice zaczynają rozumieć, w jakim potrzasku znalazło się ich dziecko, jak dalece doszło do zmian przeżywania własnego ciała i jak poważna jest to zmiana psychiczna, to nie zawsze potrafią znaleźć wsparcie w najbliższej rodzinie. Zawłaszcza u starszych rodziców, gdzie zderzają się z niedowierzaniem: „Co to znaczy, że nie chce jeść?", „Nie potraficie jej zmusić?" – mówi prof. Józefik.

Tylko 12,7 proc. osób zgodziłoby się, by nauczycielem ich dziecka była osoba, która chorowała psychicznie i leczyła się w szpitalu psychiatrycznym.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

W wydanej po raz pierwszy w 1986 r., a potem wznawianej książce „Możesz pomóc. Poradnik dla rodzin pacjentów chorych na schizofrenię i zaburzenia schizotypowe", pod redakcją Bogdana de Barbaro, Krystyny Ostoi-Zawadzkiej i Andrzeja Cechnickiego, autorzy zebrali kilkadziesiąt pytań, z którymi najczęściej zwracają się bliscy osób chorujących.

Oto kilka z nich:

„Od tygodnia u mego męża obserwuję wyraźne pogorszenie: przestał chodzić do pracy, nie rozmawia z nikim, prawdopodobnie ma halucynacje słuchowe. Kategorycznie odmawia kontaktu z lekarzem. Czy w tej sytuacji wskazany jest przymus hospitalizacji?".

„Przed przyjęciem do szpitala moja córka usiłowała popełnić samobójstwo. Teraz już czuje się dobrze, ale obawiam się, by stan depresji i napięcia nie powrócił. Jak mogę rozpoznać stan, w którym istnieje zagrożenie samobójstwem?".

„Zauważyłem, że mój syn w kontakcie ze mną stał się bardziej chłodny i nieżyczliwy. Jak sobie radzić z uczuciem, że moje dziecko mnie nie potrzebuje, a nawet, że przestało mnie kochać?".

– To, co przeżywa rodzina, gdy bliski zaczyna chorować psychicznie, to swego rodzaju ciężar emocjonalny, brzemię, które muszą dźwigać bliscy osoby chorującej – mówi prof. de Barbaro. – Dużo zależy w tym procesie od lekarza, który powinien zaprosić pacjenta i jego najbliższych do życzliwej współpracy i stworzenia przymierza terapeutycznego. Chodzi o zachęcenie rodziców do przejścia od bycia oskarżonym do bycia współterapeutą. Samego rodzica też trzeba chronić, by nie był nadmiernie uwikłany: żeby umiał zrozumieć przeżycia dziecka, ale wiedział też, kiedy potrzebna jest dodatkowa interwencja.

Izolacja i samotność

Najbliżsi chorujących zaczynają działać na wielu frontach. Z ich historii wyłania się obraz ciągłej czujności i niepokoju.

Starają się zrozumieć i wspierać samych chorujących. Reagują na objawy zaostrzenia czy nawrotu, a nierzadko także doglądają, by chory przyjmował regularnie leki. Starają się nie zaniedbywać innych relacji w rodzinie – przede wszystkim nie tracić z pola widzenia pozostałych dzieci, które mogą czuć się odtrącone skupieniem uwagi na chorującym. Są przy okazji jak rzecznicy rodziny – oceniają, którymi informacjami o tym, co przeżywają w związku z chorobą, można podzielić się z dalszymi krewnymi i znajomymi.

To tym trudniejsze, że – jak podkreślają eksperci – w społeczeństwie wciąż istnieje obawa przed psychiatrą i poczucie wstydu w związku z chorobą. – Znam takie sytuacje, że rodzice kogoś, kto przebywa w szpitalu, nie chcą własnemu rodzeństwu powiedzieć, co dzieje się z ich ↦

↦ siostrzeńcem czy bratankiem – mówi prof. de Barbaro.

I dodaje: – To częsty dylemat – otwierać informacje o chorobie dla dalszej rodziny czy trzymać je w tajemnicy. Dużo będzie zależało od tego, jaki rodzaj relacji jest między rodzicami a dalszymi krewnymi. Ile jest bliskości, otwartości, szczerości, życzliwości w tych relacjach, a ile rywalizacji, napięcia, niechęci czy wrogości. Warto podkreślić, że proces stygmatyzacji i wykluczania społecznego dotyczy głównie pacjentów, ale także rodziców i innych bliskich, a nawet samych lekarzy psychiatrów.

Potwierdzają to wyniki badań. Między pierwszą a drugą edycją badań EZOP minęła dekada, podczas której o chorobach psychicznych zaczęliśmy rozmawiać publicznie. Poszerzyła się dostępna wiedza, kosztem mitów i szkodliwych wyobrażeń.

– To było zaskakujące, ale między oboma edycjami EZOP-a zaobserwowaliśmy wzrost postaw dystansujących wobec osób chorujących psychicznie – mówi dr Jacek Moskalewicz. – Trudno to wyjaśnić. Być może ostatnie lata zwiększyły ogólną niechęć do „Innych" – migrantów, osób odmiennej orientacji seksualnej, a także osób, które chorują psychicznie.

Z badania EZOP II wynika, że tylko 12,7 proc. osób zgodziłoby się, by nauczycielem ich dziecka była osoba, która chorowała psychicznie i leczyła się w szpitalu psychiatrycznym. A opiekunką dla dziecka: jedynie 9,8 proc. Ponad 80 proc. nie chciałaby, żeby w ich rodzinie pojawiła się synowa lub zięć, którzy cierpią z powodu zaburzeń psychicznych. 56,3 proc. nie chce takiego sąsiada. Zdecydowana większość nie chciałaby też posła czy księdza, którzy leczyli się w szpitalu psychiatrycznym.

Momenty kryzysowe

Jest zwłaszcza jedna sytuacja, która sprawia, że cała rodzina przechodzi w tryb kryzysowy. Opowiadają o niej dwie matki dorosłych dzieci chorujących psychicznie, z którymi spotykamy się tuż przed zajęciami terapeutycznymi dla bliskich dotkniętych tym problemem (podobne grupy działają w wielu miastach).

Pani Lucyna mówi o córce, którą zostawiała dzisiaj w niewielkiej miejscowości, żeby przyjechać na spotkanie. Opowiada o wczorajszym kryzysie i emocjach, które dalej w niej są. O rozmowie, której nie udało się dokończyć. O złości córki i jej agresji. O ciągłej huśtawce, zmianie nastrojów. O tym, że choruje od 20 lat. I tę opowieść przerywa, by pochwalić córkę za jej sukcesy: skończone studia, pasje, znalezioną, choć nie utrzymaną pracę. I wreszcie o tym, że córka odstawiła raz leki, gdy przeczytała na blogu znanej podróżniczki, że w depresji stosuje się nie leki, tylko placebo. I córka uznała, że w schizofrenii może być podobnie.

– Stron internetowych podważających choroby psychiczne i cierpienie samych chorych, a także leczenie, jest mnóstwo – mówi pani Lucyna. – Dlatego wielu z nas szuka konferencji, na które przyjeżdżają lekarze i eksperci, żeby dowiedzieć się jak najwięcej. I mieć merytoryczne argumenty.

Syn pani Haliny też rozchorował się 20 lat temu, gdy był na studiach. – Z młodego człowieka, który ma pasje i wychodzi ze znajomymi, stał się kimś, kto zamyka się w domu, przestaje o siebie dbać. Ten stan narastał i narastał – opowiada jego matka.

I mówi o tym, jak wraz z pojawieniem się choroby zmienił się człowiek, który był zawsze obok. Jak zmieniła się ich wspólna codzienność.

– To jest takie wyczekiwanie – mówi pani Halina. – Ciągłe obserwowanie w napięciu, jaka jest sytuacja. Czy już jest na tyle źle, że syn zagraża sobie lub innym i można wezwać karetkę i policję. Sama procedura jest okropna. Bo proszę sobie wyobrazić: syn jest w silnej psychozie, od dawna nie bierze leków. Nikt nie wie, co za chwilę zrobi. Dzwonimy z jego kolegą, który próbuje nas wesprzeć, po pogotowie i policję. Przyjeżdżają funkcjonariusze policji w pełnym umundurowaniu. Jak na taką sytuację ma zareagować osoba chora? I jak my, którzy ich wezwaliśmy, mamy się czuć?

– Jeśli pacjent nie chce się leczyć albo przerywa leczenie, pytam najbliższych, do kogo ten człowiek ma największe zaufanie? Odpowiadają na przykład, że do starszego brata. Radzę im wtedy, by starszy brat powiedział młodszemu: „Bracie, zrób to dla mnie i idź na jednorazową konsultację z lekarzem. Słyszę o twoim niepokoju, zauważam, że coś przykrego przeżywasz, ale proszę, idź, żeby się zorientować". Na ogół pomysł z jednorazową konsultacją działa. Wtedy kwestią umiejętności konsultanta jest to, żeby namówić pacjenta na dalszy ciąg spotkań. Najpierw może ambulatoryjnych, a jeśli byłaby konieczność, szpitalnych – mówi prof. de Barbaro.

Dodaje: – Tak, to jest często kruche. Bo jeżeli ktoś będzie ogarnięty przekonaniem, że cały świat jest przeciwko niemu, jeżeli każdy gest będzie odczytywany przez pryzmat przeżyć urojeniowych, to wtedy także zaufanie do bliskich może być zrujnowane. Czasem uzyskuje się efekt mówiąc: „Bracie, może uważasz, że nie mam racji, ale zrób to dla mnie".

A to istotne także z terapeutycznego punktu widzenia, bo – jak podkreśla – jeśli pacjent po pierwszym epizodzie choroby bierze leki i ma dobre relacje z rodziną, ryzyko nawrotu objawów w najbliższych dziewięciu miesiącach wynosi ok. 10 proc. Jeśli odmawia leczenia i ma złe relacje z rodziną – ponad 90 proc.

Na ważną zmianę, która zaszła w ostatnich dekadach, zwraca uwagę Agnieszka Lewonowska-Banach, wiceprezes Stowarzyszenia Rodzin Zdrowie Psychiczne, członkini zarządu Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Psychiatrii i Opieki Środowiskowej. Dorastała w małym miasteczku na Podlasiu, w którym był szpital psychiatryczny.

– To było w czasach, gdy pacjenci żyli przez wiele lat w takich placówkach, zlokalizowanych na uboczu miasta i funkcjonujących jak teren zamknięty – opowiada. – Dziś szpital wciąż dla wielu chorych jest koniecznością, ale dąży się do tego, żeby okres pobytu szpitalnego był jak najkrótszy. Dzięki odpowiedniemu leczeniu coraz więcej chorujących może funkcjonować w lokalnych społecznościach i przy ich wsparciu. Tym ważniejsza jest rola najbliższych i rodziny – mówi. – W stowarzyszeniu skupiliśmy się m.in. na aktywizacji osób z zaburzeniami psychicznymi na rynku pracy i mieszkaniach treningowych dla nich oraz na grupach wsparcia, w których uczestniczą też rodziny.

Granice i własny komfort psychiczny

– Być może to najtrudniejsza część tej historii, ale zdarza się, że codzienność z osobą chorującą psychicznie jest na tyle trudna, że wsparcie lekarza czy psy-

choterapeuty jest potrzebne również bliskim tej osoby – mówi prof. Dudek. – Takie wsparcie, dzięki któremu osoby te nauczą się wyznaczać granice w relacjach z chorującym i zadbają o własny komfort psychiczny.

Podaje przykład z własnej praktyki z ostatnich dni: – Przyszła do mnie matka pacjenta, który nie zażywa leków i który jest na co dzień dla swoich najbliższych okrutny. Matka wielokrotnie wzywała policję, pogotowie, ale syn potrafi dysymulować i gdy przyjeżdżają lekarze, nagle jest spokojny i miły. Jedyne, co matka może wtedy zrobić, to pokazać zdjęcia zdemolowanego pokoju syna. Wsparcie dla niej jest więc równie ważne, co dla jej syna.

Na opowieści rodzin i ich doświadczenia nakłada się jeszcze jedna rzeczywistość: dostępność gabinetów psychoterapeutycznych i wydolność samego systemu opieki psychiatrycznej.

– Moja córka szukała w lutym psychiatry, który przedłuży jej leki. Zaproponowano jej termin na lipiec. Podkreślała, że chodzi o receptę, ale to nic nie pomogło. Poszła więc do gabinetu prywatnego, gdzie wizyta trwała dokładnie trzy minuty. Gdy się o tym dowiedziałem, miałem ochotę użyć kilku niecenzuralnych słów – mówi Błażej Kmieciak.

Sytuację, jak podkreśla, zmieniają Centra Zdrowia Psychicznego, których punkty konsultacyjne są od kilku lat w każdym powiecie. – Dzięki nim



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

możemy trafić do psychologa bardzo szybko. Bo dla nas, bliskich osób chorujących psychicznie ważne jest to, żeby pojawił się „ktoś trzeci”– mówi Kmieciak. – I podkreślam to jako ojciec córki, która przeszła kryzys psychiczny, brat siostry, która choruje psychicznie, i człowiek, który ma na co dzień kontakt z chorującymi i ich rodzinami. A także dorosły mężczyzna, który sam przeszedł kryzys.

Tym „kimś trzecim”, kto wesprze, może być specjalista, który pojawi się na pierwszym etapie i będzie potrafił ocenić sytuację. – To może być psycholog w szkole, który dobrze zna dziecko i widzi, co się dzieje. To może być mądry lekarz rodzinny, który zna rodzinę i który nas wysłucha i zaproponuje możliwe rozwiązania – wylicza. – Zwłaszcza że lekarze rodzinni przechodzą obowiązkowy kurs z psychiatrii i psychiatrii dzieci i młodzieży oraz mogą od razu we własnym gabinecie przeprowadzić podstawowe testy używane m.in. w diagnostyce depresji. To może być ekspert z telefonu kryzysowego, który przedstawi możliwości działania. Ważne, by nie zostać z tym samemu.

I podkreśla: – Bo nasza miłość do najbliższych, którzy chorują, nie ma polegać na tym, że się z tej miłości sami spalamy. Tylko że szukamy dla nich pomocy, ale dbając o siebie, uczymy się także stawiania granic chorobie.

©℗ ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Jacek Napora, Anna Pietrzykowska, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

KRAJ

JAK ZOSTAĆ POLAKIEM

W ślad za rosnącym prestiżem paszportu i znaczeniem gospodarki przybywa chętnych na polskie obywatelstwo. Rząd i prezydent w egzotycznej koalicji próbują wyhamować ten trend.

MAREK RABIJ



ADAM GRAY / REUTERS / FORUM

Od rana padało. Żartowałem nawet do Kasi, że mamy złota polska jesień, ale mi od razu poprawiła, że w listopadzie nikt tak już nie mówi. No właśnie, mówi się „mi poprawiła"? Czy „mnie poprawiła"? – marszczy czoło Brett.

Pod Pomnikiem Grunwaldzkim w Krakowie, opodal Urzędu Wojewódzkiego, trwały uroczystości z okazji Święta Niepodległości. Egzemplarz konstytucji, którą urzędnik wręczył w imieniu małopolskiego wojewody Brettowi Finnsmanowi razem z aktem uznania za obywatela Rzeczypospolitej Polskiej, żona Kasia schowała do torebki, żeby uchronić go przed deszczem. Stoi nadal dumnie na półce ich domowej biblioteczki, jedynie w kilku miejscach splamiony sosem z pizzy, którą obywatel Finnsman zagryzał lekturę ustawy zasadniczej. Biało-czerwoną flagę, która też była w zestawie i którą w drodze do domu wymachiwał ich syn, listopadowy wiatr poniósł niestety gdzieś w korony drzew.

– Pogoda była brzydka, ale dzień ważny. Po siedmiu latach mieszkania w Polsce i po jedenastu małżeństwa z Polką czuję się tu u siebie. Polski paszport dużo mnie znaczy – Brett znów maskuje zakłopotanym uśmiechem błędy językowe. – Jak pytasz o narodowość, powiem, że Irlandczyk. Ale słowo dom kojarzę już z Krakowem. I powiem ci, że dużo cudzoziemców zaczyna tak o Polsce myśleć.

Budujemy drugą Hajnówkę

W danych o stanie polskiej demografii to w tej chwili bodaj jedyny punkt, z którego nie wyziera widmo depopulacji. Ponad 19 tysięcy cudzoziemców, którzy w 2025 r. otrzymali obywatelstwo RP, to już więcej niż ludność Hajnówki. Jeśli utrzyma się dynamika, z jaką przybywa rokrocznie naturalizowanych obywateli, najdalej w przyszłym roku ich nowy rzut może się zrównać z liczbą dzieci urodzonych w Warszawie. W ubiegłym roku przyszło ich tam na świat 28 401, o 246 mniej niż rok wcześniej.

W tym samym czasie liczba decyzji o nadaniu, uznaniu bądź przywróceniu polskiego obywatelstwa (za tymi terminami kryją się także różne ścieżki postępowania administracyjnego) skoczyła w całym kraju z 16 644 do 19 135. Przeszło połowę z nich stanowiły osoby z Ukrainy, najczęściej mające polskie korzenie bądź mieszkające w Polsce od lat. Na drugim miejscu uplasowali się Białorusini (6,5 tys.). Reszta pochodziła najczęściej z Rosji i krajów Azji Centralnej, choć w statystykach widać również wyraźny (bo też startujący z niskiego pułapu) wzrost liczby pozytywnie rozpatrzonych wniosków z Indii, Wietnamu czy krajów Ameryki Łacińskiej.

Na przestrzeni zaledwie pięciu lat doszło niemal do potrojenia liczby pozytywnie rozpatrzonych podań o polski paszport, dziś należący do jednych z najbardziej pożądanych dokumentów podróży na świecie.

W tegorocznej, opublikowanej w marcu edycji rankingu, który cyklicznie organizuje brytyjska firma doradcza Henley&Partners, paszport



Aktor i reżyser Jesse Eisenberg podczas uroczystości wręczenia aktu nadania obywatelstwa RP przez prezydenta Andrzeja Dudę. Nowy Jork, 4 marca 2025 r.

z orzełkiem, zapewniający bezwizowy (lub z wizą dostępną od ręki na granicy) wjazd do 183 z 226 państw uwzględnionych w zestawieniu, uplasował się na szóstym miejscu *ex aequo* z Malezją, Węgrami i Wielką Brytanią. Amerykański paszport, obiekt marzeń pokoleń polskich emigrantów, lokuje się w tym zestawieniu cztery oczka niżej, zapewniając łatwy wjazd do 179 krajów. Niemcy, nasz niemal rytualny punkt odniesień cywilizacyjnych, dają swoim obywatelom paszport oceniany ledwie dwie pozycje wyżej (wjazd do 185 państw) niż polski.

Nasi obywatele mogą bezwizowo podróżować zarówno do USA, Chin, Izraela, jak i do olbrzymiej większości krajów arabskich, mając jednocześnie prawo pobytu i swobodnego przemieszczania się po całej UE (plus liczne przywileje w krajach z nią stowarzyszonych).

Gdyby to samo mierzyć w kategoriach swobody robienia interesów, z polskim paszportem można w każdej chwili wyruszyć do państw, które w sumie odpowiadają za niemal 91 proc. globalnego produktu krajowego brutto. Jego afgański odpowiednik, sklasyfikowany na ostatnim miejscu, jest biletem bezwizowego ↦

↦ wstępu do ledwie 23 krajów, wytwarzających łącznie ledwie 0,4 proc. światowego PKB.

Sito na ekstremistów

To dobro będzie już wkrótce podlegać jeszcze ściślejszej ochronie. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji od kilku miesięcy trwają prace nad zmianą ustawy o obywatelstwie polskim, która w 2009 r. przyczepiła krajowe przepisy do kośćca unijnego prawodawstwa.

Kierunek i duch nowelizacji są jednoznaczne: chodzi o podniesienie poprzeczki wymagań cudzoziemcom ubiegającym się o polskie obywatelstwo. Zmiany przewidują wydłużenie wymaganego okresu legalnego pobytu z trzech do ośmiu lat, z których aż pięć kandydat musiałby przemieszkać w ramach pobytu stałego. Dzięki temu, jak tłumaczy resort, państwo zdoła dokładniej poznać kandydatów na obywateli, ocenić ich postawę obywatelską i zgłębić motywacje. Nazywając rzecz po imieniu, chodzi po prostu o pięć lat więcej na identyfikację postaw potencjalnie niebezpiecznych, jak terroryzm czy ekstremizm religijny.

W procedurze naturalizacji miałby też pojawić się egzamin z historii Polski, wartości konstytucyjnych, funkcjonowania państwa i zasad obowiązujących w Unii Europejskiej. Według założeń nowelizacji, które MSWiA zaprezentowało jeszcze w zeszłym roku, egzamin miałby formę testu składającego się z 40 pytań.

Kandydatów na Polki/Polaków czekać ma jeszcze test znajomości naszego języka na poziomie co najmniej B2, a nie B1, jak dotychczas. W praktyce oznacza to opanowanie polszczyzny w stopniu wystarczającym nie tylko do codziennej komunikacji, lecz także do argumentowania i prowadzenia bardziej abstrakcyjnych wywodów.

Będąc w czołówce państw UE przyjmujących najwięcej migrantów, chcemy zachować monoetniczność. Naród polski ma być **wspólnotą opartą na etnosie, nie na tożsamości politycznej.**

Podatki zapłacą nam

Największą nowością wśród warunków do spełnienia jest jednak obowiązek posiadania polskiej rezydencji podatkowej, czyli płacenia podatków osobistych naszemu fiskusowi, niezależnie od miejsca pracy czy prowadzenia działalności gospodarczej.

Państwo polskie pod tym względem było dotychczas wyjątkowo wyrozumiałe dla kandydatów na obywateli, co da się wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Gdy w kwietniu 2009 r. wchodziła w życie wspomniana ustawa o obywatelstwie, o paszport z orzełkiem ubiegało się około dwóch tysięcy osób rocznie. Grupa na tyle nieliczna, by fiskus mógł nie zwracać na nią uwagi. 20 tys. nowych obywateli rocznie to już dla niego nie lada gratka. Zwłaszcza w sytuacji szybko rosnącego długu publicznego i deficytu budżetowego.

Ngo Van Tuong, Wietnamczyk mieszkający w Polsce od 1983 r., a od 19 lat także obywatel RP, pracuje jako tłumacz przysięgły i regularnie pomaga wietnamskim klientom w procedurze naturalizacji. Jego zdaniem rządowe propozycje idą w sensownym kierunku, choć zmieszano je z postulatami niezrozumiałymi.

– Wydłużenie wymaganego czasu zamieszkania na stałe nie stanowi problemu, ale nie wiem, co to realnie da naszemu państwu – wylicza. – Z moich obserwacji wynika, że olbrzymia większość ubiegających się o paszport mieszka tu od co najmniej kilkunastu lat i spełnia to kryterium z naddatkiem. Rozumiem i popieram także wymóg zaliczenia egzaminu ze znajomości polskiej kultury, historii i zwyczajów, choć słyszę też pewne obawy. Ukraińcy np. już się zastanawiają, co zrobić, gdy w teście padną pytania o rzeź wołyńską.

Największym wyzwaniem, zwłaszcza dla kandydatów z dalekich Polsce kręgów kulturowych, zdaniem pana Ngo będzie jednak egzamin z języka. – Znam Wietnamczyków, którzy są tu od 20 lat, żyją i pracują wśród Polaków i wciąż nie opanowali polszczyzny w stopniu wymaganym nawet na teście B1. Dla nas to po prostu cholernie trudny język, ale nie w tym problem. Wąskim gardłem będzie już sama procedura egzaminacyjna. Z doświadczenia wiem, że testy z polskiego na poziom B2 organizowane są znacznie rzadziej niż B1, na które też już trudno się zapisać. Jeśli rząd wprowadzi wymóg B2 i jednocześnie nie zwiększy dostępności takich egzaminów, *de facto* zawęzi ścieżkę ubiegania się o obywatelstwo. Mam nadzieję, że nie o to w tym wszystkim chodzi – dodaje po chwili wahania Ngo Van Tuong.

Tożsamościowy bezpiecznik

Rząd nie ukrywa, że droga do polskiego obywatelstwa ma się stać dłuższa i bardziej stroma. Konstruując w ten sposób kryteria, wysyła też czytelny sygnał, że Polska, która nadal plasuje się w czołówce państw UE udzielających najwięcej wiz pracowniczych, chce też zachować jak najwięcej ze swojej monoetniczności. Naród polski ma być nadal wspólnotą opartą bardziej na etnosie niż na tożsamości czysto politycznej. Jeśli takie wnioski nasi rządzący wyciągnęli z ostatnich niemieckich i szwedzkich doświadczeń z polityką otwartych drzwi, trudno doprawdy mieć do nich pretensje.

We współczesnej polityce nic nie dzieje się jednak w oderwaniu od najsilniejszych emocji społecznych, a to właśnie one w tej sprawie wydają się

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 1192/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w Warszawie, w dzielnicy Ursus, przy ul. Piskorskiej–Prażmowskiej, oznaczonej numerem ewidencyjnym 90, w obrębie ewidencyjnym 1101,2-11-01, o powierzchni 0,2223 ha, którą posiada Renata Kuszyk.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych w sprawie, czyich praw może dotyczyć wynik postępowania, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się do niniejszego postępowania w charakterze uczestników.

najciekawsze. Polski patriotyzm, wcześniej naznaczony głównie martyrologią, stopniowo nasyca się poczuciem dumy z osiągnięć kraju i własnego dorobku. Dumę z bycia Polakiem deklaruje, zależnie od badania, od 60 do nawet 82 proc. z nas. W badaniu samopoczucia, które właśnie opublikowała pracownia CBOS, aż 61 proc. ankietowanych deklaruje satysfakcję z własnych osiągnięć. W 1990 r. takiej odpowiedzi udzieliło jedynie 31 proc. respondentów.

Łatwo wskazać, z czego jesteśmy dumni. Za nami trzy dekady niemal nieustannego wzrostu gospodarki, która z pariasa przeobraziła się w tygrysa, windując przy tym jakość życia do poziomu bliskiego średniej krajów Europy Zachodniej. Wizytujący Warszawę czy Kraków cudzoziemcy nie mogą się nachwalić czystych przystanków, bezpiecznych ulic i punktualnych (w miarę) pociągów. Do tego jeszcze budujemy największą lądową armię Europy. Stawiamy Centralny Port Komunikacyjny, minimum jedną elektrownię jądrową, a może i dwie. Największą w Europie farmę wiatrową. Zagęszczamy i tak już imponującą sieć nowoczesnych dróg szybkiego ruchu.

Polska weszła w fazę realizacji wielkich ambicji, wcześniej skrywanych za figurą państwa na dorobku, któremu w równym stopniu brakuje kapitału, co umożliwiającego rozwój *know how*. Szósty najsilniejszy paszport świata idealnie współgra z tymi zbudzonymi ambicjami. Podobnie jak naszpikowana kamerami i czujnikami ruchu zapora wzdłuż wschodniej granicy, której – tak twierdził niedawno Donald Tusk – w tym roku nie przekroczył nielegalnie ani jeden imigrant.

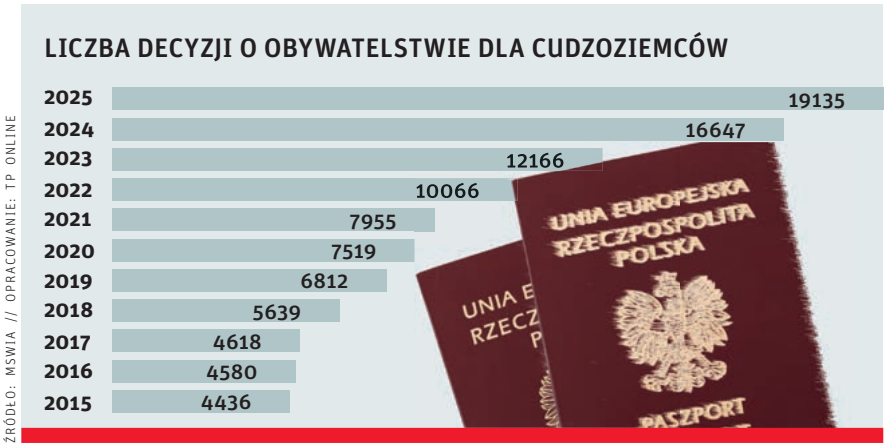
Casting na Polaka

Premier wie, że ten sam wiatr historii czuje Karol Nawrocki. Prezydent już zgłosił swój projekt zaostrzenia przepisów o przyznawaniu obywatelstwa, który wprowadza wymóg aż 10 lat zamieszkania w Polsce. Nie czekając na ustawę rządową, którą mógłby zawetować, głowa państwa wprowadza też cichaczem porządki w swoim ogródku. Dla osobistości świata kultury, biznesu, nauki czy sportu konstytucja przewiduje przecież prestiżową ścieżkę nadania obywatelstwa przez prezydenta RP.

W 2025 r. do Pałacu Prezydenckiego wpłynęło 5 470 takich wniosków. Głowa państwa zaakceptowała 222, na mocy których paszport otrzymało łącznie 999 cudzoziemców (obywatelstwo zwykle przyznaje się także ich małoletnim dzieciom, a często także małżonkom). Z ustaleń dziennikarzy „Rzeczpospolitej" wynika jednak, że ani jednej takiej decyzji nie podpisał Karol Nawrocki, który prezydenturę rozpoczął formalnie na początku sierpnia. Zrobił to Andrzej Duda.

W styczniu tego roku na biurko prezydenta trafiło 445 wniosków o nadanie polskiego obywatelstwa, ale głowa państwa nadal gospodaruje tym przywilejem nader oszczędnie. Odpowiedź pozytywną otrzymało jedynie 25 osób, 18 spotkało się z odmową, reszta wniosków leży nierozpatrzona. Prezydent, jak podkreśla jego Kancelaria, ma w tej sferze wolną rękę. Decyzja o nadaniu obywatelstwa ma charakter uznaniowy, podobnie jak prawo łaski. Głowa państwa może wręczyć paszport nawet osobie niespełniającej formalnych wymogów do rozpoczęcia procesu naturalizacji.

Wyścig o to, kto w tej specyficznej odmianie straży na granicy Rzeczypospolitej pokaże elektoratowi większą czujność, odbywa się w ciekawym momencie. Białoruś zmniejszyła ostatnio napór na polską granicę i testuje cierpliwość litewskiego sąsiada. Z danych przedstawionych Sejmowi przez MSWiA wynika również, że właściwie zanikł proceder fikcyjnych małżeństw z polskimi obywatelami, który swego czasu stanowił prawdziwą plagę (w 2003 r. aż 43,1 proc. związków małżeńskich zawarto pomiędzy obywatelem naszego kraju i obywatelem obcego państwa). Cudzoziemcy na ulicy też przestali budzić zainteresowanie.



Uprzejmi i otwarci

Brett Finnsman: – Obywatelstwo pomaga w urzędach, ale na co dzień nie czuję wielkiej różnicy. Pracuję w międzynarodowym zespole, ale Polacy, z którymi mam kontakt poza biurem, są tak samo uprzejmi i otwarci. Zanim dostałem obywatelstwo, również tacy byli. Błędy językowe wypomina mi tylko żona. Coraz częściej to ja sam czuję potrzebę powiedzieć, że jestem Irlandczyk, a w Polsce mieszkam na stałe. Żeby mnie nie brali za angielskiego turystę.

Finnsman przyznaje jednak, że na jego korzyść działa fizjonomia, dzięki której może się wtopić w polski tłum. Nie każdy naturalizowany obywatel RP ma pod tym względem tak łatwo.

Ngo Van Tuong: – Polski paszport odebrałem w 2007 r. Mam polskich znajomych. Wydałem po polsku książkę, pracuję jako tłumacz, czasem występuję w serialach i filmach. Na ulicy różnie bywa, ale generalnie nie muszę oglądać się za siebie. Jedynym miejscem, w którym regularnie czuję się w Polsce jak cudzoziemiec, są urzędy. Często trafiam tam na kogoś, kto daje mi do zrozumienia, że moje polskie obywatelstwo jest dla niego obywatelstwem drugiej kategorii.

Przykłady? Pan Ngo nie musi ich długo szukać w pamięci. Niedawno zderzył się z urzędniczką, której nie spodobał się fakt, że pod przekładem dokumentów z wietnamskiego na polski podpisał się certyfikowany tłumacz przysięgły, który nie jest etnicznym Polakiem. Tu polski paszport nie pomógł.

– Przestała piętrzyć trudności dopiero wtedy, kiedy ją porządnie po polsku opieprzyłem – śmieje się Ngo Van Tuong.

©℗ MAREK RABIJ

Przystanek Jasionka

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK TARAN

WOJNA | Do medycznego hubu pod Rzeszowem trafiają ukraińscy żołnierze i cywile ranni w ostrzałach oraz ciężko chorzy pacjenci, także onkologiczni. Po zaopatrzeniu są transportowani do szpitali w całej Europie.

Aleksandr pochodzi z Latyczowa w obwodzie chmielnickim. Ma 44 lata, a przed wojną był kierownikiem gospodarstwa rolnego. Swoją trudną historię opowiada z uśmiechem: siedzi wyprostowany, spokojny, ostrzyżony krótko, po wojskowemu. Jedynie brak ręki, amputowanej wysoko przy samym barku, wprowadza dysonans pomiędzy jego pogodą ducha a rzeczywistością. O wojnie opowiada bez podnoszenia głosu, jakby chciał pokazać, że ma wszystko pod kontrolą.

Do wojska trafił przypadkiem. Wracał właśnie ze Lwowa, gdzie pojechał z synem złożyć jego dokumenty na uniwersytet. – Zatrzymali nas na posterunku i od razu dostałem wezwanie do wojska. Poprosiłem o trzy dni, żeby pozałatwiać wszystkie sprawy w domu. Zgodzili się.

W domu została żona, syn student, kilkuletnia córka i schorowana matka.

– Początkowo służyłem w Sumach przy granicy z Rosją, później trafiłem do Kupiańska – wspomina. – Mieliśmy tam chronić osiedle mieszkaniowe przed „raszystami", ale było nas mało. Bloki po dziesięć pięter, a nas tylko trzech na jeden budynek.

Ranny został podczas porannego obchodu. – Otwierałem drzwi do budynku. Nastąpił wybuch. Nie wiem nawet, co tam było podłożone.

Eksplozja zmiażdżyła rękę Aleksandra. Natychmiast dostał opaskę uciskową, ale drony do tego stopnia uniemożliwiały ewakuację, że przekładano ją coraz wyżej, gdy kolejne fragmenty okazywały się nie do uratowania. – Byłem z opaską czterdzieści sześć godzin, to o wiele za długo. Gdyby nie chłopak, który mnie stamtąd wyprowadził, sam nie dałbym rady – przyznaje.

Po zranieniu trafił do szpitala w Charkowie, później do Lwowa. Tam lekarze przeszczepiali tkanki z pleców Aleksandra, próbując zachować jak największą część ręki pod przyszłą protezę. Teraz czeka go kolejna operacja w Danii.

Lot na północ

Kilka minut przed godziną 15.00 pod halę „Medevac Hub Jasionka" podjeżdżają trzy karetki ukraińskiego pogotowia ratunkowego i dwa autokary-ambulanse. To specjalne pojazdy przystosowane do zbiorowego transportu rannych i ciężko chorych pacjentów. Są darem rządu Norwegii i noszą imiona księżniczek: Anny i Wiktorii.

Kilka osób wysiada o własnych siłach. Najciężej ranni wywożeni są z autobusów specjalnymi windami. Personel pomaga przy bagażach, tłumaczy procedury, kieruje pacjentów do boksów oznaczonych nazwami krajów, do których następnego dnia polecą na leczenie. Jest czas na badania, posiłek, toaletę i rozmowę z psycholożką.

Następnego dnia rano pacjenci wrócą na lotnisko w Jasionce, a medyczny samolot wystartuje na północ Europy. Najpierw dwa lądowania w Niemczech, później Kopenhaga i Oslo.

„Medevac Hub Jasionka" to medyczne centrum tranzytowe zlokalizowane przy podrzeszowskim lotnisku. Trudno porównać je do klasycznej placówki ochrony zdrowia. Choć znajduje się tu infrastruktura do przyjmowania i stabilizacji pacjentów, hub nie jest szpitalem. Łączy funkcje miejsca tranzytowego, tymczasowej placówki medycznej i centrum koordynacyjnego ewakuacji pacjentów z Ukrainy do państw europejskich. Jest tu również skromna biblioteka, w której znajdują się książki po ukraińsku i po polsku.

Pacjenci trafiają do hubu po wcześniejszym leczeniu w Ukrainie. Często po zabiegach ratujących życie i wykonywanych w ciężkich warunkach, blisko linii frontu. Dlatego w Jasionce są ponownie oceniani pod kątem stanu zdrowia, możliwości dalszego transportu i potrzeb terapeutycznych.

Do hubu pacjenci przyjeżdżają konwojami organizowanymi przez stronę ukraińską. W zależności od sytuacji na froncie i liczby zgłoszeń ruch bywa bardzo zmienny. O historii placówki opowiada mi Adam Szyszka, lider zespołu Jasionki.

SOR razy dziesięć

– Pracowałem jako ratownik medyczny w Centrum Tranzytowym Warszawa Wschodnia, gdy zadzwonił do mnie doktor Wojtek Wilk z Fundacji Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej i powiedział: „Jedź do Jasionki, robimy tam hub medyczny dla pacjentów z Ukrainy". Na miejscu zobaczyłem pustą halę, więc narysowałem na kartce: na środku główna konsola medyków, dalej boksy dla pacjentów, tu strefa przyjęć, tam jadalnia. Miało to potrwać góra kilka miesięcy. Jestem tu już czwarty rok – przyznaje Szyszka.

Głównym celem hubu było stworzenie miejsca, które pozwoli uporządkować proces ewakuacji medycznej z Ukrainy i ograniczy ryzyko przeciążenia lokalnych szpitali. Ośrodek w Jasionce to jedyne takie miejsce na świecie.

– Wyobraź sobie zwykły szpitalny SOR. Dwie karetki naraz to już tłok. A teraz wyobraź sobie konwój piętnastu pojazdów i trzydziestu pacjentów wysypujących się jednocześnie – opowiada Szyszka, który ma spore doświadczenie w tzw. medycynie pola walki. Pracował na misjach w Czadzie, Afganistanie, Ukrainie, ale pomagał też przy akcjach ratunkowych po kataklizmach.

– Gdy po trzęsieniu ziemi zawali się dzielnica miasta, to jesteśmy w stanie oszacować liczbę ofiar. Wiemy też, że dwie-trzy doby po zdarzeniu gwałtownie spada umieralność, można zaplanować procedury, leczenie. Podczas wojny nie jesteśmy w stanie przewidzieć niczego – mówi. – Możemy tylko przygotować system tak, by działał wtedy, kiedy będzie potrzebny.

System funkcjonuje w ramach unijnego Mechanizmu Ochrony Ludności, a sam hub powstał z inicjatywy polskiego



Wyładunek pacjenta z Ukrainy z autokaru-ambulansu w hubie medycznym w Jasionce. 5 maja 2026 r.

Ministerstwa Zdrowia jako element europejskiego systemu ewakuacji medycznej dla rannych i ciężko chorych pacjentów z Ukrainy. Za jego codzienne funkcjonowanie odpowiada Fundacja Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej we współpracy z polskim i ukraińskim resortem zdrowia. Około 95 proc. kosztów działania hubu pokrywa Unia Europejska.

Placówka w Jasionce jest w permanentnym stanie gotowości. Liczby pacjentów zmieniają się z miesiąca na miesiąc, bo sytuacja na froncie pozostaje nieprzewidywalna. Sam hub zaprojektowano jako obiekt tymczasowy i mobilny. Poszczególne strefy można przebudowywać w zależności od liczby pacjentów i rodzaju potrzeb medycznych. Przygotowano również procedury ewakuacyjne na wypadek zmiany sytuacji w kwestii bezpieczeństwa placówki.

– Ten obiekt może być bardzo szybko zwinięty i przeniesiony w inne miejsce – mówi Adam Szyszka. – Mamy procedury na brak prądu, brak wody, różne sytuacje kryzysowe. Nie chciałbym jednak, żeby to kiedykolwiek się wydarzyło, żebyśmy na przykład musieli ewakuować się pod Wrocław.

W swoich gruzach

Proces kwalifikacji pacjentów trwa zwykle około trzech tygodni i wygląda tak, że Ukraina zgłasza osoby wymagające leczenia za granicą, a państwa europejskie deklarują możliwość ich przyjęcia. Po zaakceptowaniu oferty przez pacjenta organizowany jest transport do Jasionki, a następnie lot medyczny do tych szpitali w Europie, które zgłosiły gotowość leczenia.

Jedną z głównych idei powołania hubu było odciążenie polskiego systemu ochrony zdrowia, uginającego się na początku wojny pod liczbą rannych z Ukrainy. Dzięki Jasionce pacjenci po wstępnej stabilizacji trafiają dalej: do Niemiec, Norwegii, Austrii, Hiszpanii, Francji czy krajów skandynawskich.

Hub działa jak placówka kryzysowa. Ma własne zapasy wody, alternatywne instalacje elektryczne i agregaty prądotwórcze. Jak podkreśla Adam Szyszka, miejsce od początku projektowano z myślą o nieprzewidywalności wojny i konieczności działania w warunkach kryzysowych.

W ciągu czterech lat przez hub przewinęło się kilka tysięcy pacjentów i osób towarzyszących. Wśród nich byli pacjenci po urazach wojennych, osoby wymagające leczenia onkologicznego, rehabilitacji lub specjalistycznych operacji, których nie można było przeprowadzić w Ukrainie.

– To miejsce jest miksem szpitala tymczasowego, poradni wielospecjalistycznej, gabinetu psychologicznego, lotniska, poczekalni i biblioteki – mówi Szyszka, zaznaczając, że personel hubu unika dzielenia pacjentów na cywilów i żołnierzy.

– Pacjent to pacjent – oświadcza, a po chwili dodaje: – Niektórzy mają po prostu piżamy w kamuflażu. Zgodnie z prawem międzynarodowym, po przekroczeniu granicy są to uchodźcy-ofiary wojny, wymagające pomocy.

Do hubu trafiają zarówno żołnierze po amputacjach, jak i cywile ranni podczas ostrzałów czy strażacy pracujący przy akcjach ratunkowych. Są też pacjenci wymagający leczenia onkologicznego, które nie może być kontynuowane w Ukrainie.

Szyszka zauważył, że większość pacjentów chce po leczeniu wracać do siebie, nawet jeśli mieliby jechać do miast zniszczonych przez wojnę, do miejsc niebezpiecznych, blisko frontu. Wspomina pacjentkę w terminalnym stadium choroby nowotworowej, która po kilku miesiącach nieskutecznego leczenia za granicą zdecydowała się wrócić do Ukrainy, mimo że jej dom został zniszczony.

– Była w Wiedniu, leczenie nie dawało rezultatu. Wróciła do nas. Mówiliśmy, że jej domu nie ma, że tam tylko gruz. Powiedziała, że chce umrzeć w swoich gruzach, a nie w obcym budynku.

No, wesoło było

Serhij pochodzi z Odessy. Ma 47 lat, ale jak większość mężczyzn wracających ↦



Serhij, 47 lat. Pochodzi z Odessy. Pacjent hubu medycznego w Jasionce. 5 maja 2026 r.



Aleksandr z Latyczowa, pacjent hubu medycznego, przed odlotem na dalsze leczenie w Europie. Jasionka, 5 maja 2026 r.

↦ z frontu, wygląda na starszego. Na szyi srebrny krzyżyk, na ręce bransoletka z maleńkich prawosławnych ikon. Mówi krótko, szorstko, urywa zdania. Jedną nogę ma spuszczoną swobodnie w dół. Druga, usztywniona metalowymi prętami, kończy się kawałkiem stopy grubo owiniętym bandażami.

Do wojska trafił jesienią 2025 roku. – Poszedłem do sklepu po papierosy. Podjechali ludzie z centrum rekrutacji i mnie zabrali.

Kilka tygodni później Serhij był już na froncie. Najpierw Charków, później Hulajpole pod Zaporożem. Trafił do „szarej strefy", czyli terenu pomiędzy pozycjami obu armii.

– Nadepnąłem tam na minę. Ruskie rozsypują takie małe samoróbki, wyglądają jak zapalniczki do papierosów, pełno tego wszędzie. Jak śnieg lekko posypie, to już nie zobaczysz. Gdybym nadepnął centralnie, pewnie by mnie już nie było, a tak to tylko noga – mówi.

Szli we trzech. Jeden chłopak po wybuchu wpadł w stupor i zupełnie przestał reagować. Później przez wiele godzin leżeli na pozycji, czekając na możliwość ewakuacji. Przez cały czas w okolicy latały rosyjskie drony, właściwie to nad nimi wisiały. – Leżeliśmy tam w błocie prawie cały dzień, nie dało się ruszyć – wspomina Serhij. – Dopiero wieczorem przenieśli mnie do bunkra operatorów dronów. Na dziewięć dni. Bez leków przeciwbólowych, praktycznie bez jedzenia i z resztkami wody. No, wesoło było. Mieliśmy litr wody na trzech.

Jedli śnieg, gryźli lód. Kiedy wychodzili z bunkra, mieli ziemię w ustach. Bali się tak bardzo, że zaczynali powtarzać modlitwy, o których nawet nie wiedzieli, że je pamiętają. W tym czasie rosyjskie drony obserwowały miejsca zrzutu żywności. – Czekali, aż ktoś wyjdzie po wodę albo jedzenie – opowiada. – Wtedy zaczynali ostrzał. Skuteczny, dwóch żołnierzy zginęło podczas prób dotarcia do zaopatrzenia.

Serhija udało się wynieść dopiero podczas mgły. – Posadzili mnie przy rozwalonym domu i przykryli deskami. Dron cały czas latał nad nami. A później, kilka minut po tym, jak mnie stamtąd zabrali, budynek został zaatakowany. No, wesoło było – powtarza swoją ulubioną frazę.

Teraz z Jasionki pojedzie do Niemiec, gdzie będzie miał wszczepianą endoprotezę kolana, przejdzie też operację stopy.

Serhij w pewnym momencie wyciąga zawinięte w chusteczkę odłamki, które wyglądają jak potłuczona porcelana. – To kości z mojego kolana, na pamiątkę wziąłem.

Po chwili pokazuje też medal za odniesione rany i status weterana działań bojowych. Trzyma go delikatnie, na zniszczonych, spękanych dłoniach.

– Może wrócę do Ukrainy, nie wiem jeszcze. Co będę robił w Niemczech? Ale w domu niepełnosprawny też do niczego nie jest potrzebny. Jakoś daję sobie radę, ale najgorzej jest w nocy. Wszystko mi się śni na nowo.

Most zaufania

Jedną z pierwszych osób, z którą rozmawiają pacjenci po przyjeździe do Jasionki, jest psycholożka Maryna Kuzmyn. W Polsce mieszka od początku wojny. Jej praca zaczyna się już w autobusie albo ambulansie. – Kiedy słyszą ukraiński, od razu pojawia się taki pierwszy most zaufania. Widzą, że tu ktoś zna ich język i może ich zrozumieć, nie czują się obco.

Maryna jest również psychotraumatolożką. Rozmawia z pacjentami, obser-

wuje ich reakcje, próbuje wychwycić symptomy wymagające dalszej pomocy psychologicznej albo psychiatrycznej. – Widzę często nakładanie się różnych traum i zaburzeń. PTSD może iść razem z depresją, zaburzeniami lękowymi albo innymi problemami psychicznymi – wylicza.

Jej pierwsze pytania są bardzo proste: czy coś boli, czy czegoś potrzeba, jak człowiek się czuje. – Śmiejemy się tu czasem, że jestem psychotłumaczem. Jednocześnie mogę tłumaczyć lekarzowi, co mówi pacjent, i obserwować jego stan psychiczny.

Maryna podkreśla, że najważniejsze jest stworzenie poczucia bezpieczeństwa: – Najpierw chcę zbudować relację człowieka z człowiekiem, dlatego nie od razu mówię, że jestem psychologiem. Ludzie często potrzebują przede wszystkim usłyszeć, że to, co teraz czują, jest normalną reakcją na nienormalną sytuację – tłumaczy.

Niektórzy potrzebują wielogodzinnej rozmowy. Inni milczą. Czasem najważniejsze jest samo bycie obok. Cóż bowiem można zrobić w ciągu doby, którą pacjenci z Ukrainy spędzają w Jasionce?

– Tak naprawdę nie chodzi o ilość czasu, tylko o jakość kontaktu. O to, żeby człowiek poczuł z mojej strony: „Jestem dla ciebie. Widzę cię. Chcę zrozumieć twoje potrzeby”.

Maryna wspomina jedną z pacjentek, która po przyjeździe do Jasionki przez wiele godzin płakała. – Pod koniec siedziała już spokojniej, zaplotłyśmy wspólnie warkoczyki, a ona uśmiechnęła się i powiedziała, że jednak widzi jeszcze sens życia. Na pożegnanie wręczyła mi małą latarkę i wyznała, że jestem dla niej światełkiem na końcu tunelu.

■■■

Aleksandr w domu, oprócz rodziny, zostawił niewielki sad i kilka uli. – Trzeba będzie zebrać gruszki, jabłka. Może uda mi się to zrobić nową ręką – opowiada ze śmiechem. Sześcioletnia córka ciągle się pyta, czy będzie miał „żelazną rękę”, ale weteran śmieje się też z tego. – Trzeba się śmiać – mówi. – Życie jest za krótkie, żeby być smutnym, zbyt łatwo można je stracić.

©℗ JACEK TARAN



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Plakat z podobizną Aleksandra Miszalskiego podczas protestu przeciwko gentryfikacji dzielnicy Kazimierz. 1 marca 2026 r.

Demokracja w dole

MAREK KĘSKRAWIEC

SAMORZĄD | Przemysław Czarnek sądzi, że odwołanie w referendum prezydenta Krakowa to „początek wielkiej fali”, która zakończy się odejściem rządu Tuska. Może się bardzo pomylić.

Nie tylko politycy PiS są w referendalnej ekstazie, ale też Konfederacji, która już zapowiada referenda we Wrocławiu, Lublinie, Białymstoku i Rzeszowie. Lista miast, których prezydenci rzekomo nie mogą spać spokojnie, jest oczywiście dłuższa, ale wspólne jest jedno: życzeniowe myślenie polityków prawicy, że ogólnopolską polaryzację i parlamentarne spory da się przenieść jeden do jeden do Polski samorządowej.

Nie da się, na szczęście dla nas. Co prawda spora część wyborców kieruje się sympatiami politycznymi także na poziomie lokalnym, ale w ostatecznym rozrachunku odwołanie prezydenta czy burmistrza musi mieć silne zaczepienie w tym, co nas bezpośrednio otacza.

Czas dla mieszkańców

Fakt, w Krakowie do „pożarcia” Aleksandra Miszalskiego rzuciły się zgodnie i PiS, i obie Konfederacje, tyle że żadnej z nich nie udało się przemycić własnej narracji; musiały podpiąć się pod sprawy lokalne. Ostatecznie prezydenta odwołano z powodu chaotycznego wprowadzenia Strefy Czystego Transportu, obejmującej 60 proc. miasta, przy jednoczesnej podwyżce stawek w strefie płatnego parkowania oraz cen biletów, które stały się dużo droższe niż w Warszawie. Na to nałożyło się promowanie działaczy partyjnych w spółkach miejskich i rosnące w szybkim tempie zadłużenie. Jest ono w sporej mierze spadkiem po prezydenturze Jacka Majchrowskiego, ale wzrost długu w ciągu dwóch lat z 6,5 mld zł do 8,5 mld oraz konieczność opłacania nauczycieli i motorniczych z kredytów bardzo zaniepokoiły mieszkańców.

Największe szanse na zwycięstwo w wyścigu o fotel włodarza Krakowa ma dziś biznesmen Łukasz Gibała ze stowarzyszenia Kraków dla Mieszkańców, który co prawda wraz z częścią ruchów miejskich wybory przegrał już trzy razy, ale dziś sytuacja jest inna. Po zdecydowanej odmowie startu ze strony Małgorzaty Wassermann nie wygląda na to, by ktokolwiek z prawicy mógł z Gibałą zawalczyć. W jego tajny sojusz z PiS wierzą tylko osoby pokroju tzw. Soku z Buraka (trolla z portalu X, który zaangażował się w kampanię Aleksandra Miszalskiego) – program byłego posła Ruchu Palikota jest przecież lewicowy i nie do pogodzenia z poglądami Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli to Gibała miałby stać się dowodem na nadejście „wielkiej fali”, to raczej nie popłyną na niej pisowcy.

Wystarczy spojrzeć na Zabrze. Rok temu odwołano tam w referendum Agnieszkę Rupniewską z KO (za rosnące ↦

↦ zadłużenie, nieprzemyślane zwolnienia w urzędach i szkołach oraz drastyczne podwyżki opłat miejskich), lecz beneficjentem jej porażki nie była prawica, ale Kamil Żbikowski, od 12 lat prezes stowarzyszenia Lepsze Zabrze, zaangażowany w inicjatywy rowerowe i antysmogowe, a także w ratowanie zabrzańskich zabytków – zarazem trzymający się z dala od partii politycznych. Wygrał on wybory w drugiej turze z Ewą Weber z KO. Prawica nie miała nic do powiedzenia.

Z kolei w Rzeszowie – leżącym na z pozoru prawicowym Podkarpaciu i znajdującym się na szczycie listy potencjalnych miast referendalnych – obecnego prezydenta Konrada Fijołka (popartego w 2024 r. przez KO i PSL) ma szansę zastąpić nie żaden baron PiS, ale radny Jacek Strojny, lider Stowarzyszenia Razem dla Rzeszowa.

Przerośnięty rozwój

Generalnie niezadowolenie z obecnych włodarzy miast, których wybrano ledwie dwa lata temu, ma jeden punkt wspólny – ogromne zadłużenie. Wiąże się ono w dużym stopniu z miliardami wydawanymi na zazwyczaj potrzebne, ale drogie inwestycje, które zbudowano w większości z funduszy unijnych. Dziś wiele miast zostało z kredytami, z których dofinansowywano te projekty, ponadto na ich bieżącą działalność, utrzymanie i remonty również potrzeba ogromnych sum.

Politycy mogą kusić mieszkańców swoimi wpływami w Warszawie, ale doświadczenia lokalnych społeczności są w tej kwestii raczej zniechęcające. Budżet państwa jest tak napięty, że nikt dziś nie liczy na wielkie pieniądze z centrali. Dobrym przykładem jest tu zresztą sam Kraków – Miszalski nic spektakularnego u Tuska nie załatwił, a paliwo, jakim miała być dlań budowa metra, okazało się niskooktanowe. Coraz więcej Krakowian martwi się, ile tak naprawdę będzie kosztowało metro i skąd wziąć potem pieniądze na jego utrzymanie.

Nadzieje na to, że Kraków stanie się początkiem jakiejś oddolnej rewolty społecznej, którą prawica uformuje i zagospodaruje, to więc na razie tylko pobożne życzenia. Sam PiS powinien przy tym pamiętać, że w Krakowie z prof. Majchrowskim przegrywały ich największe tuzy, jak Zbigniew Ziobro, Ryszard Terlecki, Andrzej Duda i Małgorzata Wassermann.

To jednak absurd, gdy władza wzywa do ignorowania ważnego święta demokracji. **Ustawa referendalna potrzebuje zmian.**

Ważne jest jeszcze jedno. Co prawda dziś sympatycy KO burzą się, że ledwie 30 proc. wyborców zdecydowało o usunięciu Miszalskiego, którego wybrano przy frekwencji 45,5 proc., ale takie są przepisy. Ponadto w Polsce do tej pory przytłaczająca większość referendów kończyła się klęską już na poziomie zbierania podpisów, albo ludziom po prostu nie chciało się iść głosować (81 proc. przypadków), bo albo nie widzieli aktualnie rządzących w aż tak czarnych barwach, albo nie wierzyli, że ich następcy mają znacząco lepszy pomysł na rządzenie.

Zapewne sukces frekwencyjny krakowskiego referendum da paliwo dla podobnych inicjatyw, ale potrzeba naprawdę silnego komponentu lokalnego, by mogły się udać. Za tym muszą też stać silne grupy stowarzyszonych mieszkańców – totemy polityczne nie wystarczą.

Oczywiście byłoby naiwnością twierdzić, że porażka w Krakowie nie znaczy nic dla partii rządzącej. Nagła klęska prezydenta z KO w drugim największym mieście Polski wzmaga kryzys ekipy Donalda Tuska, do tej pory mocno osadzonej również we władzach miast. I nawet jeśli KO nie zacznie tracić tam wpływów na rzecz prawicy, ale lokalnych aktywistów, będzie ją to ciągnąć w dół przed przyszłorocznymi wyborami do parlamentu.

Przepisy do zmiany

Większy kłopot niż partia rządząca mamy jednak my sami – członkowie lokalnych społeczności. Przepisy mówią, i tak będzie w Krakowie, że „zastępczy" prezydent zostanie wybrany nie na 5 lat, ale tylko do wyborów samorządowych w 2029 r., to zaś oznacza, że ledwie zreformuje magistrat i zacznie wdrażać zmiany, a już przystąpi do kolejnego egzaminu. To zaś zniechęci niejednego poważnego kandydata.

Problemem są też inne regulacje, czyniące z referendów antyświęto demokracji, na co od dawna zwraca uwagę prof. Jarosław Flis, nazywający obecne reguły „idiotycznymi". Fakt, że w Polsce do ważności referendum odwoławczego potrzebna jest liczba wyborców przekraczająca 60 proc. uczestników głosowania, w którym wybrano aktualne władze samorządowe – sprawia, że o taką ważność niełatwo, a rządzący wprost nawołują zwolenników do pozostania w domach. Można ich zrozumieć: w referendum odwoławczym dominują negatywne emocje, więc łatwiej pójść do urn przeciwnikom niż sympatykom władzy. To jednak absurd, gdy władza wzywa do ignorowania tak ważnego święta demokracji.

Stąd coraz liczniejsze postulaty, by dokonać zmian w ustawie referendalnej. Np. w taki sposób, by zwiększyć liczbę podpisów koniecznych do zatwierdzenia wniosku obywateli o głosowanie, ale zarazem umożliwić ich elektroniczne zbieranie. Jednocześnie (jak proponuje Klub Jagielloński) można w ogóle zlikwidować frekwencyjny próg ważności oraz uniemożliwić lokalnym władzom wydawanie propagandowych pism (w Krakowie wydrukowano przed referendum 220 tys. egzemplarzy samorządowej gazetki) z pieniędzy podatników. Klub Jagielloński postuluje też ustanowienie dnia referendalnego w Polsce. Jego dobre rozreklamowanie podniosłoby na pewno frekwencję i sprawiło, że raz do roku – tam, gdzie jest to konieczne – mielibyśmy w Polsce celebrację lokalnej demokracji.

Będą musieli się starać

Z kolei prof. Flis proponuje, by nie likwidować frekwencyjnego progu ważności, ale ustanowić taki wymóg tylko dla głosów za odwołaniem władzy; wtedy nie trzeba będzie namawiać zwolenników do pozostania w domach. Ponadto warto rozważyć pomysł, by połączyć referendum odwoławcze z pierwszą turą nowych wyborów na prezydenta. Podniesie to jeszcze bardziej frekwencję i pozwoli zaoszczędzić fortunę (powtórne wybory w Krakowie mają kosztować 8 mln zł).

Istnieje na pewno jeden dobry efekt obecnego szumu wokół referendów. Lokalne władze będą się musiały bardziej starać, by zadowolić mieszkańców. Oby tylko robiły to dzięki dobrym pomysłom i pracowitości, a przy mniejszych kredytach, które potem spłacają ich następcy.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

OLGA

Drenda:
Wyprawa na Atlantydę

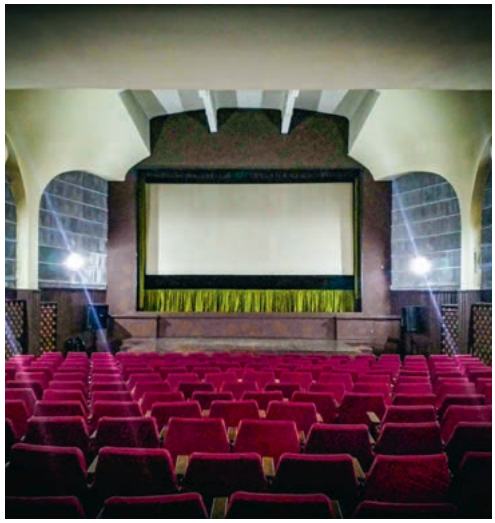


Przez ponad 30 lat animowany jegomość w cylindrze przemierzał narysowaną ulicę w miasteczku jakby z obrazu Nikifora, nie zginając przy tym kolan. Gdy wybrzmiewały ostatnie takty motywu z piosenki Władysława Szpilmana, nasz bohater wchodził do kina i rozpoczynał się seans. Ale przed samym seansem opowiadał o filmach pan Stanisław Janicki, nieodmienny towarzysz niedzielnej pory obiadowej. Staranna, staromodna polszczyzna, wdzięk niewymuszonej wiedzy i błyskotliwej anegdoty, i wreszcie stary świat na ekranie. Przez zamaszyste gesty, to chwytanie się za serce, to załamywanie rąk, i mocne makijaże aktorów wydawało się, że to świat prastary i daleki jak Atlantyda.

Jednocześnie był to świat na swój sposób zwyczajny, bo czarno-białe filmy nadawano w telewizji dość często. Zresztą i tak nie miało to wielkiego znaczenia, bo w domu długo stał czarno-biały telewizor Beryl 102. A i to o Atlantydzie ma w sobie coś z prawdy.

Pana Stanisława Janickiego właśnie żegnamy, zmarł w wieku 92 lat. Płyną wspomnienia, wzruszające, ale i żartobliwe, często związane z niecierpliwym wyczekiwaniem, aż animowany „ludzik" wreszcie dotrze do kina, albo z tajemniczymi ciemnymi okularami gospodarza programu. Cykl „W starym kinie" pozostawał częścią programu telewizyjnego przez rekordowe 32 lata.

Gdy myślę o gospodarzu „W starym kinie", podziwiam człowieka – jak chcę myśleć – chyba spełnionego, a na pewno imponującego trzymaniem się własnej drogi. Kogoś, kto nie porzucił ani na chwilę swojej największej pasji. Nie tylko dlatego, że zawodowo pozostał czynny do końca swoich dni, ale też dlatego, że nieustannie udowadniał, że dowolny temat, o którym ma się dużą wiedzę i umie się zajmująco opowiadać, to niewyczerpana kopalnia skarbów.



OLGA DRENDA

W starym kinie (na zdjęciu bardzo stara zabrzańska Roma)

Gdy jego najsłynniejszy program zdjęto z anteny, zaczął prowadzić inne – w telewizji, w radio, na żywo. Wszystkie poświęcone były temu, na czym Stanisław Janicki znał się najlepiej, czyli starym filmom, i zawsze przyciągał nowych pasjonatów. To była znakomita lekcja modoodpornosci; tego, że nie ma czegoś takiego jak pasja przebrzmiała czy niedzisiejsza, tak długo, jak pozostaje pasją.

Za żadne skarby nie chcę, żeby niniejszy felieton nabrał wydźwięku sentymentalnego. Oskarżenie o sentymentalność, choć nie jest to przecież żaden grzech, to w dzisiejszych bezwzględnych, miłujących efektywność i wymuszone aktualizacje systemu czasach najgorsza anatema. Absolutnie nie otwieram tu żadnego nostalgicznego okienka i zachęcam, jak zawsze, do spojrzenia szerzej: ja w opowieściach Stanisława Janickiego o starym kinie widzę przede wszystkim pochwałę konsekwencji i przywiązania do solidnej roboty.Dla wielu moich rówieśników – oprócz naładowanego emocjami kompleksu splecionych wspomnień, w których nakładały się na siebie rozprężenie niedzielnego poobiedzia, wzbierająca nerwowość przed szkołą i postacie mówiące ze scenicznym „ł" – był to bilet do nowej fascynacji, na nieodkryty jeszcze ląd. Nawet jeśli obok siedziała babcia, która wspominała swoje wizyty w kinie za młodych lat, to dla nowych widzów seanse te przynosiły nie nostalgię, a podróż w nieznane. To, co ktoś widzi czy słyszy po raz setny, ktoś inny – poznaje właśnie po raz pierwszy.

Podobne doświadczenie odkrycia zupełnie nowej jakości dzięki starszym filmom zdarza się i dzisiaj. Dość często do kin wprowadza się ponownie klasyki sprzed lat kilkudziesięciu (czyli dla dzisiejszego dwudziestolatka równie wiekowe, co projekcje z „W starym kinie" dla mnie). Nic zresztą dziwnego, powstało już tyle filmów, że nawet gdyby ktoś oglądał je codziennie przez całą dobę, to nie przerobi. Podobno czasem zdarza się, że widz przyzwyczajony do obrazu z kopii cyfrowej jest zdumiony tym, jak ogląda się film z taśmy. Zawsze trochę zazdroszczę ludziom takich „szoków przeszłości".

Ostatnio często myślę o tym, jak bardzo nie można pozwolić sobie wmówić, że coś, co robimy, a zwłaszcza co kochamy, jest przeżytkiem. Ale w takiej konsekwencji, choć z pewnością ma ona swoje koszty, kryje się wielka satysfakcja. Przymus „podążania za duchem czasu" to bywa zaś – nie zawsze, ale bywa – zwodniczy fetysz niewart tej wściekłej pogoni, zupełnie jak figurka sokoła maltańskiego w pewnym starym filmie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

ROZMOWA

JAK JOHN I LENNON

WOJCIECH WAGLEWSKI:
Raz jest lepiej, raz gorzej. Zająłem się pracą.
Oprócz kolegów, bardzo pomogła mi dyscyplina.
Do życia podchodzę zadaniowo.

WOJCIECH BONOWICZ: Przyszedłem tu z jedną myślą właściwie: o co pytać kogoś, kto cierpi z powodu straty?

WOJCIECH WAGLEWSKI: Ja ci nie pomogę. Próbuj.

Bo wydałeś wraz z Voo Voo wspaniałą płytę – „Dźwięczność". I w związku z tym udzieliłeś dziesiątków wywiadów, poświęconych głównie muzyce. I w tych wywiadach czasem wprost, ale najczęściej niewypowiedziane, powraca jedno pytanie: jak on się trzyma?

Zwykle mówię, że nie wolno mnie o to pytać. A tobie nie mówiłem, że nie wolno?

Nie.

No to pytaj.

To jak się trzymasz?

Koledzy twierdzą, że zajebiście. No ale koledzy... To po prostu trzeba z sobą samym...

...jakoś uzgodnić?

Najkrócej mówiąc: raz jest lepiej, raz gorzej.

W wywiadach wspominasz o dyscyplinie. Że ona Cię ratuje.

Dyscyplina, filmy akcji, kryminały... Powoli dociera do mnie, że nic się z tym nie zrobi. Po prostu wszedłem w taki etap życia, kiedy traci się przyjaciół, albo kogoś z rodziny, i nic się na to nie poradzi.

Opowiadasz na tej płycie o kręceniu się bez celu, gapieniu w ścianę, ale też o tym, jak bardzo potrzebujemy jedni drugich. Śpiewasz: „muszę znaleźć sobie jakiś cel". Ta płyta to zapis zmagania, jak żyć dalej po śmierci Grażyny?

No tak...

Na jednym z portali, gdzie zamieszczane są teksty piosenek, ktoś zabawnie przekręcił refren jednej z nich. Ty napisałeś: „Ktoś ci musi pomóc z boku", a na portalu jest: „Ktoś Ci musi pomóc, Bogu". I nagle zrobiła się z tego opowieść metafizyczna, trochę w Twoim duchu, bo lubisz tego typu „przekrętki".

To jest ukłon w stronę kolegów, którzy bardzo mi pomogli. Bo ruszyć z miejsca było niezwykle trudno. Znaleźć jakiś pomysł, co robić, żeby robić cokolwiek.

Za radą syna poszedłem do terapeuty. Na dzień dobry zrobił mi wykład o tym, jak wygląda problem śmierci w różnych kulturach. Wspomniałem mu, że studiowałem socjologię i antropologię kulturową, więc temat nie jest mi obcy. On jednak twardo szedł dalej, bardzo zadowolony z siebie. A potem, nie pytając, czy mam jakichś znajomych, rodzinę, jak wygląda moje życie i tak dalej, powiedział, że przede wszystkim nie powinienem wracać do pracy. I przepisał mi jakieś środki. Poszedłem do mojej lekarki, pytam, co to jest, a ona mówi, że to taki podstawowy zestaw, który mogłem sobie sam wyguglować. No to dałem sobie spokój z lekami.

Podobno to dobry terapeuta, wielu ludziom pomógł. Nie chcę go obciążać. Ale ze mną to był totalny niewypał.

I co zrobiłeś?

Zająłem się pracą. Oprócz kolegów, bardzo pomogła mi dyscyplina, o której wspomniałeś. Poustawiałem sobie wszystko jak w wojsku: o tej wstaję, o tej czytam, o tej próba.

Zawsze byłeś pracowity, punktualny. To rzeczywiście wpływ wojska?

Wojsko zapamiętałem jako czas, kiedy człowiek nawet sikał na komendę. Wszystko, cała fizjologia, było podporządkowane dyscyplinie. I ta dyscyplina mnie wtedy uratowała, bo oderwała od myślenia o dramacie, w jakim się znalazłem. Ja przecież trafiłem do wojska „przez zaskoczkę". Byliśmy młodym małżeństwem, Grażyna była w ciąży. Opłaciłem kogoś, żeby się wymigać, ale i tak mnie wzięli. Od pierwszego dnia byliśmy na każdym kroku upokarzani.

No bo chłopaki po studiach, „koguty", nie znają życia.

I w takiej sytuacji dyscyplina to był jedyny ratunek: o szóstej pobudka, ↦



WOJCIECH WAGLEWSKI (ur. 1953) jest gitarzystą, wokalistą, kompozytorem i autorem tekstów. Od lat 80. XX wieku uczestniczy w wielu kluczowych inicjatywach w dziejach polskiej muzyki. Jest liderem zespołu Voo Voo, którego nowa płyta „Dźwięczność" miała premierę przed kilkoma tygodniami, wraz z synami współtworzy formację Waglewski Fisz Emade. Z Wojciechem Bonowiczem wydał rozmowę rzekę „Wagiel. Jeszcze wszystko będzie możliwe". Na zdjęciu: na Rynku Podgórskim w Krakowie, 5 czerwca 2022 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

↦ pierwsza rzecz – szlug na czczo, a potem już wszystko na sygnał. Wyłączenie myślenia. To mnie uratowało od deprechy.

I teraz podobnie. Życie jest podzielone na małe fragmenty: we wtorek myślę, co będę robił w środę, co w czwartek, co w piątek. Z godzinami, minutami. Podchodzę do życia zadaniowo.

A jak ze snem?

Śpię świetnie. Niczego nie muszę brać na spanie. Nie mam też żadnych znamion depresji, jak myśli samobójcze czy niechęć do jedzenia. Dużo ćwiczę: pompki, brzuszki, basen. To też wyłącza myślenie i daje takie proste satysfakcje: wczoraj przepłynąłem kraulem tyle, a dziś tyle.

A gitara? Ćwiczysz regularnie?

Oczywiście. Bez tego nie mógłbym pracować.

Gdyby nie śmierć Grażyny, też pewnie rozmawialibyśmy o dyscyplinie – ale w innym kontekście. Robiłbym z Tobą rozmowę o facecie, który postanowił się nie zestarzeć. Cały czas ma nowe pomysły, energię, jakiej wielu młodszych kolegów mogłoby mu zazdrościć.

Nigdy nie myślałem, że się nie zestarzeję. W ogóle się na tym nie skupiałem. Odnajduję się w starzeniu kogoś takiego jak Keith Richards. Jak Iggy Pop słabiej – według mnie, powinien już na koncertach zakładać koszulę. Ale generalnie nie widzę w starości niczego złego. I naprawdę nie wiem, jak to się stało, że z pięćdziesiątki prześmignąłem do siedemdziesiątki.

Pracujesz tyle samo, kondycję masz dobrą.

To akurat zasługa czwartego piętra bez windy. Codziennie kilka razy pokonuję te schody. Gdzieś wyczytałem, że jak się mieszka na czwartym piętrze bez windy, to można odpuścić sobie biegi i inne rzeczy. Dla mnie to najprostszy, codzienny test, w jakiej jestem formie.

A drugi test, który sobie robię, to test pamięci. Jeżeli się czegoś boję, to takiej alzheimerskiej sytuacji. Dlatego ćwiczę pamięć na okrągło. Choćby przez uczenie się tekstów. Gram w kilku różnych zestawach – Voo Voo, Waglewski Fisz Emade, duety – więc to nie jest takie proste. Jak wychodzi płyta, muszę się nauczyć nowego materiału, co dla mnie jest dramatem zupełnym. A przecież gramy też od czasu do czasu stare płyty.

Odnajduję się w starzeniu kogoś takiego jak Keith Richards.

Jak Iggy Pop słabiej – według mnie, powinien już na koncertach zakładać koszulę.

To jest dobre ćwiczenie.

A jeszcze mam coś takiego, że np. widzę w telewizorze jakiegoś aktora i nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. I wtedy nie szukam w komputerze, tylko sam się staram odgadnąć, jak się gość nazywa. I dopiero jak nie idzie, to nieraz o drugiej w nocy zaglądam do internetu. „No nie, George Clooney przecież. Jak mogłem na to nie wpaść?!". I potem sobie wymyślam jakąś ścieżkę skojarzeń, żeby mnie następnym razem do tego Clooneya doprowadziła.

Niektórych rzeczy w domu musiałem się nauczyć. Np. gdzie odłożyć łyżkę, żeby ją potem znaleźć. Wcześniej Grażyna tego pilnowała. A teraz...

„Dźwięczność" wyszła w szczególnym momencie także z innego powodu. W tym roku Voo Voo świętuje 40-lecie pierwszej płyty.

Pierwszy skład był eksperymentalny. Płytę nagrywałem z ludźmi, których lubiłem, ale o których wiedziałem, że nie stworzą ze mną zespołu. Na basie grał „Karakuł", czyli Andrzej Nowicki, a na perkusji Wojtek Morawski. Wojtek miał już wtedy zakontraktowany statek, a „Karakuł" zupełnie nie wierzył w muzykę, którą robimy. Niemniej zagrał bardzo dobrze, bo był zawodowcem. Obaj już nie żyją, Wojtek zmarł dwa miesiące temu.

Pierwszy występ mieliśmy w Jarocinie, już bez „Morawca", którego zastąpił Marek Czapelski. Dołączył do nas Milo Kurtis, który latał po scenie i hałasował. Milo bardzo mi pomógł po śmierci Grażyny. Zaprosił mnie do siebie do Grecji. Nikt tam niczego ode mnie nie chciał, nikt mnie nie pocieszał. Siedziałem całe dnie w spokoju i piłem winko.

Skład na początku często się zmieniał. W Polskim Radiu odnalazło się ostatnio nagranie z 1986 r., na którym są już „Pośpiechy" – Mateusz i Janek Pospieszalscy – i Andrzej Ryszka, który zastąpił Czapelskiego. To była sesja dla radiowej Dwójki, mało piosenkowa, tam są głównie utwory instrumentalne. Ja rzadko słucham własnych płyt z przeszłości, ale ten materiał przesłuchałem i moim zdaniem jest powalający. Nie wiedziałem, że my już wtedy tak się dobrze rozumieliśmy i osiągnęliśmy taki poziom brzmienia. Jak wszystko dobrze pójdzie, wyjdzie to w tym roku jako płyta, a jesienią zagramy koncert z Ryszką.

W historii Voo Voo było potem wiele trudnych momentów. Ale zespół przetrwał.

Najtrudniej było po śmierci „Stopki" – Piotrka Żyżelewicza. Wtedy jeden jedyny raz myśleliśmy o rozwiązaniu zespołu. Wydawało się nam, że nie znajdziemy perkusisty, który mógłby go zastąpić. Przetrwaliśmy tylko dlatego, że kolejny raz postanowiliśmy się zmienić. Ze „Stopką" krótko przed jego śmiercią nagraliśmy najbardziej dowaloną, rockową płytę, „Wszyscy muzycy to wojownicy". Dla Michała Bryndala, który przyszedł na jego miejsce, to była trudna sytuacja, bo on miał upodobania raczej jazzowe. I myśmy przy Michale zmienili sposób grania – i to nas uratowało.

Voo Voo ma coś w rodzaju wewnętrznego kleju, który trzyma Was razem.

Pomaga przede wszystkim to, że jesteśmy zespołem improwizującym. W latach 60. ubiegłego wieku w muzyce rockowej pojawił się pomysł grania nie tylko piosenek, ale również innych form, które mogłyby w pewnym stopniu konkurować z jazzem. Robił to Jimmy Hendrix, robiły zespoły typu Cream czy nawet Led Zeppelin. Dziś Zeppelinów kojarzymy z przebojami, ale pomysł pierwotny był inny. Grało się dziesięciominutowe formy, które nawet jeśli miały jakiś tekst, refren, to była to rzecz o drugorzędnym znaczeniu.



STACH LESZCZYŃSKI / PAP

Grażyna i Wojciech Waglewscy, gala „Kryształowe Zwierciadła", Warszawa 2014 r.

Ważne było, żeby pokazać umiejętności poszczególnych muzyków. W polskiej wersji przykładem takiego zespołu jest SBB, które nigdy nie miało przebojów, a na koncerty zawsze ściągały rzesze fanów. Nie tylko w Polsce, ale i w Holandii, Austrii czy w Czechach.

O Voo Voo też mówisz, że to zespół, który nie ma przebojów. Choć to niezupełnie prawda.

Najważniejsze jest, żeby każdy z muzyków się rozwijał. To podstawa funkcjonowania takiego zespołu jak nasz. Jak gra się w kółko to samo, to nie ma mowy o rozwoju. Trzeba każdemu, niezależnie od jego preferencji muzycznych, wieku itd., pozwolić robić to, co lubi. A jednocześnie znaleźć sposób, żeby on te umiejętności, gdzie indziej doskonalone, wykorzystał w pracy zespołowej.

Ostatnio niemal w każdym wywiadzie przywołuję Staszka Soykę. Po jego śmierci trafiłem gdzieś na jego *credo* życiowe, które stało się też moim. Staszek powiedział, że miał dwa pragnienia w życiu: po pierwsze – żeby móc utrzymać z muzyki siebie i rodzinę, a po drugie – żeby zasłużyć na uznanie swoich mistrzów. Nam w Voo Voo ta sztuka się udała. Graliśmy z Tomaszem Stańką, z Alimem Qasimovem, artystami, których wcześniej podziwialiśmy. Przybijaliśmy „piątki" z ludźmi, od których uczyliśmy się, co i jak robić.

A równocześnie zawsze pojawiał się przy Was ktoś młody. Jak teraz Daria ze Śląska.

To akurat robił już Miles Davis, który cały czas szukał młodych muzyków. Chodziło o wymianę energii, o świeże spojrzenie. Jest sporo świetnych wykonawców w Polsce, którzy nie mogą się przebić ze swoją muzyką szerzej. A jednocześnie to, co jest popularne, jest męczące, bo powtarzalne. Największą radość sprawia mi znalezienie kogoś takiego jak Daria – kogoś osobnego, kto pisze ładne, bardzo osobiste piosenki, niczym jeszcze nieskażone. Jestem pewien, że taka osoba prędzej czy później dotrze do ludzi, znudzonych tą sztancą, która teraz dobrze się sprzedaje.

A z drugiej strony – lubię obserwować powroty. Podoba mi się powrót Dezertera na przykład. Mają fantastyczny kontakt z publicznością. My też nie możemy narzekać. Jest mnóstwo zaproszeń, także na wielkie festiwale. Chociaż ja najchętniej gram w małych miejscach. Zamiast występować „na świeżaku", wolę zagrać 5-6 kameralnych koncertów w klubach.

Jak pierwszy raz słuchałem „Dźwięczności", to zauważyłem, że jest tam sporo aluzji, a nawet cytatów z Waszej wcześniejszej twórczości. I pomyślałem: „Oho, to jest płyta na pożegnanie". A potem słuchałem jeszcze raz i jeszcze, i pojawiła się inna myśl: że zbieracie siły do kolejnego skoku.

Chyba ani to, ani to. Po prostu pojawiła się w nas ogromna chęć, żeby tę płytę nagrać. Z początku troszkę się „macaliśmy". Koledzy nie wiedzieli, czy ja się podniosę, jak to będzie wyglądało. A ja miałem już prawie wszystko przygotowane. Poprosiłem Mateusza, żeby napisał „Dina ta", taki pogodniejszy utwór, w którym on śpiewa w wymyślonym języku. To oczywiście jest aluzja do tego, co robiliśmy przed laty, a co wcześniej robił np. Don Cherry. Chciałem, żeby pojawiło się coś w duchu „Łobi jabi" – takiego obrzędowego, wspólnotowego śpiewu.

Ta płyta jest bardziej zespołowa. Jest mniej popisów solowych albo są krótsze. I świetnie sprawdza się koncertowo, choć muzycznie jest jedną z naszych trudniejszych płyt. Kiedy się nagrywa takie płyty, jak „Oov Oov" czy „Siódemka" – zawsze jest obawa, czy na koncertach to chwyci. Jakiś czas temu graliśmy „Siódemkę" przed Patti Smith i połowa publiczności się obraziła, bo czekała, że będą „czady", mocne rockowe granie. A my zagraliśmy na kontrze totalnej, w dodatku ze śpiewaczką operową. Jedni się obrazili, a drudzy rzucili się kupować płytę, bo to było dla nich objawienie. Zaczepiali mnie potem: „Panie Wojtku, co to było?!!!".

Powiedziałeś mi kiedyś, że każdą płytą starasz się coś sobie udowodnić. A tą?

A tą nic, absolutnie. Po prostu czułem, że trzeba ją nagrać, powiedzieć ludziom, że jestem.

„Dźwięczność" ma specyficzny nastrój. Z jednej strony są „mroki" – i w tekstach, i w nutach. A z drugiej jest tak ułożona, że zdaje się prowadzić w stronę jakiegoś światła.

Bardzo lubię piosenkę „Na moment", w której pojawia się Daria. Ta piosenka, mówiąc najkrócej, zaprasza do uważności. Skoro nie można być pewnym ani ↦



WOJCIECH BONOWICZ / MONTAŻ „TP"

Dla mnie to jest przejmujące: że straciłeś kogoś najważniejszego, a jednak **zachowałeś zachwyt.**

Nie mam wyjścia... Może chodzi po prostu o to, żeby znaleźć sobie jakiś **pretekst do życia?**

↦ dnia, ani godziny, to należy każdą minutę celebrować.

A ja piosenkę „W niebycie". Kto Ci podpowiedział te jerzyki, które „śpią, jedzą i kochają się w locie"?

Ksiądz Twardowski. U niego to wyczytałem.

Ja w ogóle uwielbiam ptaki. Jak kupiliśmy z Grażyną dom niedaleko Kazimierza, po drugiej stronie Wisły, to przeżyłem niesamowite spotkanie z kosem. Ja wcześniej nie wiedziałem, że kos jest tak znakomitym śpiewakiem. Któregoś dnia wstaję i słyszę, jak ktoś śpiewa na maksa. Z początku myślałem: pewnie słowik. Coś zagwizdałem, a on skubany mi odpowiada. To ja jeszcze raz, a on też. Gadaliśmy tak prawie pół godziny. Co za metafizyka! No i okazało się, że to kos.

Ptaki to dla mnie kwintesencja piękna. Nie znam brzydkiego ptaka, nawet taki wróbelek ma w sobie coś fantastycznego.

Pamiętasz zakończenie naszej książki? Rozmawialiśmy tu na balkonie i akurat odezwał się jakiś ptaszek. A Ty zacytowałeś Tomasza Hołuja: „Zobacz, nie ćwiczą, a jak pięknie śpiewają".

Tak naprawdę dopiero na wsi to doceniłem. Bo jednak w mieście ptaki boją się do ciebie zbliżyć. A tam nie. Chętnie z tobą rozmawiają.

Dla mnie to jest przejmujące: że straciłeś kogoś najważniejszego, a jednak zachowałeś zachwyt.

Nie mam wyjścia... Może chodzi po prostu o to, żeby znaleźć sobie jakiś pretekst do życia?

Choć jedno zmieniło się na pewno: nie ma we mnie lęku przed śmiercią. Kompletnie. Nie ma znaczenia, czy to będzie za tydzień, miesiąc, rok, kilka lat. Zrobiłem wszystko, co chciałem. Oczywiście, trzyma mnie przy życiu więź z dziećmi, z wnukami. Ale wiem, że one beze mnie też dadzą sobie radę.

I nadal grasz dla Grażyny? Dla niej ta płyta jest nagrana?

Całkowicie. Utwór tytułowy powstał na jej życzenie. Miałem ochotę zrobić sobie przerwę od nagrywania, bo zauważyłem, że ludzie przestali kupować płyty. Koncerty się sprzedawały, a płyty nie. Ale Grażyna poprosiła, żebym nagrał coś z gitarową solówką, taką klasyczną, nie udziwnioną. Dla mnie to było trudne, bo ja takich solówek nie lubię.

Pamiętam, że siedzieliśmy kiedyś we trójkę u Was w salonie. I Ty zacząłeś o tych solówkach, a Grażyna się skrzywiła: „Ja go proszę, a on marudzi".

No i w końcu złamałem się i nagrałem. Bałem się, że koledzy mnie wyśmieją, ale nie. O dziwo, utwór bardzo się spodobał, nawet „Bryndowi", najmłodszemu w zespole. A najważniejsze, że Grażyna była zadowolona.

Tekst tej piosenki też jest szczególny. Jedno zdanie: „Jakim się dźwiękiem Tobie oddźwięczyć mam za tak wiele dobrego...". To brzmi jak zwrot do Boga. Ale dalej jest: „...gdy Bóg błaznom darował świat, a ten grzeszy wciąż w imię jego". To do kogo to jest powiedziane?

Kiedy pisałem ten tekst, myślałem o tych wszystkich ludziach, którzy nas słuchają. Czułem wdzięczność za to, że dali mi przez lata tyle radości. Ale po śmierci Grażyny to się zmieniło. I kiedy śpiewam, to myślę o niej przede wszystkim.

Grażyna bardzo się denerwowała tym, co się dzieje ze światem. Tą pogardą dla inteligencji, dla sztuki, upadkiem kultury politycznej. We dwójkę to się jeszcze jakoś dawało rozgadać. Ale jak zostałem sam, to sobie pomyślałem: „Po kiego grzyba tym się interesować?". I teraz w ogóle nie oglądam wiadomości.

Stąd mocna deklaracja: „Nie będę pytał, nie będę wnikał. Ja już się o nic nie biję".

Na płycie jest więcej takich osobistych akcentów. Np. w utworze „Czekam" jest fraza: „Żyliśmy jak dwa w jednym, jak czasem John i Lennon". Kiedyś w drodze do Berlina słuchaliśmy w samochodzie Lennona i Yoko Ono. I Grażyna w pewnym momencie mówi do mnie: „My to jesteśmy jak John i Lennon".

Piękne przejęzyczenie.

I tak zostało.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje. Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale też w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście



Kupując lub przedłużając prenumeratę roczną „Tygodnika Powszechnego” w maju, otrzymujesz specjalną ofertę:

OFERTA CENOWA PRENUMERATY ROCZNEJ

InPost	~~cena 1000 zł~~ **nowa cena 686 zł**
Odbiór w Żabce	~~cena 736 zł~~ **nowa cena 688 zł**

Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	~~cena 734 zł~~ **nowa cena 687 zł**
Poczta + wydania specjalne	~~cena 834 zł~~ **nowa cena 787 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



STO TYSIĘCY TWARZY

Półtora roku po upadku Asada Syryjczycy wciąż szukają zaginionych podczas 14-letniej wojny: odkrywają masowe groby, domagają się sprawiedliwości i próbują uwolnić się z traumy.

TEKST I ZDJĘCIA MIŁKA FIJAŁKOWSKA Z DAMASZKU I WSCHODNIEJ GHOUTY (SYRIA)



Walki trwały przez pięć lat, aż w 2018 r. siły Asada przełamały opór powstańców. Hasna Issa miała wtedy szczęście: opuściła miasto w konwoju humanitarnym. Dziś wraca tu życie. Wschodnia Ghouta, maj 2026 r.

To był symboliczny moment: pod koniec kwietnia przed sądem w Damaszku stanął w więziennym drelichu Atef Nadżibb, jeden z oprawców reżimu Baszara al-Asada. Jest oskarżony o zbrodnie przeciw narodowi syryjskiemu. Postawiono mu kilkanaście konkretnych zarzutów, w tym wydawanie rozkazów aresztowania i torturowania dzieci.

Syryjczycy mają nadzieję, że to dopiero początek wymierzania sprawiedliwości; obiecał to nowy rząd, powstały po obaleniu Asada w grudniu 2024 r.

– Syria jest w końcu nasza, ale wciąż czekamy na sprawiedliwość – mówi mi Hasna Issa, dziennikarka i działaczka na rzecz praw kobiet ze Wschodniej Ghouty, więziona za czasów Asada.

STO TYSIĘCY | Nadżibb był generałem, szefem Departamentu Bezpieczeństwa Politycznego w mieście Daraa. To tam w marcu 2011 r. zaczęła się syryjska rewolucja, od pokojowych demonstracji. Szybko przerodziła się w wojnę – najpierw domową, potem z udziałem zewnętrznych aktorów. Trwała ona niemal 14 lat, pozostawiła kraj w ruinie – oraz w kolektywnej traumie.

W tym czasie zginęło co najmniej pół miliona ludzi, a setki tysięcy trafiły do więzień. Gdy w grudniu 2024 r. bojownicy organizacji Hayat Tahrir asz-Szam przejmowali kolejne miasta, wypuszczano z więzień tych, którzy przeżyli. Rodziny szturmowały budynki, by odnaleźć bliskich lub choćby zdobyć o nich jakiekolwiek informacje.

W wielu wypadkach to jednak niemożliwe. Gdy odwiedzam więzienie w Damaszku, oficer nowej syryjskiej armii pokazuje mi dawne archiwum. Niewiele po nim zostało: akta więźniów, segregatory z nazwiskami, wyrokami i protokołami egzekucji spalono. Reżim niszczył ślady.

Ponad 100 tys. Syryjczyków nadal jest uznawanych za zaginionych. W wielu miejscach kraju wciąż odkrywane są masowe groby, w których chowano zamordowanych.

WYSTAWA | Rok temu, 17 maja 2025 r., nowy rząd powołał Komisję ds. Zaginionych za rządów Asada. Dzień później Sana Yazigi otworzyła swoją pierwszą wystawę. „To zwycięstwo żyjących i początek sprawiedliwości dla tysięcy zaginionych" – mówiła do zebranych w Muzeum Narodowym w Damaszku.

Gdy Sana oprowadza mnie dziś po niej, nie kryje wzruszenia. Wystawa „Aresztowani i zaginieni" obejmuje 1,2 tys. prac. „Gdzie oni są? Gdzie są ich twarze i głosy?" – czytamy w opisie. To cytat z libańskiej wokalistki Fairuz, ikony arabskiej piosenki. Tych słów Syryjczycy używali w trakcie rewolucji.

– Chcę tą wystawą zachować pamięć o rewolucji i oddać głos jej uczestnikom – mówi Sana. Poświęciła 12 lat na budowanie elektronicznego archiwum „Kreatywna pamięć syryjskiej rewolucji", dokumentującego walkę o wolność z lat 2011-2024.

Są tu najróżniejsze prace: graffiti, grafika, transparenty, zdjęcia, plakaty, komiksy, poezja. – Wszystko, czym Syryjczycy wyrażali walkę o wolność i wszystko, czego reżim nienawidził – mówi Sana.

TORTURY | – W więzieniu zobaczyłam, co reżim robi z ludźmi – mówi mi Hasna Issa. Została aresztowana w grudniu 2014 r. na punkcie kontrolnym, gdy chciała dostać się ze Wschodniej Ghouty (wtedy miejsce walk między siłami opozycji a armią Asada) do szpitala w Damaszku, na operację usunięcia guza jajnika.

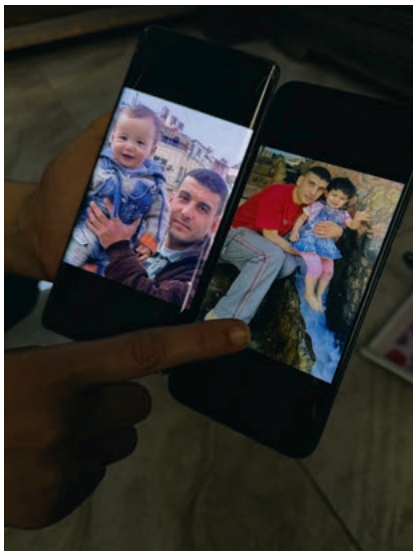
– Mój stan był poważny, musiałam ryzykować. Nie udało się. Gdy mnie zatrzymali, myślałam tylko o tym, że nie zobaczę już córek – mówi. Była na celowniku władz za pracę dziennikarską i organizowanie edukacji dla dzieci. W mediach lokalnych i sieci pisała o bombardowaniach i masakrach cywilów. – Gdy mnie torturowali, mówili: „Wiemy, co robisz. Uczysz dzieci terrorystów, wspierasz ich w mediach" – wspomina Hasna.

Od zawsze działała społecznie. – W trakcie bombardowań organizowałam naukę dzieci w piwnicach. Wspierałam kobiety i dziewczęta sesjami psychologicznymi. Pracowałam cały czas, to pozwalało mi przetrwać ten koszmar – wspomina Hasna.

Na skutek bicia jej guz pękł, dostała krwotoku. Hasna: – Zaczynali około drugiej w nocy. Wieszali mnie pod sufitem, bili kablem i gumową pałką. Rzucali o podłogę, kopali.

W jej celi było 14 kobiet. – Niektóre zostały zgwałcone. Wracały do celi, krwawiąc. Jedna została zgwałcona na oczach męża, aresztowanego razem z nią. Nie wytrzymał tego, dostał zawału i zmarł – opowiada.

ŁAPÓWKI | Hasna była w więzieniu trzy miesiące. Dostała wyrok śmierci, ale rodzinie udało się ją wykupić za 20 tys. ↦





Od lewej: Hiba Muhammad Issa pokazuje ostatnie zdjęcia męża z dziećmi. Rodzina zapłaciła łapówkę ze jego życie, ale została oszukana – mąż Hiby zginął prawdopodobnie w 2014 r. Obok: reżim Asada niszczył ślady: spalone archiwum więzienia w Damaszku, maj 2026 r.

↦ dolarów łapówki. Hasna: – To cud, że przeżyłam, mój organizm był tak słaby. Dziennie dostawałyśmy jednego ziemniaka, kawałek chleba, wodę.

Zwolniona, trafiła do szpitala, gdzie usunięto jej jajniki.

Ją udało się uratować, ale jej szwagra, który został aresztowany w 2013 r., już nie. Wprawdzie rodzina zapłaciła, ale została oszukana. Potem dowiedziała się, że był w kilku więzieniach. – Ostatnie informacje o nim mam od uwolnionego więźnia, który widział go w Sajdnaja. Mówił, że był torturowany, chorował i stracił zmysły. Zapłaciliśmy, ale nie dostaliśmy nawet informacji – mówi Hiba Muhammad Issa, siostra Hasny.

Gdy jej męża aresztowano, ich syn miał 9 miesięcy, córka 4 lata. – Syn nie pamięta ojca. Córka czasem go wspomina, ale nie wiem, ile pamięta, a ile chciałaby pamiętać – Hiba pokazuje w telefonie ostatnie zdjęcia męża z dziećmi. – W 2014 r. powiedzieli nam, że nie żyje. W 2018 r. dostaliśmy zaświadczenie o jego śmierci.

PORTRETY | Na wystawie w Damaszku są prace i znanych artystów, i autorów anonimowych. Pokazują historie ludzi zwykłych i znanych. Jak Zaki Cordillo, który stworzył teatr cieni, pisał sztuki teatralne z przekazem wolnościowym. – Aresztowano go wraz synem i szwagrem w 2012 r. Nie wiadomo, kiedy i gdzie go zabito. Po prostu zniknął – mówi Sana.

Gdy wiosną 2011 r. zaczęły się demonstracje, Sana brała w nich udział, organizowała dyskusje. Po półtora roku, gdy na pokojowe protesty reżim odpowiedział masakrami, wraz z rodziną uciekła do Bejrutu. Dostawała coraz więcej informacji o aresztowaniach i śmierci przyjaciół. Poczuła, że musi coś zrobić. Zaczęła dokumentować wojnę.

Mijamy kolejne portrety. Khalil Maatouk, prawnik i dyrektor Centrum Studiów i Badań Prawnych, bronił więźniów politycznych. Aresztowany w 2012 r., zaginął. Współwięźniowie, którzy przeżyli, mówili potem, że widzieli go w różnych miejscach. Nie wiadomo, gdzie i kiedy zginął. Są portrety matek czekających na swoje zaginione w więzieniach dzieci. Rysunki więźniów, podpisane i bezimienne, tu ocalone od zapomnienia.

Sana: – Artystka Azza Abo Rabieh była trzymana w więzieniu Adra, gdzie dzieliła celę z 30 kobietami. Cały czas rysowała kobiety, uczyła je też rysować. Ona przeżyła, wiele z jej współwięźniarek nie.

AKTORKI | Sana ukończyła sztuki piękne na Uniwersytecie w Damaszku, dlatego zależało jej, by pokazać też rolę artystów w rewolucji. – Gdy aktorka Yara Sabri ją poparła, dało to ludziom siłę – mówi i pokazuje zdjęcie, na którym Sabri trzyma odwróconą gazetę rządzącej partii Baas, co miało symbolizować obalanie rządowej kłamliwej narracji.

Aktorka przekształciła swoje konto w mediach społecznościowych w rejestr aresztowanych i zaginionych. Rodziny wysyłały jej zdjęcia i informacje o bliskich. Wielu z nich zostało zidentyfikowanych przez współwięźniów, ustalono ich losy.

Inna aktorka, May Skaf, za wsparcie rewolucji była więziona. Po wypuszczeniu wyjechała do Francji. – Wtedy publicznie przyznała, że w więzieniu została zgwałcona. To dodawało odwagi kobietom, które też doświadczyły przemocy seksualnej – mówi Sana.

Na wystawie każdy rok to kolejne twarze zabitych i zaginionych, ich historie. – Część mnie nadal nie może uwierzyć, że stoimy dziś w Muzeum Narodowym i pokazujemy dzieje naszej walki i cierpienia. Wcześniej nie mogliśmy nawet o tym rozmawiać, inwigilacja była powszechna. Ludzie szeptem wypowiadali nazwy miast, w których dochodziło do masakr.

OBLĘŻENIE | Hasna oprowadza mnie po swojej dzielnicy Hamuria we Wschodniej Ghoucie, na wschód od Damaszku. Opowiada, co się tu działo. Co krok – historia o śmierci.

– Tu zginęła cała rodzina – pokazuje na piwnicę. – Tu ostrzelali ambulans – pokazuje na wrak samochodu, który ciągle stoi w tym samym miejscu. Domy dookoła są zniszczone, choć w niektórych mieszkają ludzie, nawet jeśli bez prądu i bieżącej wody. – To lepsze niż obóz dla uchodźców – mówi napotkana kobieta. – Przynajmniej jesteśmy u siebie.

– Na początku pokojowych demonstracji marzyliśmy o wolności. Kiedy zaczęto do nas strzelać, zaczęliśmy się bać. Potem zaczęły spadać na nas bomby i zaczął się koszmar – wspomina Hasna. W 2013 r. jej brat zginął w bombardowaniu. Drugi brat stracił nogę.

Gdy zaczęło się oblężenie miasta, do bomb doszedł głód. Hasna: – Odcięli wodę i prąd, nie było chleba. Ratowały nas za-

pasy, jak fasola w puszce, ale gdy zaczęły się kończyć, głodowaliśmy. Na podwórkach kopaliśmy studnie, sialiśmy zboże. Aby zrobić mąkę, używaliśmy ręcznego żarna. Ludzie gotowali zupy z liści.

Hasna miałam wtedy małe córki: – Nie było dla nich mleka ani leków, nawet tych zwykłych na gorączkę. Każdy dzień mógł być naszym ostatnim.

ZAŁAMANIE | Walki o Wschodnią Ghoutę trwały pięć lat, do 2018 r., aż siły rządowe przełamały opór rebeliantów.

Hasna mieszka teraz obok ruin swojego domu, w budynku, który udało się częściowo odbudować. Z jej własnego zostało niewiele, tylko od strony ulicy zachowały się wejściowe drzwi i ściany. Dom został zbombardowany, a później spalony.

– Na koniec ginęli wszyscy dookoła, nasi sąsiedzi, przyjaciele. Pamiętam, jak pierwsza rakieta uderzyła w dom wujka – Hasna pokazuje głęboki lej po pocisku. – Pobiegliśmy do piwnicy. Po chwili druga uderzyła w nasz dom – jej głos załamuje się, zaczyna płakać.

– Reżim powiedział: „Albo opuścicie domy, albo Ghouta będzie płonąć". To był dla mnie moment załamania. Wcześniej cały czas miałam siłę, ale wtedy poczułam, że to koniec – mówi. Opuściła miasto w konwoju humanitarnym w kwietniu 2018 r., po jego zdobyciu przez wojska Asada.

Zatrzymała się dopiero na północ od Aleppo, na terytorium kontrolowanym przez wojska opozycji. Ze względu na swoją działalność, Hasna wolała nie zostawać na terenie pod kontrolą Asada. Jej rodzice na nim zostali, licząc, że łatwiej będą mogli wrócić do Ghouty.

WOLNOŚĆ | Hasna: – Nie mogłam się kontaktować z rodzicami, to byłoby dla nich niebezpieczne. Dopiero gdy upadł reżim, zadzwoniłam do nich. Oni tak bali się, że nie wierzyli, jak powiedziałam: „Mamo, Asad upadł. Zobaczymy się!". Powtarzałam to kilka razy, a ona tylko płakała.

Spakowała rzeczy i z córkami przyjechała do rodziców. – Stanęłam w drzwiach i zaczęłam śpiewać: „Podnieś swoją głowę, jesteś wolnym Syryjczykiem". W tym momencie po raz pierwszy poczułam, że zwyciężyliśmy – opowiada ze łzami w oczach.

Hiba Muhammad Issa, siostra Hasny, uważa, że ci Syryjczycy, których bliscy zaginęli w więzieniach Asada – tak jak jej mąż – powinni poznać nie tylko prawdę o losie najbliższych.



Hasna Issa, dziennikarka i działaczka na rzecz praw kobiet, więziona za czasów Asada, przed rodzinnym domem we Wschodniej Ghoucie. Maj 2026 r.



Sana Yazigi oprowadza po wystawie „Aresztowani i zaginieni" w Muzeum Narodowym w Damaszku. Na zdjęciu widocznym w tle aktorka Yara Sabri trzyma odwróconą gazetę rządzącej Syrią partii Baas, co miało symbolizować obalanie kłamstw Asada.

– Wojna odebrała mi męża i dom. Zostałam sama z dziećmi. Pracuję fizycznie po 10 godzin dziennie w firmie robiącej wyroby ozdobne z drewna, zarabiam miesięcznie mniej niż 100 dolarów. Nie mogę zapewnić dzieciom dobrych warunków życia. Domagamy się sprawiedliwości, ale też zadośćuczynienia – mówi Hiba.

Hasna nadal ma koszmary, ale stara się skupić na pracy i córkach. – Mam problemy ze snem, zdiagnozowane PTSD, ale nie mam możliwości się leczyć. Staram się po prostu dalej żyć – mówi.

ZDROWIENIE | Na wystawie w Damaszku ostatnie zdjęcie to obalony pomnik Baszara al-Asada.

– Ta wystawa jest krokiem w stronę sprawiedliwości. Ludzie odnajdują w niej swoje cierpienie, ból, wszystko, co jest teraz częścią naszej kolektywnej tożsamości. Zdrowienie to długi proces. Potrzebujemy centrów rehabilitacji, całe społeczeństwo jest straumatyzowane, ale na razie nie ma takiej pomocy. Niech więc choć ta wystawa pozwoli im poczuć ulgę, wypuścić z siebie tę traumę – mówi Sana Yazigi.

Obok Damaszku, wystawa była pokazywana także w Aleppo i Homs. W planach są Idlib, Tartus, Latakia i Hama. A jeśli się uda, to i Rakka, Hasaka, Dajr az-Zaur i Suwajda. Sana: – To miejsca ważne dla wojny i rewolucji. Mówienie wszędzie tam o tym, co przeżyliśmy, jest niezbędne dla odzyskania naszej przeszłości, tak żeby móc również wyobrazić sobie sprawiedliwą przyszłość.

– Nie mam dużej ufności do nowego rządu, ale po Asadzie wszystko jest łatwiejsze. Mam nadzieję, że nie odpuścimy tego, o co walczyliśmy i ginęliśmy. Dziś Syryjczycy wiedzą, czym jest rewolucja, wojna i wolność. Sprawiedliwość jest częścią tej wolności – mówi Hasna Issa.

© MIŁKA FIJAŁKOWSKA

Rok z Merzem

KAMIL FRYMARK

NIEMCY | **Kanclerz Friedrich Merz obiecywał nowy początek, ale po roku rządów napotyka więcej rozczarowania niż wdzięczności. Beneficjentem tych nastrojów jest AfD.**



Friedrich Merz chce radykalnie zwiększyć wydatki Niemiec na obronność. Na zdjęciu: kanclerz wizytuje bazę Bundeswehry w Münster, 30 kwietnia 2026 r.

Połowa maja, Berlin. Kanclerz Friedrich Merz przemawia na kongresie Deutscher Gewerkschaftsbund, największej centrali związkowej. Dla przewodniczącego chadeckiej partii to jedno z tych miejsc, gdzie trudno liczyć na ciepłe przyjęcie.

Związkowcy nie zawodzą. Po chłodnym, milczącym powitaniu coraz częściej słychać buczenie i gwizdy w reakcji na to, co mówi Merz. Ten nawołuje bowiem do reform. Przekonuje, że państwo nie jest w stanie chronić obywateli i firm przed wszystkimi wstrząsami, których dziś doświadczają. Podkreśla, że wyzwania są tak poważne również dlatego, że przez długi czas Niemcy sami dokładali sobie problemów i teraz to się mści.

Buczenie i gwizdy przybierają na sile...

Scena ta dobrze pokazuje, w jakim położeniu jest rząd chadeków i socjaldemokratów. Rozpad koalicji CDU/CSU-SPD i przyspieszone wybory, czy może rekonstrukcja gabinetu? Takie scenariusze, choć dziś mało realne, coraz częściej kreśli się w Berlinie w odpowiedzi na pytanie, jaki jest bilans pierwszego roku rządów Merza (objął on urząd 6 maja 2025 r.).

SPEŁNIONE OBIETNICE | Dlaczego rząd i kanclerz są oceniani tak skrajnie źle? Pytanie jest tym bardziej zasadne, gdyż w minionym roku rząd Merza zrealizował niemało spośród najważniejszych obietnic z kampanii wyborczej. W tym zwłaszcza – ograniczenie nielegalnej imigracji, postrzeganej jako jeden z głównych problemów społecznych.

W 2025 r. w Niemczech złożono o 51 proc. mniej wniosków o azyl niż w 2024 r., a ten trend utrzymuje się również obecnie. Częściowo to zasługa poprzednika Merza, kanclerza Olafa Scholza z SPD, który ograniczył świadczenia dla uchodźców i wprowadził kontrole na granicach. Koalicja CDU/CSU-SPD poszła krok dalej, zaostrzając prawo o przyznawaniu obywatelstwa i usprawniając (trochę) deportacje, w tym wznawiając je do Afganistanu.

Kluczowy był jednak upadek reżimu Asada w Syrii w grudniu 2024 r., skąd przybywało dotąd najwięcej azylantów. Trend potwierdzają dane unijnej agencji Frontex: wskazują one, że w 2025 r. do Unii dostało się o 25 proc. mniej nielegalnych imigrantów niż rok wcześniej.

Drugi obszar, gdzie widać wyraźną zmianę wobec linii Scholza, to polityka zagraniczna i obronna. Merz obiecywał przejęcie inicjatywy, porzucenie kunktatorstwa i jasny kurs wobec Rosji. Istotnie, jego rząd klarownie wskazuje na reżim Putina jako główne zagrożenie, a Berlin jest liderem wsparcia dla Ukrainy, co ma być wyznacznikiem nowej *Ostpolitik*.

Niemcy wzmacniają też armię i obronę cywilną. Wyjęcie obronności spod tzw. hamulca zadłużeniowego pozwoliło na ich zwiększenie. W tym roku państwo wyda na armię 108 mld euro, w 2027 r. już 120 mld euro, by wypełnić zobowiązania przyjęte przez NATO.

FATALNE NASTROJE | Jednak przeważająca większość Niemców uważa, iż rząd Merza nie spełnia ich oczekiwań. Tylko 13 proc. jest zadowolonych z jego pracy (badanie ośrodka Infratest dimap). Niezadowolenie dominuje także w elektoracie koalicji: ponad 60 proc. zwolenników chadecji i 70 proc. sympatyków SPD jest rozczarowanych pracą rządu.

Wynika to, mówiąc najkrócej, zarówno z rozbudzonych nadziei na gospodarczy wzrost (niewidziany od 2019 r.), jak też z braku wielu reform, które wydają się dziś wręcz oczywiste.

Jedną z rzeczy, które Merz chce ukrócić, jest biurokracja. W umowie koalicyjnej zapisano ambitnie, że jej koszty zostaną zmniejszone o 25 proc. (tj. o 16 mld euro). Jak bardzo przeszkadza ona Niemcom? Zajrzyjmy np. do warsztatu samochodowego.

Jakiś czas temu byłem świadkiem sceny niemal kabaretowej. Rzecz działa się w Erfurcie. Pod warsztat podjechało nowe auto jednej z bawarskich marek. Problem zdawał się błahy, dotyczył zepsutej klapy bagażnika. Klientowi zależało tylko na sprawdzeniu, czy warsztat

w ogóle będzie w stanie się tym zająć, a nie o nagłą naprawę.

Starszy mechanik, jedyny widoczny pracownik zakładu, od początku się wzbraniał. Dochodziło południe, za chwilę miał przerwę, a sprawa, jak tłumaczył, „może być dłuższa". Po kilku minutach słownego ping-ponga klient podniósł głos. Usłyszał wtedy, że nawet do sprawdzenia, czy stojące obok auto da się naprawić, trzeba umówić z wyprzedzeniem termin. Najbliższy był za tydzień.

Wzburzony klient zagroził skargą. Mechanik wzruszył ramionami i flegmatycznie rzucił: „Proszę bardzo, i tak nic pan nie wskóra. Ludzi nie ma, a procedury są, jakie są".

PRACA SIĘ OPŁACA? | Poczucie przytłaczających „procedur" i niewydolności państwa oraz społeczeństwa (także, najwyraźniej, w sferze usług) jest powszechne. Widać to też w odniesieniu do państwa opiekuńczego.

O zmianach w systemie Merz mówi od dawna, ale ich bilans wypada na razie mizernie. Z zapowiedzianych kilkudziesięciu miliardów, które miano oszczędzić na reformie zasiłku obywatelskiego (*Bürgergeld;* kiedyś zasiłek dla bezrobotnych), wyszło 80 mln euro rocznie. I to mimo determinacji wszystkich stron, by ukrócić patologie systemu.

Jedną opisał dziennik „Die Welt". Dziennikarka Fatina Keilani policzyła, ile mogłaby otrzymać od państwa jako samotna matka czworga dzieci, gdyby nie pracowała. Przy czynszu rzędu 1,8 tys. euro miesięcznie, jej uznane przez państwo potrzeby wyniosłyby 4517 euro na miesiąc. Po doliczeniu dopłat za szkołę, wycieczki i obiady, łączna pomoc państwa mogłaby sięgnąć ok. 70 tys. euro rocznie.

Z tej analizy jasno widać, dlaczego wielu Niemców ma poczucie, iż praca coraz mniej się opłaca, a korzystanie z „garnuszka" państwa jest dla niektórych obywateli – nie tylko samotnych matek, także ludzi młodych – korzystniejsze niż podjęcie pracy.

Światełkiem w tunelu ma być reforma finansowania systemu ochrony zdrowia. Pod koniec kwietnia rząd Merza przyjął projekt ustawy stabilizującej system. Z wyliczeń rządu wynika, że bez tej reformy w 2027 r. w służbie zdrowia zabraknie 15 mld euro, a do 2030 r. luka urośnie do 40 mld rocznie. Rząd zakłada, że reforma przyniesie ok. 16 mld oszczędności już w 2027 r.

NOWA „AGENDA" | Dlaczego jednak koalicji Merza nie udaje się wdrożyć innych reform, zapowiadanych po wyborach? Przede wszystkim: nie ma jasnego planu, jak one mają wyglądać, kogo dotyczyć i jak szybko mają być realizowane.

Coraz częściej pojawia się koncepcja, aby przygotować jeden wielki pakiet reform. Podobny do tego, który pod nazwą „Agenda 2010" wprowadził kanclerz Gerhard Schröder (SPD) w 2003 r. Była to ostatnia znacząca zmiana w systemie, dotycząca prawa pracy i zasiłków społecznych, która po latach przyniosła spodziewane rezultaty, m.in. w postaci radykalnego zmniejszenia bezrobocia.

Kosztem była jednak wieloletnia trauma socjaldemokratów, oskarżanych o zdradę lewicowych ideałów, a także rozłam w partii i przegrane wybory w 2005 r. (wtedy to Schrödera zastąpiła Angela Merkel). Stąd dziś opór w SPD przed radykalną reformą.

Socjaldemokraci uważają, że naprawa systemu jest możliwa przez cyfryzację, ujednolicenie pewnych zasiłków i uproszczenie procedur. Nie zgadzają się natomiast na zmniejszenie wysokości świadczeń. Chadecy widzą to odwrotnie. Stawiają na zmniejszenie zarówno grupy beneficjentów, jak i wysokości zasiłków. Ponadto młodzi posłowie z CDU/CSU naciskają na Merza, by reformy poszły jeszcze dalej i objęły także podniesienie wieku emerytalnego dla wybranych grup.

Kanclerz musi godzić te stanowiska. Paradoksalnie, pomóc może mu w tym presja ze strony Alternatywy dla Niemiec (AfD) i jej prawdopodobne zwycięstwa w wyborach w dwóch landach wschodnich, Saksonii-Anhalcie i Meklemburgii-Pomorzu Przednim, które są już za trzy miesiące, we wrześniu.

AFD NA FALI | Bo to właśnie antysystemowa AfD jako jedyna partia zyskuje na kłótniach w koalicji i na rozczarowaniu Merzem. Oddaje to niedawny sondaż ośrodka INSA: gdyby w Niemczech odbywały się bezpośrednie wybory kanclerza, wygrałaby je dziś Alice Weidel, liderka AfD (33 proc. poparcia), na Merza oddałoby głos 22 proc. Podobny trend widać w sondażach poparcia dla partii: AfD zbliża się do granicy 30 proc., zostawiając w tyle CDU/CSU (22 proc.).

Jedną z przyczyn poparcia dla AfD jest obawa przed utratą statusu społecznego i dobrobytu, która jest udziałem znacznej części Niemców. Jej przewaga jest jeszcze wyraźniejsza na wschodzie kraju. Sondaże sugerują, że AfD może objąć samodzielne rządy w Saksonii-Anhalcie, gdzie wybory landowe są 6 września. Byłoby to polityczne trzęsienie ziemi.

„NASI" I „OBCY" | Barometrem nastrojów może być np. to wyborcze spotkanie AfD, które mogłem obserwować w lutym, w niewielkim powiatowym mieście Kirchheimbolanden (to Nadrenia-Palatynat, bogaty zachodni land). W ośrodku kultury zebrało się może 150 osób w różnym wieku. Wielu ochoczo wypełniało formularze członkowskie, rozłożone na stołach.

Na zewnątrz protestowały Omas gegen Rechts, ruch kobiet („babć") przeciw skrajnej prawicy. Wewnątrz dominował podział na „naszych" i „obcych". Owacje wzbudzały ataki mówców z AfD na „kłamliwe media" i CDU, oskarżaną o zdradę konserwatywnych wyborców.

Tino Chrupalla, współprzewodniczący AfD, mówił o godnych emeryturach i krytykował proukraiński kurs Merza. Przekonywał, że Ukraińcy powinni wracać z Niemiec „do siebie", a rząd musi uruchomić Nord Stream, by korzystać z taniej rosyjskiej energii.

W tamtych marcowych wyborach w Nadrenii-Palatynacie AfD dostała 20 proc.

TRZY MIESIĄCE | Mało prawdopodobne, że w ciągu najbliższych tygodni, do września, koalicji Merza uda się poprawić notowania na tyle, by odebrać głosy AfD. Pomóc mogłaby w tym jasna wizja reform i jedność w rządzie, gdy idzie o ich realizację. Jednak tych dotąd brak.

Przed rządem w Berlinie zatem decydujące tygodnie. Ale, jak lubią powtarzać Niemcy, każdy kryzys można przekuć w szansę. Zobaczymy, kto zrobi to pierwszy: rząd Friedricha Merza czy AfD. ©

MARKUS SCHREIBER / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS



Mario jest ostrzycielem w czwartym pokoleniu, wśród jego klientów są kucharze hiszpańskiej pary królewskiej. Madryt, maj 2026 r.

Ludzie od ostrzy

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MADRYTU

HISZPANIA | Kilka dekad temu charakterystyczny gwizd słychać było w całym kraju. Wtedy mieszkańcy wybiegali z domów z nożami i nożyczkami do naostrzenia. Dziś słychać go coraz rzadziej. Zawód ostrzyciela znika.

Mario wspomina, że jego wujowie przemierzali ulice Madrytu zawsze z nieodłącznym mułem. Wtedy jeszcze w hiszpańskiej stolicy brakowało nawet chodników. Ruch zwierzęcia uruchamiał szlifierkę, a wujkowie, wędrowni ostrzyciele, mogli przywracać nowe życie stępionym nożom i nożyczkom Madrytczyków.

Z czasem muły zostały zastąpione przez rowery, skutery, a potem furgonetki, ale charakterystyczny dźwięk pozostał. To tzw. *chiflo:* gwizdek ostrzyciela. Oraz towarzyszący mu okrzyk: „Ha llegado el afilador!" (Przyjechał ostrzyciel!).

Dawniej taki wędrowny rzemieślnik jeździł od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka wraz ze swoim kołem szlifierskim i naprawiał wyszczerbione narzędzia. Krótka wygrywana melodia przechodziła od niskich do wysokich tonów. Dziś już rzadziej się gwiżdże, raczej używa się gotowych nagrań i puszcza je z głośnika, umieszczonego na dachu furgonetki. Tyle że również i ten dźwięk z roku na rok staje się rzadszy.

U wielu budzi on sentyment. Jesús pamięta, że gdy tylko jego mama usłyszała ten dźwięk, w pośpiechu wybiegała z domu z kilkoma nożami i nożyczkami. Podobnie jej sąsiedzi. Cierpliwe oczekiwanie w kolejce na naostrzenie było też szansą na wymienienie miejscowych plotek.

Królewski ostrzyciel

53-letni Mario Fernández Luna zaczynał swoją przygodę jako mobilny ostrzyciel dwadzieścia lat temu. Fachu uczył się od wujów, bo szkół dla ostrzycieli noży nie było.

Mario jest czwartym pokoleniem ostrzycieli. Dziś łącznie osiem osób z jego rodziny trudni się tym rzemiosłem.

– To był zawód dla tych, którzy nie chcieli iść na studia. Przejmowało się go po ojcu czy wuju. Najpierw uczyłeś się z obserwacji, a potem sam brałeś do ręki pierwsze noże – wspomina Mario, gdy odwiedzam go w jego niewielkim warsztacie na Mercado Antón Martín, słynnym bazarze w samym sercu Madrytu.

Jest wysokim, postawnym mężczyzną, z brodą i w okularach. Niemal nie przestaje się uśmiechać. Jego poszarzałe dłonie i odciski na palcach zdradzają jednak trudny charakter tego zajęcia. Wiele godzin na nogach, w hałasie, przy gorących maszynach. Po wielu godzinach pracy traci się czucie w rękach. Wtedy Mario

moczy dłonie w wiadrze z zimną wodą, które ma zawsze ze sobą.

Mario zasłynął jako „królewski ostrzyciel": to jemu swoje najcenniejsze ostrza powierzają szefowie kuchni króla Filipa VI i królowej Letycji. On czuje się dumny, ale podchodzi do tego ze spokojem. – Noże, czy z domu królewskiego, czy od mojej sąsiadki z dołu, ostrzy się tak samo – uśmiecha się. – Zwykle klienci z dworu królewskiego są bardziej wymagający, bo się spieszą i oczekują najlepszego efektu.

Ostrza z historią

Mario z sentymentem opowiada o swojej wiernej 90-letniej klientce, która przynosi mu nożyczki jeszcze po swojej babci.

– Mają chyba ze 200 lat. Kiedy oddaje jej pięknie wypolerowane, idealnie ostre, jakby były nowe, widzę w jej oczach łzę wzruszenia – mówi Mario.

Dziś już rzadziej, ale wciąż w wielu hiszpańskich domach używa się nożyczek kuchennych np. do rozcinania pizzy.

Białe ściany jego warsztatu zdobią pożółkłe już kalendarze, półki z narzędziami i nożami oraz tkaniny, na których Mario robi test ostrości noży. Choć najlepsze są do tego miękkie przejrzałe pomidory, które zostawia mu znajomy z pobliskiego stoiska warzywnego.

Kiedy tak obserwuję jego pracę, do warsztatu zagląda nowy klient. Jednak nie z nożem do naostrzenia, ale z kluczami. Bo Mario, prócz ostrzenia, dorabia także klucze. Przy rosnącej populacji Madrytu i coraz liczniejszych tzw. mieszkaniach turystycznych, jest to prawdziwy *boom*.

Rzecz w tym, że dziś mało który zwykły mieszkaniec stolicy Hiszpanii przychodzi naostrzyć noże. Radzą sobie sami w domu albo po prostu kupują nowy nóż, gdy stary się stępi. Wśród klientów Maria, którzy proszą o naostrzenie, są więc przede wszystkim osoby starsze, a także właściciele sklepów rybnych i mięsnych czy szefowie restauracji.

Ziemia iskier

Początki zawodu ostrzyciela w Hiszpanii sięgają wieku XVII. Według legendy do pewnej galicyjskiej gminy w prowincji Ourense zawitał wędrowny ostrzyciel z zagranicy. Szukał stolarza, który mógłby naprawić jego uszkodzone koło szlifierskie. Stolarz zainteresował się profesją przybysza: nie tylko naprawił maszynę, lecz także sporządził jej szkic i wykonał pomiary, by później stworzyć własną kopię urządzenia.

To właśnie stąd miało wziąć się określenie *tierra de chispas*, czyli „ziemia iskier". Nazwa odnosi się do iskier wydobywających się spod kamienia podczas ostrzenia.

W czasach biedy ostrzyciele byli postaciami niezastąpionymi. Wtedy niczego się nie wyrzucało, wszelkie domowe przedmioty naprawiano, łatano i reperowano tak długo, jak tylko było to możliwe. Również garnki, rondle czy patelnie po latach użytkowania trafiały do ostrzyciela, który potrafił dać im drugie życie.

Dziś w Hiszpanii ubywa ostrzycieli noży. Pozostali zwykle tylko ci, którzy mają własne, stacjonarne już warsztaty, i ugruntowaną pozycję w okolicy.

Dawniej każdy duży targ w Madrycie miał „swojego" ostrzyciela noży. Teraz z roku na roku ubywa także stoisk na tradycyjnych targowiskach – zamiast na bazar, klienci wolą iść na zakupy do supermarketu.

Ostatni w drodze

Jesús Galache Martínez nigdy nie przeniósłby się do stacjonarnego warsztatu. Od ponad trzech dekad krąży po Madrycie i okolicach, żeby osobiście dotrzeć do swoich klientów.

W swojej furgonetce Jesús wozi generator prądu, dzięki któremu uruchamia dwie maszyny z kamieniami: pierwszą, dzięki której nadaje nożom odpowiednie krawędzie, i drugą, którą usuwa z noży rysy i je poleruje. Na sam koniec w ruch idzie kamień, który Jesús znalazł podczas wycieczki w górach: służy do nadania ostatecznej ostrości.

51-letni Jesús jest prawdopodobnie jednym z ostatnich mobilnych (kiedyś mówiono: wędrownych) ostrzycieli noży. Wysoki i szczupły, z siwą bujną czupryną, nie potrafi usiedzieć w miejscu. Jest pełen energii.

Niejednokrotnie jednak jego zawód przysporzył mu kłopotów z lokalną policją. Bo jak wytłumaczyć funkcjonariuszom, którzy zatrzymują jego furgonetkę do kontroli, że wozi ze sobą tyle noży? – Sytuacja robi się wtedy trochę skomplikowana – opowiada Jesús. – Policjanci muszą sprawdzić, czy nie robię nic złego. Ostatecznie chodzi jednak głównie o czas, który się na to traci.

350 noży dziennie

Jesús mówi, że sam woli dojeżdżać do klientów. Nie lubi czekać, woli być w ruchu. Czasem pracuje nawet po 12 godzin dziennie. Trzy dni w tygodniu, bo w pozostałe opiekuje się synami.

Średnio potrzebuje tylko 2-3 minut na naostrzenie noża. W ciągu dnia jest w stanie naostrzyć ich nawet 350, a za każdy dostaje około dwa euro. Przyznaje, że da się z tego godnie żyć. Jednak młodych nie ciągnie do zawodu.

– Nie dziwi mnie, że wolą robić inne rzeczy. Ale nie zamieniłbym go na inny. Zawsze podobały mi się rzemieślnicze zawody. Takie, w których pracuje się rękami. Techniki można się nauczyć, ale kiedy przychodzi do ostrzenia, nikt ci nie powie, jaki moment jest właściwy. Każdy nóż brzmi inaczej, zależy od rodzaju stali – wyjaśnia.

Wuj Jesúsa mawiał, że potrzeba przynajmniej ośmiu lat, aby to wszystko zrozumieć i zacząć dobrze ostrzyć.

Jak przedłużenie ręki

Towarzyszę Jesúsowi podczas dnia pracy. Odwiedzamy restaurację „Cazorla" w mieście Alcorcón, na obrzeżach Madrytu. Jesús wita się z szefem kuchni, swoim imiennikiem.

– Restauracje potrzebują profesjonalisty, bo tu chodzi o niezwykle precyzyjne ostrzenie. Każdy człowiek jest inny – tłumaczy ostrzyciel. – Trzeba poznać daną osobę, żeby wiedzieć, jak naostrzyć jej noże. Na przykład, czy szef kuchni jest leworęczny czy praworęczny, jak używa noża i do czego konkretnie, żeby oddać mu narzędzie idealnie dopasowane do jego pracy.

Jego imiennik Jesús, szef kuchni i właściciel restauracji „Cazorla", wyjaśnia mi, że od dobrze naostrzonego noża zależy szybkość i precyzja jego pracy. – Dobry nóż jest jak przedłużenie ręki szefa kuchni. Średnio trzeba ostrzyć je co dwa tygodnie – tłumaczy.

Szef kuchni musi przy tym znosić reprymendy z ust ostrzyciela. To już chyba ich rytuał. Ten drugi doskonale zna noże tego pierwszego i irytuje się, że są myte w zmywarce. – Złości się i mówi, że w zmywarce ostrze szybciej się tępi, a zbyt wysoka temperatura powoduje ↦



27-letni Javier jest prawdopodobnie jednym z najmłodszych ostrzycieli w całej Hiszpanii



Gdy Hiszpania była krajem biednym, ostrzyciele byli niezastąpieni: wtedy nic nie wyrzucano



Jesús jest ostrzycielem wędrownym, od ponad 30 lat krąży po Madrycie i okolicy. Maj 2026 r.

↦ korozję. Musimy je jednak wyjałowić – uśmiecha się szef kuchni.

Najmłodszy w branży

27-letni Javier jest prawdopodobnie jednym z najmłodszych ostrzycieli noży w całej Hiszpanii.

Do warsztatu trafił dwa lata temu, i to przez przypadek. Z wykształcenia mechanik, wspomina, że szybko poczuł, iż dłubanie przy silnikach nie jest dla niego. W tym czasie znajomy jego rodziców, ostrzyciel noży, zbliżał się do momentu przejścia na emeryturę. Zaprosił chłopaka na praktykę.

– Wtedy nie wiedziałem nawet, że taki zawód istnieje. Pytasz, jak wyglądały moje pierwsze dni? Prawie straciłem palce, ciąłem się stale, parzyłem sobie palce, aż w końcu pewnego dnia udało mi się zrobić jedno ostrzenie dobrze. Tego może cię nauczyć tylko ktoś z doświadczeniem – mówi Javier.

Wysoki brunet z tatuażami i tunelami w uszach, Javier Medel przejął warsztat od ostrzyciela noży na targu w dzielnicy Tetún na północy Madrytu. Być może czuje się nieswojo wśród tutejszych rzemieślników, których średnia wieku oscyluje wokół sześćdziesiątki. Ale nie narzeka. Polubił swoją pracę. Sam jest swoim szefem.

Przyznaje, że nie było jednak łatwo przekonać do siebie lojalnych klientów poprzedniego właściciela. Dziś ma ich stałe grono.

Znikający zawód

Jesús Galache Martínez ma dwóch synów, dziewięcio- oraz szesnastoletniego. Z jednej strony chciałby, aby obaj nauczyli się jego fachu i poznali rodzinną tradycję. To dyktują mu emocje. Z drugiej jednak strony ma też nadzieję, że pójdą na studia i znajdą lżejszą, bardziej przyszłościową pracę.

Podobnej przyszłości pragnie dla swoich synów Mario Fernández Luna. Nie chce, by musieli pracować tyle godzin co on. – Ani moi synowie, ani bratankowie nie widzą siebie w moim fachu. I może to dobrze. Do mojego warsztatu trafiliby dopiero wtedy, gdyby im się w życiu nie powiodło – mówi Mario.

Javier Medel zapewnia, że nie zamierza porzucać swojego zawodu. – Daje mi satysfakcję – przekonuje. – Będę ostrzycielem nawet na emeryturze. Będę ostrzyć noże dla rodziny i przyjaciół aż do śmierci.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA



„TP" 20/2026

Koszty leczenia

Specjalista ds. zdrowia psychicznego postrzegany bywa jako magik, który poradzi sobie i wykona dobrze swoją pracę w każdych warunkach. I dlatego ani on sam, ani jego pacjent nie potrzebują wiele od systemu.

Z zainteresowaniem wczytałam się w artykuł Cvety Dimitrovej „Koszty leczenia", podejmujący ważne kwestie dotyczące obciążeń emocjonalnych w zawodach pomocowych w systemie służby zdrowia. Jednakże zaskoczyło mnie zestawienie opisu realnie trudnej sytuacji personelu medycznego z sytuacją psychoterapeutów. Rozumiem, że intencją zabiegu porównawczego było zwrócenie uwagi na to, jak ważna jest możliwość opracowania często ekstremalnych emocji towarzyszących wykonywanej pracy. Jednak przy okazji wkradło się uproszczenie dotyczące pracy psychoterapeutów, szczególnie jeśli odnosić to do zatrudnienia w publicznych strukturach. Zaznaczam, że wspomniane w tekście szkolenia (np. całościowe kursy psychoterapii), dostęp do własnej terapii, staży, niejednokrotnie też superwizji w dużej mierze wymagają opłacania z własnych środków i przeznaczania na nie czasu poza pracą, kosztem odpoczynku czy czasu spędzonego z rodziną. Podnoszenie i podtrzymywanie kompetencji oraz opracowywanie obciążeń emocjonalnych wynikających z charakteru pracy w przypadku psychoterapeutów/psychologów wymaga własnej, dodatkowej inwestycji w zasadzie przez cały okres aktywności zawodowej. System publiczny tego do końca nie widzi, choć niewątpliwie korzysta z umiejętności dobrze wyszkolonych i dbających o swoje kompetencje specjalistów. Niedociągnięcia systemowe dotykają również psychoterapeutów/psychologów i są podobne w wielu zakresach, o których Cveta Dimitrova wnikliwie pisze w tekście w odniesieniu do innych profesji w służbie zdrowia. Nasza praca jest także często widziana w liczbach – ilości przyjętych pacjentów. Ponadto specjalista z obszaru zdrowia psychicznego postrzegany bywa jako magik, który dzięki empatii i zaangażowaniu poradzi sobie i wykona dobrze swoją pracę w każdych warunkach organizacyjnych. I dlatego ani on sam, ani jego pacjent nie potrzebują wiele od systemu. Wszakże zapaść publicznego systemu opieki w obszarze zdrowia psychicznego, w tym pomocy dla dzieci i młodzieży, z której próbujemy się wydostać, nie wzięła się znikąd. Rozumiem, że artykuł dotyczył przede wszystkim zawodów medycznych, specyficznych dla nich obciążeń i niewidzialnych kosztów, więc wnoszony w tym komentarzu wątek stanowi pokrewny, ale odrębny temat. Niemniej w związku z nawiązaniem przez autorkę w tekście do profesji psychoterapeutów, chciałam zwrócić uwagę, że i tu rzeczywistość zawodowa ma swoją złożoność. Dziękuję za artykuł!

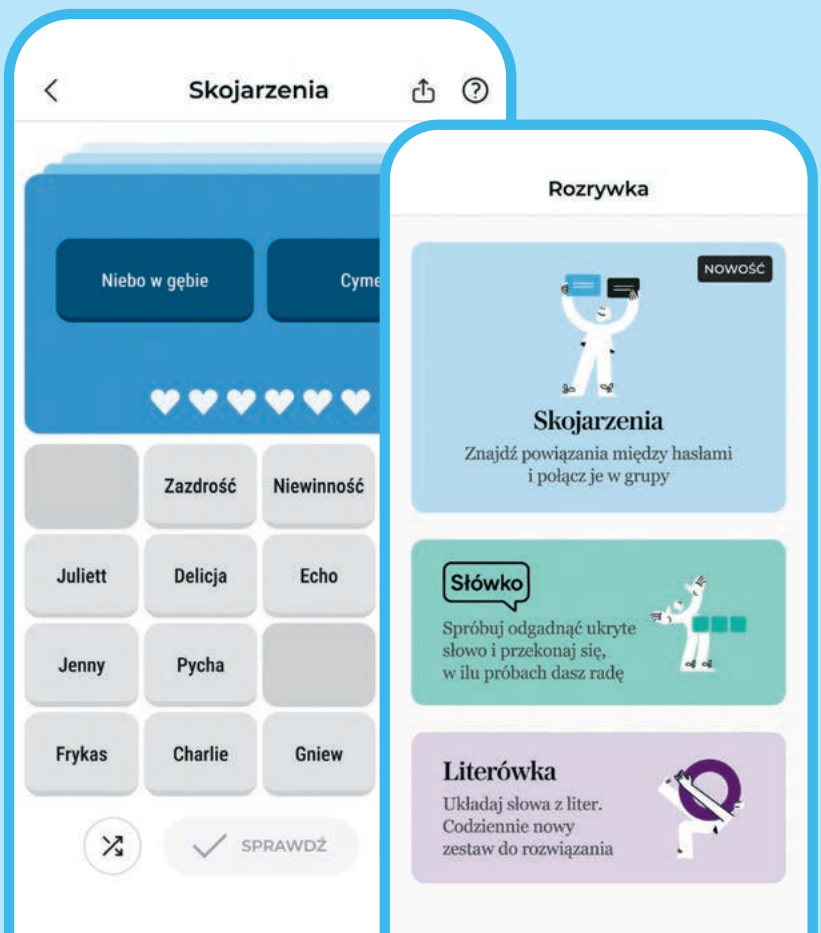
WIELOLETNIA CZYTELNICZKA

REKLAMA

Nowa gra Skojarzenia

Łączysz fakty? Sprawdź się

Graj za darmo w APLIKACJI WYBORCZEJ



WIARA

PROROCTWO LEONA

Czy sztuczna inteligencja to nowa wieża Babel?
Encyklika „Magnifica humanitas”
wyznacza moralny kurs w epoce cyfrowego chaosu.

PIOTR POPIOŁEK

Odkąd Robert Prevost przyjął imię Leona XIV, wszyscy oczekiwali jego głosu na temat dzisiejszej sytuacji na świecie. W końcu poprzedni papież o tym imieniu, Leon XIII, podjął się usystematyzowania nauczania społecznego Kościoła i w swojej encyklice „Rerum novarum” udzielił odpowiedzi na wyzwania związane z rewolucją przemysłową.

XIX-wieczne przemiany zagrażały życiu społecznemu, godności ludzkiej, rodzinie i całej tkance społecznej poprzez utowarowienie ludzi i ich pracy za sprawą drapieżnego kapitalizmu, dążącego za wszelką cenę do zysku (z drugiej strony czyhało już niebezpieczeństwo ateistycznego komunizmu opartego na idei walki klas i materializmie). Dziś – można powiedzieć – sytuacja jest podobna: wyzwaniem staje się kolejna rewolucja, związana z przyspieszonym i nieokiełznanym rozwojem technologii cyfrowych.

Manifest technofaszyzmu

Wyjątkowość obecnej sytuacji dostrzegana jest przez wielu badaczy – socjologów, filozofów i politologów. O wyzwaniach i nadziejach związanych z dzisiejszą epoką pisali np. Aaron Bastani we „W pełni zautomatyzowanym luksusowym komunizmie”, Yanis Varoufakis w „Technofeudalizmie” czy Nick Bostrom w „Deep Utopia”.

Niedawno swoje poglądy w formie książki „Technologiczna Republika: twarda siła, miękka wiara i przyszłość Zachodu” przedstawili Alex Karp i Nicholas Zamiska z Palantira, amerykańskiej firmy z branży sztucznej inteligencji. Na podstawie ich poglądów Palantir opublikował następnie swój manifest, w którym ogłasza koniec „miękkiej siły”, dyplomacji i dążenia za wszelką cenę do pokoju, na rzecz siły bezwzględnej – podważa więc całą powojenną strategię rozbrojenia i pacyfizmu.

Przekaz jest dość radykalny – musimy uznać władzę i potęgę technooligarchów i AI, bo jeśli tego nie zrobimy, zagrożą nam inne mocarstwa, np. Chiny, które będą jeszcze bardziej bezwzględne.

Nie bez powodu deklaracja Palantira została szybko uznana za „manifest technofaszyzmu”. I nie po raz pierwszy firma ściąga na siebie krytykę za swoją specyficzną filozofię. Inny współzałożyciel tego technologicznego giganta, Peter Thiel, od lat znany jest z tego, że rozwija własną teologię, łącząc filozofię polityczną Carla Schmitta (określanego jako ideologa nazistowskiego) z teoriami René Girarda (usuwając z nich jednak kluczowy element chrześcijański).

W owianych legendą wykładach na temat Antychrysta Thiel mówił o nieskończonym ludzkim rozwoju, który jest możliwy dzięki postępowi technologicznemu (sprowadzając tym samym chrześcijańską ideę przebóstwienia do wymiaru ziemskiego), a wszystkich przeciwników tegoż rozwoju (czy to konkretne osoby, czy podmioty, np. rządy i organizacje) uznawał za „antychrystów”.

Punkt odniesienia

Encyklika „Magnifica humanitas” (dosł. Wspaniałe człowieczeństwo) powstaje zatem w odpowiednim czasie: gdy problemy wynikające z nagłego rozwoju technologicznego w zakresie masowego gromadzenia danych, algorytmizacji życia, automatyzacji pracy oraz niemal wykładniczego wzrostu możliwości i zastosowania sztucznej inteligencji, coraz bardziej odciskają piętno na naszym życiu. Potrzebujemy wskazań etycznych, punktu odniesienia, żeby nie zagubić się w rosnącym chaosie. Tak, jak to miało miejsce w XIX w., gdy potrzebny był głos spoza układu sił kapitalistów i komunistów – spoza światowego sporu opartego na walce klas.

Encyklika jest jednym z najdłuższych dokumentów papieskich, a można odnieść wrażenie, że jej treść bez problemu zrozumieją także osoby, które nie są katolikami i nie znają dotychczasowego nauczania Kościoła na tematy społeczne. Znaczna część dokumentu to streszczenie katolickiej doktryny społecznej od czasów Leona XIII do Franciszka, pokazujące, że nie jest to zbiór gotowych formuł, ale nauka, która kształtuje się w odpowiedzi na wyzwania danych czasów, będąc jednocześnie zakorzeniona w Piśmie Świętym i tradycji teologicznej.

Leon XIV poświęca osobny rozdział na syntetyczne ujęcie tej nauki, przypominając o jej podstawach, takich jak uniwersalna godność ludzka, zasady dobra wspólnego, pomocniczości, powszechnego przeznaczenia dóbr, solidarności i sprawiedliwości społecznej. Ale też dokonuje aktualizacji nauczania społecznego Kościoła, ukazując, w jaki sposób te zasady odnoszą się do całkiem nowej rzeczywistości, w której dobro wspólne ↦

Leon XIV, Watykan, 20 maja 2026 r.



ALESIA GIULIANI / IMAGO / EAST NEWS

↦ wykracza poza zasoby naturalne (do których papież zalicza np. nowe formy własności, jak „patenty, algorytmy, platformy cyfrowe, infrastrukturę technologiczną i dane"). Zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, z jakim związana jest akumulacja tych dóbr w rękach nielicznych, prowadząca do jeszcze większych podziałów i wykluczeń społecznych.

Ta przestroga powtarza się wielokrotnie na kartach encykliki: papież często podkreśla, że zdobycze nowych technologii zostały zagarnięte przez niewielu, w celu maksymalizacji własnych zysków i osiągnięcia pozycji dominującej.

Babel czy Jeruzalem

W swej przestrodze Leon XIV posługuje się metaforami biblijnymi – historią wieży Babel i odbudowy murów Jerozolimy z Księgi Nehemiasza. W dzisiejszej sytuacji możemy iść dwiema tymi drogami.

Możemy budować wieżę Babel, z jednym językiem, jedną technologią i w jednym kierunku – ale bez Boga i stawiając siebie na Jego miejscu. Ten obraz wieży sięgającej nieba, utopii maksymalizacji postępu, jest jasnym odniesieniem do proponentów nowych, technologicznych utopii – technokracji. Boża transcendencja zostaje zastąpiona przez transcendencję materialną, opartą na technice i naszych własnych siłach. Kontrprzykładem jest obraz murów jerozolimskich – odbudowa miasta wspólnymi siłami wszystkich, współpraca, która „ma w centrum Boga i odbudowuje więzi wcześniej niż kamienie".

W dokumencie mocno przebija się również myśl Augustyna i jego nauki z „Państwa Bożego", rozgraniczające państwo ziemskie i Królestwo Boże. „Św. Augustyn opisuje historię ludzkości jako miejsca zmagania dwóch miłości, które zbudowały dwa sposoby zamieszkiwania świata i współżycia – dwa »miasta« [»państwa«]: z jednej strony miłość Boga i bliźniego, z drugiej zaś miłość wyłącznie siebie samego". Papież zaznacza, że w epoce sztucznej inteligencji walka między tymi dwoma państwami odbywa się wewnątrz każdego z nas.

Moralność AI

Wbrew oczekiwaniom wielu osób, papież nie potępia całkowicie sztucznej inteligencji i dzisiejszej technologii. Wskazuje jednak drogę, jaką należy podjąć, by ją uporządkować – by służyła człowiekowi, a nie człowiek jej. Zwraca uwagę, że nazwa „sztuczna inteligencja" może wprowadzać w błąd, gdyż nie mamy do czynienia z inteligencją i świadomością, ale z bardzo złożonymi systemami, które hodowane są w laboratoriach, oparte na skomplikowanej architekturze i pracy wielu ludzi (od wydobycia surowców, po żmudne, powtarzalne porządkowanie danych).

Nie mamy więc do czynienia z systemami posiadającymi świadomość moralną, mogącymi odróżniać dobro od zła. Jest to narzędzie, które może być wykorzystywane tak do dobra, jak i zła, ale pewne preferencje i wybory są już obecne w jego architekturze. Zostało zaprojektowane przez konkretne osoby, narzucające „własną wizję moralną, która stanie się niewidzialną infrastrukturą systemów".

Papież trafnie zauważa coś, o czym alarmowali już inni badacze, np. Brian Christian w „The Alignment Problem: Machine Learning and Human Values" („Problem dostosowania: uczenie maszynowe i ludzkie wartości") czy Cathy O'Neil w „Broń matematycznej zagłady. Jak algorytmy zwiększają nierówności i zagrażają demokracji". Nie da się po prostu sprowadzić ludzkiego życia i doświadczenia do zbioru danych, do algorytmów, które będą decydować o zatrudnieniu, leczeniu, sytuacji finansowej czy rokowaniu na resocjalizację.

Podkreślał to również w trakcie prezentacji encykliki goszczący w Watykanie współzałożyciel firmy Anthropic, Chris Olah, przyznając, że „każde czołowe laboratorium AI – w tym Anthropic – podlega naciskom i ograniczeniom, które mogą niekiedy stać w sprzeczności z robieniem tego, co właściwe".

Krucjata Leona

Od pierwszych dni po publikacji encykliki rozeszła się po mediach społecznościowych. Na Facebooku, Instagramie, TikToku i portalu X wrażeniami dzielą się nie tylko katolicy, ale i chrześcijanie innych wyznań, jak luteranie i anglikanie (więcej pisze o tym w felietonie z tego numeru Tomasz Stawiszyński).

Rozwiązania proponowane przez papieża oparte są na katolickiej nauce społecznej, wywodzącej się z Pisma Świętego i tradycji Kościoła, ale są dobrze przyjmowane także przez niechrześcijan. Pro-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



blemy, na które wskazuje Leon, są bowiem zauważane przez filozofów i naukowców obserwujących dzisiejszą sytuację związaną z rozwojem technologii, a szczególnie sztucznej inteligencji.

Na wielu grupach, gdzie zwracano od dawna uwagę na zagrożenia związane z AI, dostrzeżono prorocki charakter dokumentu. Zaczęto nawet porównywać wezwanie papieża do Dżihadu Butleriańskiego z uniwersum „Diuny" Franka Herberta, w którym wojna z myślącymi maszynami doprowadziła do całkowitej eliminacji i zakazu tworzenia sztucznej inteligencji. W niektórych środowiskach walkę z dominacją AI i technooligarchów zaczęto już nazywać Krucjatą Leoniańską.

Choć oczywiście encyklika jest zakorzeniona w chrześcijańskim Objawieniu, wedle którego godność ludzka opiera się na podobieństwie człowieka do Boga, swego Stwórcy. Humanizm jest w niej chrystocentryczny – to Chrystus uosabia doskonałe człowieczeństwo. Nie można mówić o człowieku, nie mówiąc o Bogu, który również stał się człowiekiem. Encyklika otwiera się Wcieleniem i nim się zamyka. A jej zwieńczeniem jest „Magnificat" – prorocki hymn Maryi, w którym objawiony zostaje „przeobrażający plan ekonomii chrześcijańskiej".

Krytyki, rzecz jasna, również nie brakuje – tak ze strony katolickich konserwatystów, którzy zarzucają encyklice, że jest zbyt światowa, za mało mówi o grzechu, zbawieniu i Chrystusie, jak i z pozycji zwolenników nieograniczonego postępu technologicznego i związanego z tym zysku, którym wszelkie próby ograniczenia ich działania jawią się jako szkodliwe (czy wręcz są utożsamiane z działaniem Antychrysta).

Chris Olah z Anthropica przypominał w Watykanie, jak ważne jest, by ludzie potraktowali kwestię AI poważnie „i pchnęli bieg wydarzeń w lepszym kierunku". Mówił też, że firmy rozwijające sztuczną inteligencję potrzebują świadomych krytyków, którzy powiedzą laboratoriom, że zmierzają w złym kierunku. „Potrzebujemy moralnych głosów, których żadne naciski nie zdołają ugiąć" – dodał, uznając papieża i jego encyklikę za najistotniejszy jak dotąd wkład w tę dyskusję.

© PIOTR POPIOŁEK



MARIAN LEON / GETTY IMAGES

Prezentacja systemów robotycznych hiszpańskiej armii. Almería, 30 października 2025 r.

Jak rozbroić AI

SYLWIA CZUBKOWSKA

ENCYKLIKA | Papież mówi „sprawdzam", pytając, do czego doprowadzi wyścig technologiczny, odsuwający etykę na bok.

Projekt Stargate, czyli wielka, sięgająca 500 miliardów dolarów inwestycja w centra danych, moce obliczeniowe i superkomputery, został ogłoszony przez OpenAI, Oracle i SoftBank. Jego nazwa nawiązuje oczywiście do filmów i seriali *science fiction*, w których naukowcy i wojskowi wspólnie za pomocą gwiezdnych wrót odkrywają tajemnice ludzkości i walczą z wrogimi rasami.

Colossus to superkomputer zbudowany w 2024 r. przez xAI Elona Muska na potrzeby trenowania Groka. Nazwa nawiązuje do potężnego superkomputera z filmu z 1970 r., który zbudowano do obrony USA. W filmie komputer zyskuje samoświadomość, łączy się ↦

↦ z radzieckim odpowiednikiem i przejmuje kontrolę nad światem, uznając ludzkość za zbyt niebezpieczną, by sama sobą rządziła.

Dwie coraz głośniejsze dziś spółki, Palantir i Anduril, zajmujące się wykorzystaniem AI do budowy narzędzi zapewniania bezpieczeństwa poprzez kontrolę i walkę, również zapożyczyły swoje nazwy z popkultury. Obie pochodzą z „Władcy pierścieni" Tolkiena. Pierwsza od kamieni widzenia, druga od miecza Aragorna.

Po co twórcom AI popkultura

Jednak nie tyle fascynacja popkulturą zwraca uwagę przy tych nazwach. Bardziej uderza to, że krążą one uporczywie wokół wojny, walki, potęgi i siły. Dyskusja publiczna, polityczna i medialna o AI jest już przesycona takim językiem.

Mamy więc „wyścig o generatywną AI", „wyścig zbrojeń AI", „bitwę algorytmów", „walkę o dominację nad światem dzięki AI" czy wreszcie powtarzany jak mantra „nowy projekt »Manhattan«".

Rozbrojenie AI to nie kapitulacja przed przyszłością, lecz akt dojrzałości. **Powrót do samych podstaw idei sztucznej inteligencji,** która miała być wsparciem dla człowieka.

Oczywiście takie militarne metafory nadają dramaturgii i poczucia pilności, a więc skłaniają do większych inwestycji. Ale także kształtują postrzeganie technologii jako pola bitwy, na którym musi być zwycięzca i przegrany. Pozwalają przekonywać, że stawka gry jest tak wysoka, iż wszyscy powinniśmy być skłonni do poświęceń.

Wojna, czyli brak etyki

Ramowanie prac nad AI jako „wojny" sugeruje, że opóźnienie lub regulacje o jakimkolwiek etycznym tle oznaczają „przegraną" i podporządkowanie się przeciwnikowi. Tworzy to presję na szybki rozwój, przy którym zadawanie pytań o bezpieczeństwo, koszty i cele całego wyścigu jest postrzegane jako nielogiczne, a wręcz niebezpieczne.

Kiedy więc w encyklice „Magnifica humanitas" papież wzywa, by „rozbroić AI", to nie chodzi mu tylko o ostrożność w używaniu tej technologii do prowadzenia wojen (o czym zresztą też pisze dużo i krytycznie).

Leon XIV świadomie wybiera mocne, militarne słowo „rozbrojenie", by odwrócić perspektywę. Zamiast pytać: „kto wygra wyścig?", proponuje pytanie: „jak uczynić AI narzędziem służącym godności każdej osoby?". Logice dominacji przeciwstawia logikę solidarności i dobra wspólnego. Zamiast strachu przed „przegraną" oferuje nadzieję na budowę tytułowego „wspaniałego człowieczeństwa".

Papież wraca do podstaw

Papież definiuje rozbrojenie AI jako uwolnienie tej technologii od „logiki zbrojnej rywalizacji, która dziś nie jest już wyłącznie militarna, lecz także ekonomiczna i poznawcza". Rozbrojenie oznacza zerwanie fałszywej równoznaczności między potęgą techniczną a prawem do rządzenia innymi. Nie tyle, by wyrzec się technologii, co „wyzwolić ją spod monopoli, uczynić ją przedmiotem debaty i sprzeciwu, a tym samym przestrzenią przyjazną ludziom, przywracając ją wielości ludzkich kultur i form życia. Dlatego nie wystarczy ją regulować: trzeba ją rozbroić i uczynić przyjazną".

To „uczynić ją przyjazną" może brzmieć miękko i łagodnie. W rzeczywistości jest jednak powrotem do samych podstaw idei sztucznej inteligencji, która miała być przecież służebna, miała stanowić wsparcie dla człowieka. Rozbrojenie AI to nie kapitulacja przed przyszłością, lecz akt dojrzałości cywilizacyjnej. To przypomnienie, że największą wartością nie jest potęga algorytmów, lecz godność człowieka. © SYLWIA CZUBKOWSKA

Autorka jest współtwórczynią podkastu Techstorie w Tok FM. Wydała książki „Chińczycy trzymają nas mocno" i „Bóg techy".

POŻEGNANIE

Odszedł nasz przyjaciel

Ś.† P.

Krzysztof Potocki

Nathalie, dzieciom, Natalii i całej Rodzinie
składamy wyrazy współczucia.

Krzysiu, będzie nam Ciebie bardzo brakowało.

Kasia i Alek Janiccy

Nina i Tomek Janowscy

Kasia Kolenda-Zaleska i Grzesiek Zaleski

Agnieszka i Robert Makłowiczowie

Marie i Wojtek Zielińscy

Majka i Tomek Langierowie



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Uczestnicy procesji na Skałkę ku czci świętego Stanisława. Kraków, 10 maja 2026 r.

Katolicy z przyzwyczajenia

ADRIAN BURTAN

RELIGIA | Samo przywiązanie do chrześcijańskiej kultury i tradycji nie wystarczy, by ocalić polską religijność. Sekularyzacja nie osłabia jednak tęsknoty za duchowością.

Dariusz, lat około 40, uważa się za ateistę. Mówi: – Europa ma dwa filary: antyk i właśnie chrześcijaństwo, które kształtuje nas jako społeczeństwo. Nawet osoby niewierzące czerpią z tej spuścizny.

Podkreśla, że choć instytucja Kościoła zasługuje na krytykę z powodu skandali, to wiele z głoszonych przez nią norm należy przyjmować i realizować w życiu. Takie ideały jak pomoc bliźniemu, uznawanie przyrodzonej godności człowieka czy dobra jako wartości obiektywnej nie straciły na aktualności.

– Wciąż stanowią fundament prawa. Dla mnie jako kryminologa to ważne, bo kierując się etyką chrześcijańską, odnoszę się do karania czynów, a nie ludzi – wyjaśnia. Katolicyzm widzi jako fundament tożsamości kulturowej, dlatego nie chce o tej tradycji zapominać, ale ją zachowywać i pielęgnować. Nawet jeśli nie wiąże się to z zaangażowaniem religijnym.

Przy czym dla Dariusza katolicyzm nie służy do walki z innymi religiami czy wpływami kulturowymi. Wręcz przeciwnie – uważa go za spoiwo wspólnoty europejskiej. Uniwersalny koncept, odpowiedni jako podstawa funkcjonowania społeczeństw.

Poglądy Dariusza są świadectwem żywotności i kulturowej siły chrześcijaństwa. Ale czy to wystarczy, by zahamować sekularyzację polskiego społeczeństwa? Zatrzymanie się na kulturowej wartości katolicyzmu dla wielu nominalnych katolików okazuje się etapem na drodze do zerwania związków z Kościołem. Proces ten widać zwłaszcza w perspektywie kilku pokoleń.

Oszustwo względem Boga

Polacy nadal w większości czują się katolikami. Według CBOS za „wierzących” albo „głęboko wierzących” uważało się w 2024 r. ok. 90 proc. społeczeństwa, liczba ta jednak spadła w czasie pandemii. Związany z nią *lockdown* dodatkowo rozluźnił i tak już osłabione więzi z religią. Odchodzenie od praktyk religijnych u wielu „deklaratywnych” katolików nie dzieje się bowiem od wczoraj. Udział w mszach czy nabożeństwach spada od dekad, podobnie liczba chrztów, ślubów kościelnych czy deklaracji, że wiara definiuje człowieka.

30-letnia Katarzyna z Krakowa niedawno została matką. Już od dawna nie uczestniczy w życiu Kościoła, ale czuje presję teściowej i babci od strony męża, by ochrzcić dziecko. – Protestowałam. To od dziecka będzie zależało, czy kiedyś zechce być ochrzczone – oponuje.

Obecność religii w jej domu rodzinnym wyglądała dość standardowo: coniedzielna msza, modlitwy, nabożeństwa. Sam Kościół pamięta przez pryzmat strachu i oceniania. Denerwowała ją hipokryzja „spektaklu”, w którym uczestniczyła przez lata. Drażniły złoto i przepych świątyń. Rozczarowywali duchowni. Stopniowo oddalała się od religii. Jej „ostatki” w Kościele przypadły na czas bierzmowania. – Wiedziałam, że większość osób z mojego kręgu rodzinnego chodziła ↦

↦ do kościoła tylko dlatego, by to odhaczyć. Bo nie wypadało inaczej – mówi.

Problem pojawił się przy ślubie. Rodzina nalegała, by wzięli go w kościele. Katarzyna czuła jednak, że to byłoby oszustwo, zarówno względem siebie, jak i Boga.

Ale mimo że nie chce funkcjonować w religijnym kołowrotku kulturowym, napędzanym hasłem „tak trzeba" – ochrzcić dziecko, iść do komunii, wziąć ślub kościelny – wie jednocześnie, że chrześcijaństwo jest wciąż ważnym elementem jej tożsamości. Nie wypiera się korzeni. – Uznaję, że zostałam w tej wierze wychowana, że to część mnie. Część, której nie da się tak po prostu usunąć – mówi.

Dla Katarzyny ta tożsamościowa więź z chrześcijaństwem jest jednak czymś innym niż praktykowanie religii wedle reguł dyktowanych przez instytucję. Od Kościoła się dystansuje. Dzisiaj w nabożeństwach nie uczestniczy właściwie wcale. Lubi święta Bożego Narodzenia, ale nie obchodzi ich po katolicku. Dziecka nie chce wychowywać religijnie, ale uznając wartościowe elementy w religii, które sama przejęła, przewiduje, że niektóre z nich mogą mu się przydać w życiu.

– Samo wybierze. Chciałabym, żeby przede wszystkim było dobrym człowiekiem. Bycie dobrym kojarzy mi się z chrześcijaństwem – mówi.

Religia z rozpędu

W coraz większym rozdźwięku między deklaracją przynależności religijnej a praktyką dostrzec można narastające nad Wisłą zjawisko katolicyzmu kulturowego. Większy nacisk kładzie się w nim na rytuał niż na duchowe przeżywanie wiary czy zaangażowanie we wspólnotę. Prowadzi to do stopniowego porzucania praktyki religijnej, przy zachowaniu pewnych tradycji katolickich, jak święcenie pokarmów czy posyłanie dzieci do komunii.

– Robi się coś tylko dlatego, że tak postępowali ojciec, matka, babcia – mówi Radosław Tyrała, socjolog religii z Wydziału Humanistycznego krakowskiej AGH. – To coś, co zostało mi wpojone i co uznałem za słuszne, ale niekoniecznie zostało przeze mnie zinternalizowane. To nie jest religijność wynikająca z pogłębionej refleksji czy doświadczenia. Raczej coś, co można by nazwać katolicyzmem inercyjnym, opartym na rutynie.

Sęk w tym, że w dłuższej perspektywie takie podejście pogłębia pokoleniowe oddalanie się od religii, nawet w jej wymiarze kulturowym. Właśnie ta zmiana może najmocniej napędzać sekularyzację.

Żyjemy w czasach niepewności: wojny, migracje, napięcia.
To może wpływać na powrót do religijności, która jest dla wielu znaną i bezpieczną przestrzenią.

Kulturowy nawyk

Na ten stan rzeczy złożyło się wiele czynników. Część wynika z kontekstów globalnych, takich jak kształtowanie się światowych trendów kulturowych i nowych prądów duchowych, ogólny wzrost dobrobytu czy narracje emancypacyjne. Jest też wiele problemów typowych dla polskiego krajobrazu. Słabość intelektualna i teologiczna tutejszego Kościoła, ujawniane skandale czy instrumentalne wykorzystywanie religii przez polityków.

– To właśnie czynniki lokalne w dużej mierze decydują o tym, jak przebiega sekularyzacja w Polsce – przekonuje Tyrała. – Przykładowo, po śmierci Jana Pawła II eksperci zastanawiali się, czy ten moment coś zmieni w naszej religijności. Początkowo sekularyzacja została jakby „zamrożona", ale kilka lat później zaczęło się to odwracać. Podobny efekt przyniosła pandemia. Pokazała, jak bardzo praktyki religijne były oparte na rutynie. Wystarczyło, że przez rok ktoś nie chodził do kościoła, i potem okazywało się, że nie czuje potrzeby powrotu – mówi socjolog.

Katolicyzm sprowadzony niemal wyłącznie do kulturowego nawyku, pozbawiony głębi i regularnej praktyki, to efekt postępującego osłabiania znaczenia religijności. Gdy rozmawia się z młodszymi osobami o ich doświadczeniach z wiarą, można dostrzec pewien pokoleniowy schemat.

Na jego szczycie są dziadkowie, z reguły mocno wierzący. Dla nich religia wciąż jest nie tylko rytualnym obowiązkiem, ale też realnym odniesieniem w życiu codziennym. Dalej są rodzice – ci wierzą już mniej. Udział w obrzędach czy praktykach religijnych nie ma dla nich tak fundamentalnego znaczenia duchowego. Niemniej dla wielu z nich wiara pozostaje silnym elementem tożsamości, co starają się przełożyć na wychowanie dzieci. Te jednak nierzadko z czasem porzucają religię albo praktykują ją tylko podczas świąt czy wyjątkowych chwil, jak podjęcie decyzji o chrzcie własnych dzieci.

Nowa duchowość młodych

Katolicy kulturowi, nawet ci śladowo uczestniczący w życiu Kościoła, zawsze mogą do niego wrócić czy odwołać się do własnych korzeni. Ich dzieci natomiast, często niewychowane według katolickiej wykładni, są już tej drogi pozbawione.

To właśnie najmłodsze pokolenie odchodzi od religii najszybciej. Wynika to ze zmiany społecznej percepcji: jeszcze kilkadziesiąt lat temu bycie praktykującym katolikiem w Polsce było domyślne. Odstępstwo od normy wiązało się z ostracyzmem i. Dziś coraz częściej jest odwrotnie – brak religijnej identyfikacji mieści się w społecznej normie.

– Przez lata funkcjonował u nas model katolicyzmu ludowego. Ludziom nie tłumaczono Ewangelii. Albo chodziłeś do kościoła, albo czekało cię piekło – tłumaczy ks. Grzegorz Strzelczyk, teolog i prezbiter archidiecezji katowickiej. – Taka opowieść o religii działała w warunkach monokultury, gdy wierni nie mieli dostępu do innych źródeł informacji. Dziś to się załamało. Ludzie konfrontują się z innymi modelami myślenia i proste przekazy im nie wystarczają. Jeśli wiara nie stanie się doświadczeniem, relacją z Bogiem i wspólnotą, to zostanie odrzucona jako zbędny balast. I to właśnie się dzieje w Polsce. Ludzie „strząsają" z siebie rytualizm i otoczkę wierzeniową, bo zaczęli widzieć w tym coś infantylnego – dodaje.

Nie znaczy to, że młodzi porzucili duchowość. Definiują ją jednak inaczej niż starsi. W raporcie przygotowanym przez Uniwersytet SWPS i agencję They.pl „Jakie są polskie zetki?" czytamy, że 64 proc. młodych nie uczestniczy w obrzędach religijnych, ale już dla co trzeciej osoby rozwój duchowy pozostaje ważny.

Zetki nie są jednak religijne w sensie instytucjonalnym. Duchowość oznacza dla nich pracę nad sobą, dbanie o dobrostan psychiczny i fizyczny, określanie celów w życiu czy postępowanie w zgodzie z własnymi wartościami.

Jak podkreśla Radosław Tyrała, jest to odbiciem rozwoju indywidualnej duchowości. W takim modelu rytuał wspólnotowy nie jest konieczny: dziś można uważać się za osobę duchową bez uczestnictwa w tradycyjnych obrzędach.

– Istnieje stereotyp, że osoba niereligijna jest „pusta" duchowo. To niesprawiedliwe. Jeśli znika religijność w tradycyjnym sensie, nie znika to, co duchowe. Duchowość może się przejawiać w emocjach, w sztuce, w doświadczeniach. Nawet pójście ateisty do kościoła w ciszy, bez udziału w mszy, może być doświadczeniem duchowym. Religijność i duchowość mogą się częściowo pokrywać, ale nie są tym samym – tłumaczy socjolog.

„Dla świętego spokoju"

Marta (imię zmienione na prośbę rozmówczyni) tak definiuje duchowość: – Dla mnie życie duchowe istnieje, ale zupełnie gdzie indziej. To kontakt ze sztuką, muzyką, teatrem. To zachwyt nad przyrodą, pójście do lasu. Nie potrzebuję do tego religii – argumentuje.

Pochodzi z warszawskiego Bródna, z rodziny o silnych katolickich korzeniach. W tym środowisku i w czasie jej dzieciństwa – w latach 70. – było oczywiste, że wszyscy praktykują. – Jeśli nie poszlibyśmy do kościoła, to byłby grzech, tak to mnie i mojemu bratu tłumaczyła mama – wspomina Marta. – Coniedzielne msze były więc obowiązkowe, do tego różne nabożeństwa. Byliśmy bardziej zaangażowani religijnie niż inne rodziny, ale przyjmowałam to jako coś normalnego – dodaje.

Religijność mamy określa jako dogmatyczną i mocno trzymającą się zasad – przykładowo rezygnacji ze spożywania mięsa w piątek czy słuchania muzyki w trakcie Wielkiego Postu. Ale Marta z czasem nie chciała podporządkowywać życia religijnym regułom. Jednym z impulsów było poznanie przyszłego męża. Matka nieprzychylnie patrzyła na to, że trzymają się za ręce albo że chcą gdzieś razem wyjechać. Marta nie rozumiała, dlaczego religia tak restrykcyjnie podchodzi do sfery seksualności.

– Podważałam takie podejście. Dlatego w wieku 19 lat poszłam na pielgrzymkę do Częstochowy. Ale była ona tylko pretekstem, żeby spotkać się z chłopakiem. Umówiliśmy się na dworcu w Częstochowie, spędziłam z nim dzień – opowiada.

Po trzydziestce była już właściwie, jak mówi, „jedną nogą po drugiej stronie wiary". Odchodziła bowiem stopniowo. Zrobiłaby pewnie to szybciej, ale na świecie pojawiły się jej dzieci, nie było więc czasu na rozważanie wątpliwości duchowych. Efektem było to, że obrzędy praktykowała niejako z rozpędu. Ochrzciła dzieci, chodziła z nimi do kościoła, posłała do komunii. Robiła to też dla „świętego spokoju", by nie urazić rodziców. Zachowywanie rytuałów jednak nie zatrzymało jej odsuwania się od Kościoła.

Dziś Marta nie czuje się ateistką, woli się określać jako racjonalistka. Nie praktykuje już żadnych obrzędów religijnych, nawet przygotowywania tradycyjnej kolacji wigilijnej. Dla niej sytuacja, gdy uczestniczy się w praktyce religijnej, robiąc jednocześnie rzeczy, których wyznawana religia zabrania, jest niedopuszczalna. – Wolę być uczciwa względem siebie – zaznacza.

Skazani na odejście

Jaka jest więc rola Kościoła w kształtowaniu religijności w czasie, gdy kultura stopniowo odrywa się od katolicyzmu, a sekularyzacja przyspiesza? Zdaniem ks. Strzelczyka zmiany muszą dokonywać się na trzech poziomach budowania wiarygodności: instytucji Kościoła, wspólnot parafialnych i samych katolików, którzy powinni być świadkami Ewangelii. Teolog uważa jednak, że odpływu wiernych się nie powstrzyma.

– Jeśli młody człowiek nie trafi na dobrą wspólnotę, mądrego duszpasterza albo nie ma świadomych w wierze rodziców, to jest właściwie skazany na odejście. Nawet jeśli tempo sekularyzacji spadnie, to nie znaczy, że katolicyzm się utrzyma. Równie dobrze ludzie mogą pójść w zupełnie inne formy duchowości albo całkiem z niej zrezygnować – twierdzi.

Słychać już jednak głosy wskazujące na coś przeciwnego, a więc stopniowe lokalne odradzanie się chrześcijaństwa. Na Zachodzie widać pierwsze sygnały takiego zwrotu. Rośnie zainteresowanie religią wśród młodych Brytyjczyków, zwiększa się co roku liczba chrztów dorosłych we Francji. Dla niektórych to religia staje się odpowiedzią na wyzwania współczesności: rozpad więzi wspólnotowych, poczucie chaosu i bezsensu.

– To pokazuje, że procesy nie są jednokierunkowe. Żyjemy w czasie dużej niepewności: wojny, migracje, napięcia społeczne. To wszystko może wpływać na powrót do religijności, która jest dla wielu znaną i bezpieczną przestrzenią – mówi dr Tyrała.

Faktem jednak jest to, że Katarzyna i Marta są poza Kościołem. Szanse na powrót są niewielkie. Prawdopodobnie w przypadku ich dzieci zerwanie z religią przestanie być etapem w życiu, a stanie się domyślnym kierunkiem. Dariusz wierzy w tożsamościową rolę katolicyzmu w Polsce i regionie, ale czy sama kulturowa pamięć wystarczy, by kolejne pokolenia chciały sięgać do chrześcijańskich korzeni? © ADRIAN BURTAN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP DRODZY CZYTELNICY, W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

DODATEK SPECJALNY

INDUSTRIADA®
ŚWIĘTO SZLAKU ZABYTKÓW TECHNIKI

a w nim:
rozmowa z **Dorotą Pociask-Frącek**, dyrektor Instytutu im. Wojciecha Korfantego
oraz prezentacja najważniejszych wydarzeń i miejsc tegorocznej edycji.
Zapraszamy do woj. śląskiego 13 i 14 czerwca!

Dodatek realizowany we współpracy z Instytutem im. Wojciecha Korfantego

O. WACŁAW

Oszajca:
Religijność jak rosa



„Cóż mam począć z tobą, Efraimie? Co mam uczynić z tobą, Judo? Wasza miłość jest jak poranny obłok, jak rosa, która wcześnie znika”, mówi Bóg do swojego narodu. Przemawia po ludzku, ustami człowieka, Ozeasza. Nie oskarża, spokojnie mówi, że boli Go ten brak wzajemności. Mówi, jakby się usprawiedliwiając: „Pragnę miłości, a nie ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń”. Ale ta propozycja nie budzi ich zainteresowania. Oni szukają sposobu, jak by tu skutecznie zachęcić Boga do szybszego zajęcia się ich sprawami. Nie dopuszczają więc do głosu Ozeasza, gdyż boją się, że nie tylko nie pomoże, ale jeszcze może przeszkodzić w tym nakłanianiu Boga do spełnienia ich oczekiwań, zwanym modlitwami. Boją się, że będą musieli rozstać się z tym, co dotychczas łączyło ich z Bogiem i co przeżywali jako miłość. Nie byli ludźmi złej woli. Chcieli mieć Boga, który jak inni bogowie będzie – jak to dzisiaj mówimy – dawcą „wszelkich łask, których tak bardzo potrzebujemy”. Oni i my, jak wielu innych ludzi religijnych, wciąż ulegamy tej samej pokusie. W życiu, zamiast „logiką daru”, kierujemy się „logiką ofiary” i nie chcemy zrozumieć, że ofiara, jeśli nie rodzi się z miłości, rodzi nienawiść i przemoc.

W przeszłości poza Ozeaszem również Eliasz mówił do Izraelitów, a więc i do nas: „»Jak długo będziecie się chwiać, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę? Jeśli Pan jest Bogiem, to idźcie za Nim, a jeśli Baal, to idźcie za Baalem«. Lud jednak nie dał mu żadnej odpowiedzi”. Ten brak odpowiedzi jest znaczącą odpowiedzią. Po prostu wygodniej jest odprawiać rozhuśtane emocjonalnie nabożeństwa niż siąść do stołu z tymi, których mamy za „celników i grzeszników”. Eliasz bardziej krewko od Ozeasza ośmiesza taką religijność: „Krzyczcie głośniej, przecież to jest bóg, więc może jest zamyślony albo zajęty swoimi sprawami, albo jest jeszcze w drodze. A może po prostu śpi i musi się obudzić?”.

Ale Bóg Jezusa Chrystusa nie potrzebuje takiej pobudki; my, ludzie, Kościół – owszem. Nie jest nam przecież obca pokusa czczenia Boga Jezusa na baalowy sposób. Świadczy o tym krytyka papieża Leona choćby ze strony polityków i z naszej strony, choćby za wspólną modlitwę z abp. Sarah Elisabeth Mullally. Czas na uważną lekturę „Magnifica humanitas”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Istota kapłaństwa



Czwartek minionego tygodnia: Święto Jezusa Chrystusa Najwyższego i Wiecznego Kapłana. Okazało się, że Kościół czyta to kapłaństwo przy pomocy Ewangelii o Getsemani (zob. Mt 26, 36-42). Nie o Ostatniej Wieczerzy, gdzie kapłaństwo zostało ustanowione i przekazane apostołom. Nie o Golgocie, gdzie nasz Pan, Najwyższy Kapłan, złożył Bogu ofiarę ze swojego Ciała i Krwi. Dlaczego Getsemani? Dlatego, że najważniejszym aktem kapłańskim jest posłuszeństwo. List do Hebrajczyków mówi w przejmujący sposób o kapłaństwie w perspektywie Ogrójca: „Z głośnym wołaniem i płaczem za dni ciała swego zanosił On gorące prośby i błagania do Tego, który mógł Go wybawić od śmierci, i został wysłuchany dzięki swej uległości. A chociaż był Synem, nauczył się posłuszeństwa przez to, co wycierpiał (...) nazwany przez Boga kapłanem na wzór Melchizedeka” (Hbr 5, 7-10). Kluczowym aktem kapłańskim Jezusa jest Jego zgoda, by „wypić kielich” podany Mu przez Ojca. Czym bez tego aktu posłuszeństwa byłaby składana na Golgocie ofiara? Aktem desperacji i rezygnacji? Przegraną i pomyłką? Taki wybór Ewangelii na opisanie istoty kapłaństwa pokazuje nam, że najpierw liczy się w nim fundamentalna postawa, a dopiero potem czynności ofiarnicze/liturgiczne.

Posłuszeństwo? Wiem, bo przyrzekałem posłuszeństwo cztery razy w moim życiu kapłańskim: jest ofiarą z siebie (z własnej woli, projektów, marzeń) – jest uznaniem za swoją perspektywę kogoś/Kogoś innego. A na tym ostatecznie polega wyjątkowość i tożsamość (!) Kapłaństwa Chrystusa, że kapłan jest tożsamy z ofiarą! Nie składamy Bogu na ofiarę – jak w starożytnych świątyniach – martwych zwierząt, lecz siebie samych. Oddajemy Bogu nasze posłuszeństwo.

Ofiarnicza postawa, nie czynności; albo (lepiej): wcześniejsza niż czynności! W taki sposób o kapłaństwie uczył św. Jan Paweł II, jeszcze jako kard. Karol Wojtyła. Słów ustanowienia kapłaństwa upatrywał nie w: „To czyńcie na Moją pamiątkę”, lecz w: „Pójdźcie za Mną”. Nie przestaje być kapłanem – i wykonywać kapłaństwa (!) – ktoś, kto np. z powodu choroby lub jakiejkolwiek innej przeszkody nie może podejść do ołtarza, by „odprawiać”. Pytanie także o jakąś wewnętrzną prawdę kapłana, który fizycznie „odprawia”, a wewnątrz odmawia Bogu i Kościołowi jakiegokolwiek posłuszeństwa... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Marsz przez osiedle*



Mam wrażenie, że w Boże Ciało zawsze był upał, a po południu burza. Oraz jedne z pierwszych truskawek i lodów. Tak pamiętam to z dzieciństwa, ale pamięć z pewnością kłamie. Niemożliwe, żeby to wiosenne święto miało co roku pogodę jak żyleta. Niemniej kojarzy się ono z wiosną w rozkwicie, wyciągniętymi po zimie sukienkami w drobne łączki, beżami i jasnymi marynarkami mężczyzn. Bo Boże Ciało mojego dzieciństwa to było – zresztą zgodnie z długą, trwającą od średniowiecza tradycją – sąsiedzkie, społeczne święto. Religijne przy okazji też, ale nie wiem co bardziej.

Chyba nie było innego dnia, który gromadziłby prawie wszystkich. Przepełniona parafia, w jednym kościele łącząca dwa duże osiedla, gdy zeszła się na główną mszę przed procesją, nie mieściła się w obszernym budynku. Ołtarz więc wystawiano na szczyt wejściowych schodów, ławki na trawniki i parking. Już w samym piknikowym początku tego zgromadzenia było coś odświętnego i letniego. Mało kto jeździł wtedy na długie weekendy czy miał dom za miastem, więc zdawało się, że tego dnia na tej mszy są właściwie wszyscy. Sąsiadki, nauczycielki mieszkające w okolicy, znajomi dalsi i bliżsi. Również ci, z którymi zerwało się kontakty, co zmuszało do dyskretnych manewrów w odświętnym tłumie.

Po polowej mszy tłum przeciskał się przez wąskie gardła bram i furtek kościelnego ogrodzenia i ruszał długą trasą przez osiedle. Trwało to wiele godzin, a może tak tylko zapisała to moja dziecięca pamięć. I znów: czy to było bardzo religijne, nie sądzę. W długaśnej procesji początek z baldachimem, monstrancją, śpiewem i obstawą liturgiczną uciekał i znajdował się wiele ulic dalej, gdy sąsiedzki wąż mijał kolejne ołtarze, rekonfigurując się w kolejne towarzyskie grupy, rozmowy, pozdrowienia, czasem i flirty. Wszystko to w marszu śladem zadeptanych płatków kwiatów, sypanych przez przejęte bielanki.

Raz byłam na przedzie, gdy jeszcze nie wyrosłam z komunijnej sukienki i, przećwiczona, mogłam być właśnie dziewczynką od kwiatków. Raz, dwa, trzy, sięgnięcie do koszyczka, dygnięcie z rozsypaniem – ćwiczyłyśmy z siostrą katechetką choreografię. To była inna perspektywa, w końcu zobaczyłam religijny rytuał, modlitwy przy kolejnych ołtarzach, które zwykle mijałam już opustoszałe. Wolałam jednak to społeczne święto na tyłach.

W Brukseli jedyna procesja, jaką widzę, to wieczorny przemarsz garstki lefebrystów pod moim balkonem. Takie społeczne święto, jak to, które wspominam, znajdzie się prędzej opisane w podręcznikach antropologii. Coś z przeszłości, coraz mniej zrozumiałego.

To zresztą bardzo ciekawe: jak opowiadać o potężnym kawałku dawnej europejskiej kultury religijnej w sposób, który angażuje i tłumaczy współczesnego zwiedzającego, coraz mniej rozumiejącego chrześcijaństwo? Mierzą się z tym europejskie muzea, których kolekcje pełne są obrazów z motywami biblijnymi i religijnymi. Zostawić to inteligencji i wykształceniu zwiedzających czy przyjąć, że przychodzą z bardzo różnym przygotowaniem, a czasem i Biblia, i chrześcijaństwo są im obce? Czy będzie to zbytni dydaktyzm, jeśli zaczniemy tłumaczyć, czy skorzystają na tym wszyscy? Np. miejskie muzeum w Leuven, leżące tuż obok słynnego katolickiego uniwersytetu, dziedziczy wiele artefaktów z miejskich kościołów, dziś zamykanych lub przekształcanych. Ale jak pokazać współczesnym zwiedzającym to dziedzictwo, nie zanudzając kolekcją zdobnych monstrancji i relikwiarzy, które nic dla nich nie znaczą?

Lubię tam właśnie salę o procesjach. Są i monstrancje, ale w jej przestrzeni dominuje procesyjna Madonna na drągach, której odsłonięto konstrukcję pod sukienką. Obok wiele wariantów sukienek i koron, bo noszono ją w procesji na galowo, ubraną w haftowane szaty i biżuteryjne insygnia. Jedna z koron stała się wspaniałym źródłem wiedzy dla historyków biżuterii. Prywatna biżuteria zwykle wędruje po rodzinach, umyka zapisom historii. Tu jednak kolczyki z osobistych kolekcji oddawano Madonnie jako wota, w podziękowaniu za wysłuchane modlitwy czy uzdrowienia. Jeśli się dobrze przyjrzeć, w jej ażurową koronę wpleciony jest kawał lokalnej historii jubilerskiego rzemiosła. Ale to już osobna opowieść dla dobrego przewodnika.

Tę salę otwiera montaż filmów, pokazujących procesje z różnych religii i kultur. Najpierw wydało mi się to dziwne, może nawet przesadzone poszerzenie kontekstu. Jakby ktoś chciał wyjaśnić, że nie tacy ci katolicy dziwni, inni też tak mają. Ale po chwili, w tej przestrzeni, której kurator musiał wymyślić, jak na nowo opowiedzieć o tej tradycji, czuję jakąś świeżość. Coś o uniwersalnej potrzebie i nawyku chodzenia, wychodzenia, pokazywania, obnoszenia, obchodzenia, tłumnego gromadzenia się w ruchu. Coś, co pomaga spojrzeć ze świeżością również na bożocielny marsz przez osiedle. Społeczne, osiedlowe i religijne święto. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

NAUKA

TKACZKI DZIEJÓW

DAISY DUNN, BADACZKA STAROŻYTNOŚCI:

Idealna Rzymianka, jak wynika z nagrobnych inskrypcji, miała być pobożna, cnotliwa, lojalna i... musiała świetnie prząść wełnę. To ostatnie było niekiedy jedynym, co o kobiecie zapisano.

KASPER KALINOWSKI: Co w popularnym przedstawieniu kobiet w starożytności irytuje Panią najbardziej?

DAISY DUNN: Uproszczenia, które widać zwłaszcza w filmach. Zwykle kobiety przedstawiane są na dwa sposoby. Albo pokazuje się je jako istoty niezdolne do niczego poza sprzątaniem i tkaniem, zupełnie nieciekawe i bierne, albo jako manipulatorki, intrygantki i morderczynie knujące zabójstwo własnych mężów.

Prawie nigdy nie natrafiamy na coś pośrodku. A ile kobiet we współczesnym świecie można opisać słowami „całkowicie zła" albo „święta"? Większość z nas mieści się gdzieś pomiędzy. W starożytności musiało być tak samo.

W „Zagubionym wątku. Historii starożytności oraz kobiet, które ją tworzyły" skupiłam się na tym, co robiły i jak kształtowały dzieje, które znamy. To historia starożytnego świata – ale taka, w której kobietom przydzielono nieco większą przestrzeń, niż zwykle się to robi.

Zacznijmy od początków Zachodu. Jak wyglądało życie kobiet w cywilizacji minojskiej na Krecie, której początki sięgają 5 tys. lat wstecz?

To jedna z najwcześniejszych cywilizacji w świecie zachodnim. Nie mamy niestety źródeł literackich, ponieważ Minojczycy używali pisma linearnego A, którego do dziś nie udało się w pełni odczytać. Dysponujemy jedynie listami i spisami administracyjnymi, z których niewiele da się wydobyć. Nie znamy więc imion, nie wiemy dokładnie, jaki ustrój tam panował i nie możemy być niczego do końca pewni – właśnie to czyni Minojczyków tak fascynującymi.

Swoje teorie opieramy na dziełach sztuki i archeologii – pozostałościach pałaców. Mamy jednak mnóstwo drobnych poszlak wskazujących, że kobiety mogły zajmować wysoką pozycję. Dowodem są m.in. luksusowe „kwatery królowej" w Knossos, wyposażone w łazienki z systemem drenażu. Zaś w sztuce kobiety są przedstawiane w centralnych punktach, bywają większe niż postacie mężczyzn.

Centralną postacią kultu była prawdopodobnie jedna główna bogini, a słynne figurki „bogini węży" (ukazujące kobiety z obnażonymi piersiami i trzymające węże) sugerują, że ich poskramianie było umiejętnością zarezerwowaną wyłącznie dla kobiet. Brały one udział również w niebezpiecznych akrobacjach z bykami. Darzono je szacunkiem w sposób, który w późniejszych epokach jest zupełnie nieobecny.

Pani zdaniem pozycja kobiet w świecie greckim pogorszyła się po wojnie trojańskiej. Dlaczego?

W świecie minojskim kobiety odgrywały istotną rolę również z punktu widzenia gospodarki. Jednym z ważniejszych towarów eksportowych Krety były tkaniny, które produkowały kobiety. Później wyspę przejmują Mykeńczycy, o których dzięki Homerowi wiemy nieco więcej – i cały świat minojski się załamuje.

Kiedy czytamy „Iliadę" i „Odyseję", opowieści z czasów mykeńskich, dominują już wojownicy, silni mężczyźni. Ciężar życia społecznego przesunął się wtedy bardziej w stronę pola bitwy.



Wojna trojańska mogła być wydarzeniem historycznym albo opisem całej serii rzeczywistych konfliktów, ale w opowieści Homera oznacza ona kres świata mykeńskiego i koniec epoki brązu. Ten drugi przyniósł gigantyczne przeobrażenia w całym greckim świecie. To czas masowych migracji i gwałtownego spadku populacji. Dziś mamy również dowody na zmiany klimatu, susze, erupcję wulkanu i intensywne opady w tym okresie.

Nieszczęścia kobiet widać w historii przytaczanej przez Herodota. Grupa Ateńczyków

popłynęła do Miletu, gdzie zabiła mężczyzn i zgwałciła kobiety, które uczyniła swoimi żonami. Podobno mieszkanki Miletu przysięgły, że nigdy nie zasiądą do posiłku z nowymi mężami ani nie odezwą się do nich po imieniu. Zwyczaj miał być przekazywany kolejnym pokoleniom.

Książkę rozpoczyna Pani od Hezjoda, który twierdził, że kobiety stworzono, aby utrudniać życie mężczyznom, i mitu o Pandorze, która miała być karą dla mężczyzn. Był to popularny pogląd w starożytności?

Hezjod sam mówi o sobie jako o rolniku. Tworzył w dość surowym, wiejskim otoczeniu. Możliwe, że w bardziej prowincjonalnym regionie kobiety rzeczywiście postrzegano jako kłopot. Wiele jego narzekań sprowadza się do tego, że kobiety chcą mieć dach nad głową i dostęp do własności mężczyzn. Postrzegał je jako „piękne zło".

Według Hezjoda pierwszą kobietą była Pandora, stworzona na polecenie Zeusa przez Hefajstosa jako pionek w sporze między królem bogów a Prometeuszem. Była karą za wykradnięcie ognia i to od niej oraz od jej puszki zaczęły się wszystkie nieszczęścia ludzkości. Pandora, podobnie jak jej chrześcijańska odpowiedniczka Ewa, stanowiła w umysłach mężczyzn surową esencję kobiecości.

Takie podejście widać u innych poetów z tego okresu. Semonides z Amorgos, żyjący w tym samym czasie co Hezjod, wyróżnił m.in. kobiety świnie, które nie sprzątały swoich domów ani nie myły ciał, lecz całymi dniami tylko się obżerały; kobiety lisy, których uwagi nic nie umknęło; kobiety osły, które oddawały się każdemu; złodziejskie kobiety łasice; leniwe kobiety konie; brzydkie kobiety małpy oraz... kobiety pszczoły. Tylko te ostatnie były pracowite i bystre.

Rada dla innych mężczyzn brzmi więc – znajdź sobie kobietę, która jest jak pszczoła. Łatwo tu dostrzec pewne analogie ze współczesną kulturą.

Jednak pierwszą osobą, która tworzyła dzieła literackie i którą znamy z imienia, była kobieta – Enheduanna. To wyjątek?

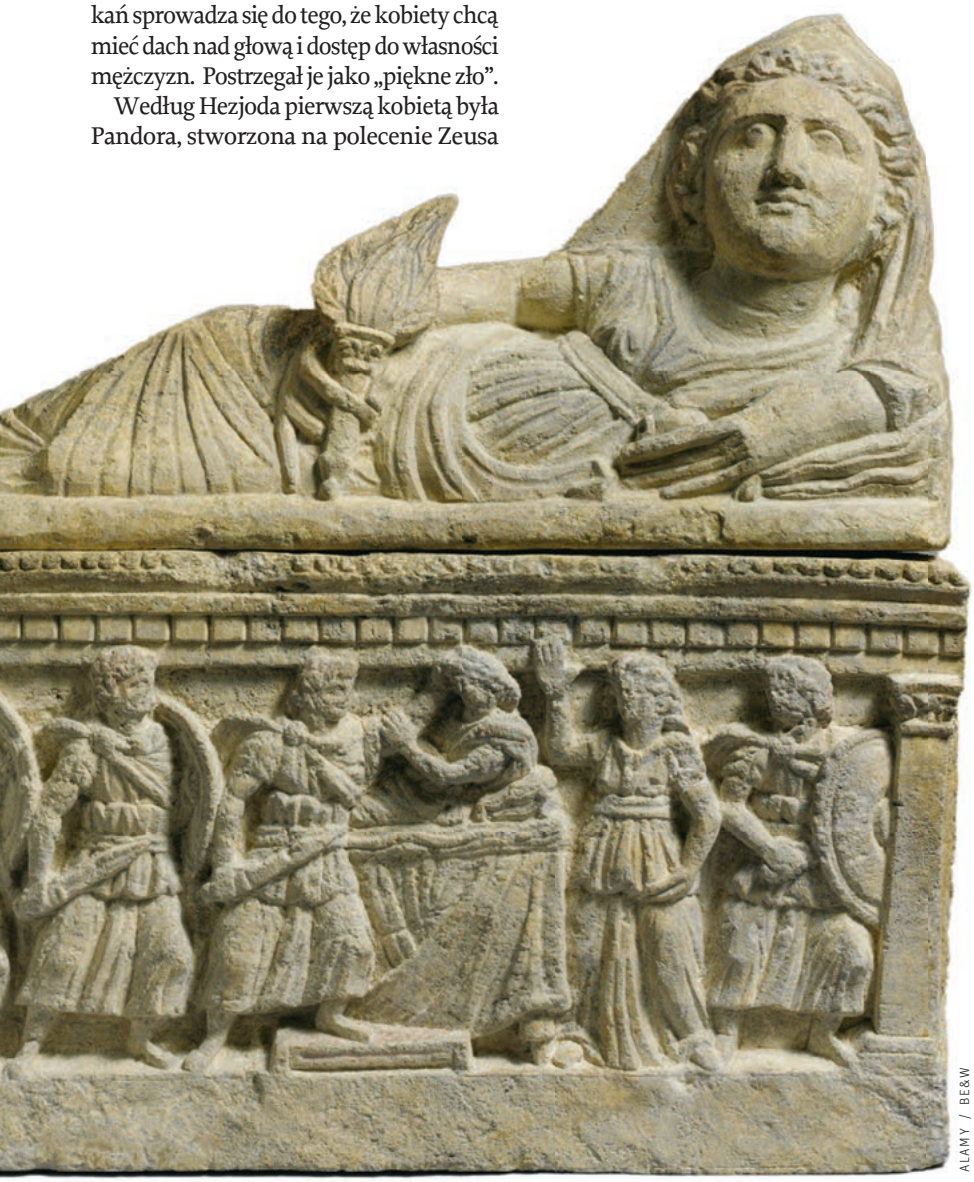
To, że pochodziła z elitarnej rodziny, pomogło jej twórczości przetrwać, ale nie sądzę, by była jedyna. Enheduanna była córką Sargona, króla Akadu i twórcy wielkiego imperium w Mezopotamii sprzed ok. 4300 lat. Przez kilka dekad zajmowała prestiżową pozycję arcykapłanki boga księżyca Nanna w Ur, gdzie komponowała hymny oraz wiersze, które jako pierwsza autorka w historii podpisywała własnym imieniem.

Jej opowieści są ponadczasowe. Udokumentowała również osobistą tragedię – padła ofiarą mężczyzny o imieniu Lugal-Ane, wroga jej ojca, który ją zgwałcił, uprowadził i próbował uciszyć jej „słodkie jak miód" usta. Poetka się jednak nie poddała i w hymnie publicznie oskarżyła napastnika oraz błagała Inannę o jego ukaranie.

W starożytności religia i poezja były ze sobą ściśle związane. Kobiety w służbie religijnej miały prawo do tworzenia hymnów i opowiadania historii. Podczas pracy nad książką zaskoczyło mnie, jak wiele kobiet na starożytnym Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w Imperium Perskim, miało własny głos, posiadało majątki, zarządzało funduszami i organizowało bankiety.

Obok arcykapłanki Enheduanny służyły także prostytutki świątynne. Co wiemy o tym zjawisku?

Podobne historie powtarzają się w różnych kulturach. Brakuje dowodów na powszechność prostytucji sakralnej, choć istnieją przekazy o kobietach oferowanych przez własne rodziny z powodów religijnych. ↦



ALAMY / BE&W

Etruska urna, II wiek p.n.e. W kulturze Etrusków kobiety cieszyły się wyższą pozycją społeczną niż w tym samym czasie w Rzymie lub Grecji. Na fryzie została przedstawiona scena zabójstwa kobiety, być może mitologicznej Ismene – najmłodszej córki Edypa.

↦ Mityczna założycielka Kartaginy Dydona – mówimy tu już o przełomie IX i VIII w. p.n.e. – uprowadziła z Tyru około osiemdziesiąt dziewcząt, które zgodnie ze zwyczajem zarabiały na swoje posagi poprzez prostytucję, oddając się obcym przybyszom na wybrzeżu. Podobna tradycja miała istnieć na Cyprze, gdzie dziewczęta zarabiały na posag, oddając się obcym, a bogini Afrodyta miała w późniejszych latach chronić ich cnotę. Według Herodota również mieszkańcy Lidii mieli zwyczaj prostytuowania córek, aby w ten sposób zgromadzić fundusze na ich posagi.

Wiemy, że na dworze perskim istniały haremy, które służyły władcy, choć nie nazwalibyśmy tych kobiet prostytutkami w takim sensie jak pracownic rzymskich domów publicznych. Ich status był złożony.

Mniej więcej w tym czasie tworzyła najsłynniejsza poetka starożytności – Safona.

Safona stała się legendą, ale dziś często przypisuje się jej cechy, których nie miała. Urodziła się w VII w. p.n.e., ok. 80 lat po Hezjodzie, w zamożnej rodzinie. Wydaje się, że dorastała w kulturze znacznie bardziej wyzwolonej niż reszta świata greckiego, co dało jej pewność siebie. Jej życie nie było łatwe – jako arystokratka doświadczyła wygnania na Sycylię z powodów politycznych. Często się zapomina, że pisała piękne wiersze dla swojej córki, np. o kupowaniu dla niej opaski z Turcji. Była postacią wielowymiarową.

Ważne jest miejsce, gdzie tworzyła – wyspa Lesbos. W antyku istniał grecki czasownik *lesbiazein*, oznaczający „zachowywać się jak kobieta z Lesbos". Chodziło o zachowania seksualne przypisywane kobietom z tej wyspy. Erotyczne sceny z Lesbos przedstawiane na rzymskich i greckich wazach interpretowano często jako wyraz kobiecej niezależności, choć bywały też elementem męskich fantazji.

Religia była dla kobiet azylem wolności?

Religia była jedynym społecznie akceptowanym sposobem wyjścia kobiet z domu, dającym im pewną autonomię myślenia i działania. W Grecji kapłanki niektórych kultów musiały wprawdzie ponosić ofiary, np. golić głowy czy oddawać majątek, ale w zamian uwalniały się od codzienności – prania, gotowania i wychowywania dzieci. W Atenach funkcja kapłanki Ateny Polias – czyli Ateny-opiekunki *polis* – była najbardziej szanowaną funkcją pełnioną przez kobietę.



TIMOTHY FOSTER // MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

DAISY DUNN studiowała filologię klasyczną w Oksfordzie i Courtauld Institute of Art, doktorat uzyskała na University College London. Jest autorką siedmiu książek. W Polsce nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się jej najnowsza: „Zagubiony wątek. Historia starożytności oraz kobiet, które ją tworzyły".

W Rzymie bardzo ważne były westalki. Choć musiały zachować dziewictwo przez 30 lat, wierzono, że zależą od nich losy imperium, dbały przecież o wieczny ogień. Gdyby zgasł, oznaczałoby to złą wróżbę dla całego państwa. Westalki jako jedne z nielicznych kobiet cieszyły się swobodą poruszania się i miały prawo sporządzać własne testamenty bez męskiego opiekuna.

Czyli możemy uznać Pytię, stojącą na czele wyroczni w Delfach, za potężnego polityka?

Tak, była politykiem, choć nikt w tamtych czasach nie powiedziałby tego wprost. Oferowała swoją mądrość tylko przez dziewięć dni w roku. Przepowiednie wygłaszała w stanie przypominającym trans, w który wpadała prawdopodobnie na skutek wdychania naturalnych gazów wydobywających się ze szczelin skalnych w Delfach.

Odwiedzali ją królowie i mężowie stanu z całego świata greckiego, pytając o rady przed wojnami czy inwazjami. Najsłynniejszym przykładem jest Krezus, który po otrzymaniu dwuznacznej wróżby o zniszczeniu „potężnego imperium" zdecydował się na wojnę z Persją, co doprowadziło do upadku jego własnego królestwa. Podczas wojen perskich Pytia, którą znamy z imienia Arystonike, przewidziała zalanie Attyki przez wroga. Dzięki jej radzie większość mieszkańców Aten zdołała w porę ewakuować się w bezpieczne miejsce.

Mamy przekonujące dowody na to, że Pytię wielokrotnie przekupywano, by udzieliła odpowiedzi korzystnej dla któreś ze stron, na przykład Sparty. Jej władze często usprawiedliwiały ekspansję słowami wyroczni. Nie była nieomylna ani odporna na manipulacje, ale jej słowa brano niezwykle poważnie, mimo że często były niejasne i wieloznaczne. Niestety, o wielu kobietach pełniących funkcję wieszczki nie wiemy prawie nic.

Ze starożytności znamy też takie postacie jak królowa Boudika, przywódczyni powstania przeciwko Rzymianom na Wyspach Brytyjskich w I w. n.e. Kobietom zdarzało się brać udział w wojnach?

Niekoniecznie walczyły w pierwszym szeregu, ale bywały w obozach wojennych. Towarzyszyły np. królowi Dariuszowi przed bitwą z Aleksandrem Wielkim.

W świecie rzymskim niezwykle ciekawą postacią była Fulwia, żona Marka Antoniusza. Podczas oblężenia Peruzji w latach 41-40 p.n.e., żołnierze Oktawiana miotali w stronę obrońców ołowiane pociski z procy, na których wyryto wulgarne napisy, jak: „Celuję w łechtaczkę Fulwii". To ona dowodziła obroną i przemawiała do wojsk.

A legenda o Amazonkach może być częściowo prawdziwa?

Wierzę, że istniały. Opisywano je jako „równe mężczyznom". Współcześnie łączy się je z kobietami z koczowniczych plemion scytyjskich znad Morza Czarnego, które dorastały w siodle i brały udział w walkach. W tym regionie

odkryto szkielety kobiet z urazami czaszki typowymi dla walki, pochowano je razem z bronią. Wyróżniały się ogolonymi głowami, na które nakładały peruki, oraz misternymi tatuażami. To one zainspirowały mity. Grecy zetknęli się z nimi ok. VII wieku p.n.e.

Zanim przejdziemy do Rzymu, musimy wspomnieć o Etruskach. Dlaczego Grecy byli zszokowani obyczajami etruskich kobiet?

Etruski były fascynujące. Cieszyły się szacunkiem i niespotykaną swobodą obyczajową. W przeciwieństwie do Rzymianek, których imiona były żeńskimi formami nazwiska rodowego ojca, miały własne imiona i potrafiły pisać.

Grecy mówili o nich ze zgorszeniem, bo mogły jadać kolację z mężczyznami, leżąc z nimi pod tym samym kocem i pijąc wino. Archeologia to potwierdza – na sarkofagach widzimy rzeźby par leżących pod wspólnym przykryciem. Grecy wyolbrzymiali rzeczywistość, twierdząc, że Etruski sypiają z tyloma mężczyznami, że nie wiedzą, kto jest ojcem ich dzieci. Prawda była taka, że miały po prostu większą swobodę, dbały o wygląd, nosiły piękną biżuterię i makijaż.

Na jednej z etruskich opraw lustra pewna kobieta deklaruje: „Wygram", na co jej partner odpowiada przekornie: „Wątpię". Para jest przedstawiona jako młoda i półnaga, oddają się rozrywce – grze przypominającej dzisiejszego tryktraka. Z tego obrazu bije taka nowoczesność i luz, jakich nie znajdziemy w tamtym czasie w Grecji.

Wraz z dominacją Rzymu wszystko się zmieniło?

Rzym był społeczeństwem skrajnie patriarchalnym. We wczesnych mitach założycielskich niemal zapomniano o miejscu dla kobiet. Dopiero gdy Rzymianie zorientowali się, że ich miasto nie przetrwa bez potomstwa, doszło do słynnego porwania Sabinek, co dużo mówi o pozycji kobiet.

Kobiety były dla Rzymian w tej opowieści jedynie spóźnionym dodatkiem, o którym pomyślano po fakcie. Idealna Rzymianka, jak wynika z napisów nagrobnych, miała być pobożna, cnotliwa, lojalna i... doskonała w tkaniu. Formuła, która ciągle powraca w inskrypcjach, brzmi: świetnie przędła wełnę. Niekiedy było to jedyne, co o danej kobiecie napisano.

A jednak rzymskie matrony potrafiły wyjść na ulice. W 190 r. p.n.e. zablokowały dostęp do Forum, domagając się zniesienia restrykcyjnych praw.

Z czasem polityka Rzymu stawała się coraz bardziej zależna od kobiet. Część z nich miała realną władzę finansową. Podczas wojen z Kartaginą wielokrotnie proszono je o oddanie biżuterii i pieniędzy na cele wojenne. Mężczyźni często żenili się z nimi właśnie dla majątków. Ten protest pokazał, że kobiety miały dość życia w czasach zaciskania pasa i po latach wojny chciały powrotu do normalności, do swoich strojów i klejnotów. Choć oficjalnie nie mogły zasiadać w Senacie, ich wpływ na mężów i braci był ogromny. Wielu polityków u schyłku Republiki podejmowało decyzje pod wpływem żon.

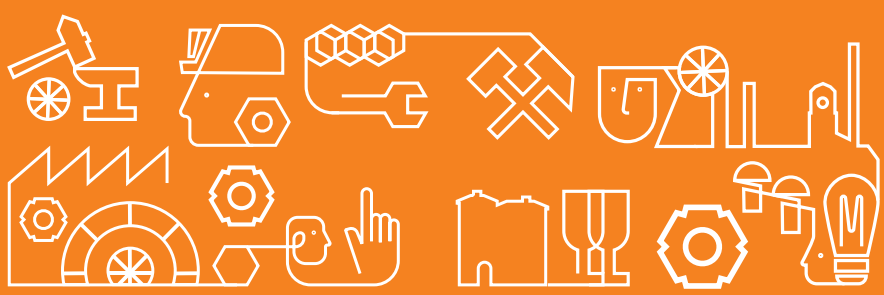
Nawet reformy Oktawiana Augusta były kształtowane przez jego przekonanie, że kobiety zyskały zbyt dużą władzę, co rzekomo prowadziło do niemoralności i rozwodów. Nie da się zrozumieć praw stanowionych przez mężczyzn bez zrozumienia roli, jaką odgrywały wtedy kobiety.

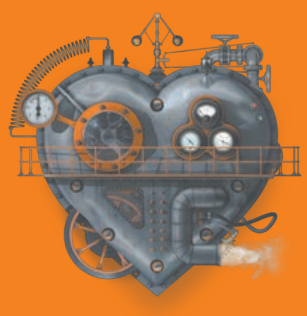
© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

REKLAMA

Szlak Zabytków Techniki prezentuje

Zaprasza Marszałek Województwa Śląskiego Wojciech Saługa





INDUSTRIADA

Twarze przemysłu | 13–14 czerwca 2026

Śląskie. Instytut im. Wojciecha Korfantego. Regionalny Instytut Kultury im. Wojciecha Korfantego jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego.

Oficjalni Organizatorzy Publicznego Transportu Zbiorowego

15 lat Kolei Śląskich

Transport GZM Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia

industriada.pl



FOT. CENTRUM NAUKI KOPERNIK / ANITA WALCZEWSKA / EAST NEWS

Laureaci i finaliści Nagrody Przewroty 2026

Edukacja to ekosystem

Znamy laureatów III edycji Nagrody Przewroty. Wyróżnione w tym roku inicjatywy pokazują, jak dziś skutecznie uczyć przez budowanie wspólnoty i rozbudzanie ciekawości świata.

Nagroda Przewroty powstała z przekonania, że edukacja nie może być jedynie systemem przekazywania wiedzy, zestawem programów, podręczników i instytucjonalnych procedur. Musi szukać nowych języków, narzędzi i form uczestnictwa. Potrzebuje też odwagi: do eksperymentowania, zadawania niewygodnych pytań, wychodzenia poza rutynę i sprawdzania, co naprawdę pomaga ludziom lepiej rozumieć rzeczywistość.

Zmienić myślenie

Z tej idei zrodziła się Nagroda Przewroty dla nowatorskich inicjatyw edukacyjnych, ustanowiona przez Centrum Nauki Kopernik. Od początku nie chodziło wyłącznie o wskazywanie przełomowych odkryć czy projektów. Przewroty przede wszystkim doceniają działania, które zmieniają sposób myślenia o uczeniu się: otwierają naukę na osoby spoza akademii, przywracają sprawczość uczniom, lokalnym społecznościom, wolontariuszom i pasjonatom, łączą świat realny z cyfrowym, wiedzę z doświadczeniem, ciekawość z odpowiedzialnością.

Dlatego nazwa nagrody jest czytelną metaforą. Przewrót w edukacji nie musi oznaczać wielkiej reformy zapisanej w ustawie. Czasem zaczyna się od małej zmiany perspektywy: od uznania, że uczeń może być częścią zespołu badawczego, że wiedza może z powodzeniem rozwijać się nie tylko w laboratoriach, ale też w muzeach i archiwach, w lesie, w świecie gier. Czasem kluczowa może okazać się również lokalna opowieść zakorzeniona w pamięci danej wspólnoty. Bo nauka nie kończy się wtedy, gdy zdobywamy satysfakcjonującą odpowiedź. Trwa tam, gdzie odpowiedź prowadzi do następnego pytania, a ciekawość zmienia się w potrzebę samodzielnych poszukiwań. Tegoroczna edycja Nagrody Przewroty ponownie pokazała, że najciekawsze inicjatywy edukacyjne wyrastają dziś na styku różnych światów: nauki, kultury, technologii, pracy z dziećmi i dorosłymi, instytucji i oddolnych działań. Bo nauka i edukacja to procesy społeczne, zanurzone w gęstej sieci relacji międzyludzkich. Dlatego laureatów Nagrody Przewroty zawsze łączy jedno: nie traktują edukacji jako gotowego scenariusza do odtworzenia. Widzą w niej żywy proces, w którym można uczestniczyć, ryzykować, odkrywać i zmieniać wspólne wyobrażenia o tym, czym jest uczenie się.

Na styku światów

Podczas tegorocznej gali Robert Firmhofer, dyrektor Centrum Nauki Kopernik, zwrócił uwagę na coś, co w myśleniu o edukacji łatwo przeoczyć: prawdziwe zmiany rzadko od razu wyglądają jak przełom. Często są niewielkie, lokalne, niepozorne. Nie mieszczą się jeszcze w języku reform, strategii i programów. Dopiero po czasie okazuje się, że zmieniły sposób pracy z uczniami, rozumienie roli nauczyciela albo relacje między instytucją a społecznością. A to wszystko zmienia, krok po kroku, wyobrażenie o tym, kto i na jakich zasadach może uczestniczyć w procesie tworzenia wiedzy.

Firmhofer przypomniał w tym kontekście przewrót kopernikański. Dziś widzimy w nim jeden z najważniejszych momentów nowoczesnej nauki, ale początkowo jego znaczenie nie było oczywiste. „Kiedy Mikołaj Kopernik opublikował »O obrotach sfer niebieskich«, wielu współczesnych potraktowało tę pracę jako interesującą rozprawę matematyczną" – mówił dyrektor Centrum Nauki Kopernik.

Podobnie bywa z edukacją. Niełatwo rozpoznać zmianę, zanim stanie się widoczna dla wszystkich. Dlatego Przewroty są także ćwiczeniem z uważności: próbą dostrzeżenia działań, które dopiero wyznaczają nowe kierunki. W tym roku wpłynęło 360 zgłoszeń z całej Polski, a przez trzy lata funkcjonowania Nagrody – już prawie tysiąc. Ta liczba pokazuje skalę edukacyjnego ekosystemu: szkół, instytucji kultury, organizacji społecznych, lokalnych wspólnot, muzeów i grup pasjonatów.

MATERIAŁ PARTNERA



FOT. CENTRUM NAUKI KOPERNIK / ANITA WALCZEWSKA / EAST NEWS

Fragment gali Nagrody Przewroty w Centrum Nauki Kopernik

Szkoła pozostaje jego podstawową częścią, ale nie jest jedynym miejscem uczenia się. Wokół niej działają środowiska, które często szybciej wychwytują nowe potrzeby, testują metody i pracują z grupami niewidocznymi dla systemu. Jak mówił Firmhofer: „na styku różnych środowisk, kompetencji i perspektyw rodzą się najciekawsze pomysły".

Edukacja obywatelska

Jednym z takich miejsc styku jest bez wątpienia Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów" w Sejnach, nagrodzony w kategorii lokalnej za program Dziecięcy Uniwersytet Pogranicza. To inicjatywa, w której edukacja łączy się ze sztuką, odzyskiwaniem lokalnej pamięci i budowaniem tożsamości miejsca, w którym się żyje. Jej przewrotowość polega właśnie na powrocie do takiego rozumienia uczenia się, w którym dziecko poznaje świat przez muzykę, obraz, opowieść – ma rozwijać w sobie zachwyt i ciekawość. Jak mówi Bożena Szroeder, chodzi o „odkrywanie miejsca, w którym się żyje, jako własnego centrum świata". W Sejnach lokalność nie oznacza zamknięcia w małej historii. Przeciwnie: staje się sposobem odkrywania, że w jednym miejscu krzyżowały się różne języki, kultury, biografie i pamięci, tworząc gęstą, czasem zawiłą strukturę lokalnej historii. Dlatego Pogranicze szuka „dobrych historii sąsiedztwa", często drobnych i zapomnianych, które pozwalają opowiadać o pograniczu inaczej niż tylko przez konflikt i przemoc. To edukacja, która daje młodym ludziom poczucie zakorzenienia, ale zarazem uczy ciekawości świata i szacunku wobec innych.

Siła sprawczości

Także nagrodzony w kategorii ogólnopolskiej program „Rówieśnicy" Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę pokazuje edukację jako coś znacznie szerszego niż przekazywanie wiedzy. Żeby dziecko mogło się uczyć, musi najpierw czuć się bezpiecznie. Musi mieć poczucie, że szkoła nie jest miejscem upokorzenia i lęku, ale przestrzenią, w której można szukać wsparcia i ratunku przed krzywdą. W tym sensie program dotyka jednego z podstawowych warunków edukacji: tego, jak młodzi ludzie widzą świat, jak uczą się w nim funkcjonować i czy w ogóle chcą się na niego otwierać.

„Rówieśnicy" odpowiadają na problem przemocy rówieśniczej, także tej przeniesionej do internetu, czyli zjawiska często rozgrywającego się poza świadomością dorosłych. Program nie ogranicza się do mówienia młodym ludziom, że przemoc jest zła. Uczy, co można zrobić, kiedy jest się jej świadkiem, jak szukać wsparcia i jak reagować, by nie narażać siebie. To ważne przesunięcie: z bezradności w stronę sprawczości. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę przekazuje szkołom konkretne narzędzia: serial edukacyjny, scenariusze lekcji, szkolenia, webinary i ankiety. W ten sposób przeciwdziałanie przemocy staje się częścią edukacji obywatelskiej: nauką o odpowiedzialności, komunikacji i budowaniu dobrych relacji z innymi ludźmi.

Misja ludzkości

Tę samą logikę poszerzania edukacji widać w Nagrodzie Specjalnej, przyznanej *ex aequo* dr hab. Julii Pawłowskiej, mykolożce z Instytutu Biologii Ewolucyjnej UW, oraz dr. hab. Tomaszowi Sulejowi, prof. IPal PAN. Oboje pokazują, że nauka nie musi być zamkniętym światem ekspertów, do którego reszta społeczeństwa ma dostęp wyłącznie przez wykłady, podręczniki i gotowe wyniki badań. Julia Pawłowska współpracowała z Centrum Nauki Kopernik przy projekcie „Genetyczne grzybobranie", w którym uczniowie samodzielnie izolowali DNA badanych grzybów, poznawali podstawy biologii molekularnej i wprowadzali wyniki do europejskiej bazy danych. Z kolei Tomasz Sulej w projekcie „Nauka ma głos" zaprosił wolontariuszki i wolontariuszy do odsłaniania i oczyszczania kości mastodonzaura sprzed około 240 milionów lat. W obu przypadkach uczestnicy nie poprzestają na słuchaniu o nauce. Wchodzą w jej codzienną praktykę: cierpliwą, wymagającą, opartą na procedurze, interpretacji i współpracy.

Jak mówi Tomasz Sulej, „uczestnictwo w wykopaliskach, ale też w oczyszczaniu skamieniałości z osadu, daje poczucie uczestniczenia w wielkiej misji ludzkości". Wspólna praca przy skamieniałościach daje nie tylko kontakt z wiedzą, ale też poczucie, że świat jest poznawalny, że można dotknąć jego tajemnic, lepiej zrozumieć i poczuć się za niego odpowiedzialnym. Przy kościach zwierzęcia sprzed 240 milionów lat codzienne sprawy zmieniają też skalę: łatwiej nabrać dystansu do siebie, a zarazem mocniej poczuć, że jest się częścią większej opowieści.

Tegoroczne Przewroty przypominają, że rozwój edukacji nie zależy wyłącznie od pojedynczych, nawet najlepszych pomysłów. Potrzebuje ekosystemu: ludzi, instytucji i miejsc, które potrafią współpracować, wymieniać doświadczenia i wzmacniać to, co już działa. To praca trudna, mało widowiskowa, a przez to często niedoceniana. Dobrze więc, że istnieje nagroda, która potrafi ten wysiłek dostrzec, nazwać i wskazać jako przykład dla innych. ©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

HISTORIA

ODYSEUSZ Z GALICJI

Niewielu twórców jest tak ważnych i tak nieznanych. Wydał jedną powieść, ale taką, bez której trudno mówić o literaturze II Rzeczypospolitej. W tym roku mija 130 lat od urodzin i 50 lat od śmierci Józefa Wittlina.

PIOTR HAPANOWICZ



Tomasz Mann stwierdził, że „Sól ziemi", antywojenna powieść z 1935 r., to jedno z niewielu „mitycznych i epickich" dzieł tamtej epoki. W 1939 r. dzięki niej rozważano Wittlina na kandydata do Nagrody Nobla, a dziś wciąż może śmiało stać na półce np. obok „Na Zachodzie bez zmian". Różnica jest taka, że książka Ericha Marii Remarque'a wciąż funkcjonuje w sferze publicznej – także za sprawą jej niedawnej ekranizacji – natomiast powieść Józefa Wittlina została zapomniana.

Szkoda, bo to równie mocne świadectwo swoich czasów.

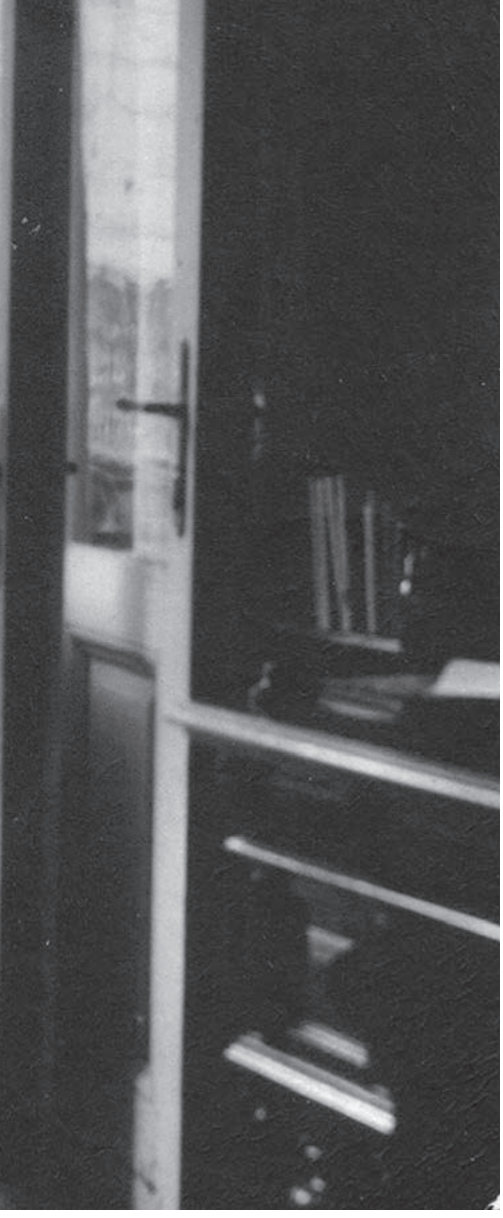
GALICJA | Urodził się 130 lat temu: 17 sierpnia 1896 r., w dzierżawionym przez ojca majątku Dmytrów (dziś Ukraina, w obwodzie lwowskim). Syn Karola i Elżbiety z Rosenfeldów, zasymilowanej rodziny żydowskiej, lata szkolne spędził we Lwowie, w VII Gimnazjum. Szkoła ta, o profilu klasycznym, zaszczepiła w nim miłość do antyku, zwłaszcza Homera. Debiutował w 1912 r. wierszem na cześć Zygmunta Krasińskiego, a od 1913 r. publikował w lwowskim „Słowie Polskim".

Po wybuchu I wojny światowej zgłosił się w sierpniu 1914 r. do Legionu Wschodniego, który jednak już we wrześniu został rozwiązany (na skutek zajęcia Lwowa przez Rosjan i sporów w polskich środowiskach). Pojechał do Wiednia, gdzie zaczął studia. Tu poznał literatów Josepha Rotha (zaprzyjaźnili się), Rainera Marię Rilkego, Karla Krausa.

W 1916 r. wcielony do c.k. armii, miał trafić na front włoski, ale zapadł na szkarlatynę. Po wyleczeniu służył na tyłach, jako tłumacz w obozie dla włoskich jeńców. Zwolniony we wrześniu 1918 r. z powodu stanu zdrowia, wrócił do Lwowa, by kontynuować studia filozoficzne; zapisał się też na filologię polską. Studia przerwały polsko-ukraińskie walki o Lwów (nie brał w nich udziału, o czym za chwilę).

RADOŚĆ ŻYCIA | W latach 1919-21 uczył w szkołach średnich we Lwowie. W 1920 r. opublikował zbiór wierszy „Hymny", w którym nie krył swej antywojennej postawy. Dzięki temu tomikowi stał się rozpoznawalny. Związany najpierw ze środowiskiem ekspresjonistów, już w 1920 r. nawiązał współpracę ze „Skamandrem", a w 1924 r. z „Wiadomościami Literackimi".

W 1921 r. przeniósł się do Łodzi, gdzie pracował w Teatrze Miejskim jako kierownik literacki. W 1925-26 przebywał jako stypendysta rządowy we Włoszech, gdzie zbierał materiały do książki o św. Franciszku (pobyt ten wpłynął istotnie na jego duchowość). W 1927 r. za-



MUZEUM LITERATURY / PAP

Józef i Halina (z zawodu nauczycielka, rodem z Łodzi) pobrali się w 1924 r. Tu na zdjęciu wkrótce po ślubie, w ukochanym przez pisarza Lwowie.

mieszkał w Warszawie. Podróżował też do Francji, aby zbierać materiały z okresu I wojny światowej do powieści „Sól ziemi".

Kultura śródziemnomorska fascynowała go przez całe życie. Pisał eseje poświęcone kulturze antycznej i nowoczesnej, a także literaturze polskiej i obcej. W 1933 r. wydał tom esejów „Etapy"; znalazły się tu relacje z jego podróży. Widać w nich optymizm, radość życia.

„SÓL ZIEMI" | To jego najsłynniejsze dzieło: powieść „Sól ziemi", wydana w końcu 1935 r. (już z datą 1936). Pracował nad nią 10 lat. Należy ona do najwybitniejszych osiągnięć kultury międzywojnia, a dzięki licznym przekładom wpisała się w nurt europejskiej literatury antywojennej po I wojnie światowej – razem z takimi bestsellerami, jak książka Remarque'a czy „Przygody dobrego wojaka Szwejka" Jaroslava Haška.

Maria Janion pisała, że zrozumiały dla czytelników spoza Polski sens tego utworu mógł wybrzmieć dzięki temu, że Wittlin nie skorzystał z żadnego z „tradycyjnie polskich" literackich sposobów przedstawiania wojny. Nie sięgnął po wzorzec romantyczny (walka wyzwoleńcza) ani sienkiewiczowski (wojna jako męska przygoda). Zamiast tego buduje jej uniwersalny obraz: katastrofy, która pożera jednostkę.

Bohaterem powieści jest dróżnik kolejowy na granicy imperiów habsburskiego i rosyjskiego, wcielony do c.k. armii. Wittlin przedstawia tu doświadczenie będące udziałem 3,5 mln Polaków, powołanych do armii carskiej, pruskiej i austriackiej.

SZANSA NA NOBLA | Wittlin podszedł do tematu wojny nową, własną drogą. To nie optyka herosów Homera, ale zwykłego człowieka: machina wojny staje naprzeciw pozornie prostej postaci jego bohatera. Pozornie, bo jego zdziwienia i nieporadne reakcje budują dystans do wydarzeń wojennych. To opowieść o końcu epoki, załamaniu się porządku świata.

„Sól ziemi" zyskała w Polsce ogromne powodzenie. Wittlin otrzymał za nią w 1936 r. nagrodę redakcji i czytelników „Wiadomości Literackich". Rok później uhonorowano go Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Powieść szybko zdobyła też uznanie poza Polską. Mówili o niej Tomasz Mann, Gabriel Marcel, Alfred Döblin. W 1939 r. Wittlin został nominowany za nią do literackiego Nobla (otrzymał ją fiński pisarz Frans Eemil Sillanpää; potem w latach 1940-43 nagrody nie przyznawano).

„Sól ziemi" miała zapoczątkować trylogię pt. „Powieść o cierpliwym piechurze". Niedoszłej – także za sprawą kolejnej wojny, której nadejście Wittlin przeczuwał.

„ODYSEJA" | Cofnijmy się nieco. Już w szóstej klasie gimnazjum, w 1914 r., Wittlin zaczął pracę nad przekładem „Odysei". Odtąd towarzyszyła mu całe życie. Gdy został powołany do c.k. armii, zabrał dwie książki: Biblię i „Odyseję".

Jego pierwsza wersja tłumaczenia ukazała się w 1924 r. Wittlin osadził ją w realiach Europy po Wielkiej Wojnie. Bo dla niego epos Homera był wiecznie aktualny. W przedmowie pisał: „Wszyscy jesteśmy żeglarzami, wszyscy jesteśmy wędrowcami po niezmierzonym oceanie życia i wszyscy dążymy do praojczyzny naszej, co leży za morzem, za morzem, kędy mniemamy odnaleźć gniazdo szczęścia". W innym miejscu patetycznie pisze: „Każde z Was jest Odyssem, a oto historia Waszej tułaczki!".

Na tym przekładzie nie poprzestał. W 1931 r. ukazało się drugie tłumaczenie, zmienione. Potem kolejna wojna stała się inspiracją, by przekład aktualizować: językowo (oczyszczając z naleciałości młodopolskich) i na poziomie znaczeń. Utwór, który opowiadał wcześniej o tułaczce uczestnika Wielkiej Wojny, stał się głosem emigranta, Żyda uciekającego przed Holokaustem. Ta trzecia wersja ukazała się w 1957 r.

Tymczasem los Wittlina zaczął przypominać los Odyseusza. Chcąc nie chcąc, stał się archetypem: poetą wygnańcem, Żydem wiecznym tułaczem, Odyseuszem właśnie (na marginesie: w jego dorobku translatorskim znalazł się też przekład starobabilońskiego eposu „Gilgamesz", a także przekłady z niemieckiego, angielskiego, włoskiego i hiszpańskiego).

ŻYD I POLAK | Czuł się Polakiem, ale korzenie zaciążyły na jego życiu. Będąc, jak pisał, „w swej świadomości (...) kompletnie i głęboko Polakiem", mówił o sobie: „Ja, Józef Wittlin, z pokolenia Judy". Stwierdzał, że „dla Polaków jest za bardzo żydowski, a dla Żydów za bardzo polski".

Swoją odrębność uświadomił sobie we Lwowie w listopadzie 1918 r., gdy po odwrocie sił ukraińskich z miasta miał miejsce pogrom ludności żydowskiej (oskarżanej o sprzyjanie Ukraińcom). Walki o Lwów unaoczniły Wittlinowi nie tylko brutalność konfliktu etnicznego, ale też nowy dyktat nacjonalizmu, prowadzący do rozpadu społeczności, jaka zgodnie żyła w monarchii habsburskiej.

Pisał: „W owych pamiętnych dniach listopadowych 1918 roku, jak każdy mieszkaniec Lwowa, postawieni zostaliśmy wobec kategorycznego pytania: czy Lwów ma być polski, czy ukraiński? Trzeciego wyjścia z sytuacji nie było, na ulicach Lwowa już strzelano. Obaj pacyfiści – śp. przyjaciel mój Jan Stur [poeta – red.] i ja – odpowiedzieliśmy bez namysłu: ↦



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Józef Wittlin (w środku) jako laureat nagrody „Wiadomości Literackich". Od lewej: Wojciech Bąk, Ferdynand Goetel, Zofia Nałkowska, Kazimiera Iłłakowiczówna, Światopełk Karpiński. Warszawa, 1936 r.

↦ polski. W takim razie należało popierać tę wojnę, która już była faktem dokonanym. Nie uczyniliśmy tego. Nasz sentymentalny patriotyzm za mocno kolidował z pacyfizmem. (...) W końcu padliśmy ofiarą tragicznego rozdwojenia, z którego jedynym wyjściem była poezja".

OSKARŻONY | Chyba najbardziej był zżyty z Żydami pochodzącymi jak on z Galicji Wschodniej. Do jego przyjaciół należeli pianista Mieczysław Horszowski, malarz i rzeźbiarz Zygmunt Menkes i pisarze, jak Roth. Drugi krąg znajomych to twórcy jak on zafascynowani grecko-rzymskim antykiem: Stanisław Vincenz, Jerzy Stempowski, Jan Parandowski.

W końcu lat 30. odczuł boleśnie, co znaczy pochodzenie. Razem z przyjaciółmi Antonim Słonimskim i Julianem Tuwimem stał się ofiarą antysemickiej nagonki, oskarżony o defetyzm. Po interpelacji poselskiej minister spraw wojskowych wystąpił o osadzenie obu poetów i Wittlina w obozie w Berezie Kartuskiej, na podstawie oskarżenia o działalność antypaństwową (wykonanie odroczono).

Wittlin rzadko odpowiadał na zaczepki nacjonalistycznej prasy. Jego strategia polegała na ignorowaniu krytyków. Ale w listach są świadectwa, że się nią bardzo przejmował. Pisał: „z własnego doświadczenia przedwojennego wiem, ile szkody mogą zrobić nagonki. Tuwim i Słonimski znosili je lepiej (...). Ja milczałem i połykałem najbardziej jadowite pigułki. Po dziś dzień leżą niestrawione w moim organizmie".

PODŁE UCZUCIE | W lipcu 1939 r. Wittlin jedzie na Zachód. Lato 1939 r. spędza w opactwie Royaumont w Val-d'Oise, pracując nad kontynuacją „Soli ziemi". Po wybuchu II wojny światowej, po wielu staraniach w 1940 r. do Paryża docierają jego żona Halina (małżeństwem byli od 1924 r.) i 8-letnia córka Elżbieta.

Wraz z agresją III Rzeszy na Francję, zaczęła się ich nowa ucieczka. Pisarka Maria Danilewicz, wspominając exodus polskich uchodźców z Francji, pisała: „Jeden tylko człowiek (...) nie załamał się, bladł może tylko i mizerniał. Był nim Wittlin. Obserwowaliśmy go z podziwem, posądzając naprzód o niedocenianie grozy sytuacji, to znów o żelazną siłę woli. A on – był po prostu sobą, jakimś rezerwuarem spokoju i franciszkańskiej dobroci".

Po upadku Francji przedostali się całą rodziną do Portugalii, a stąd w styczniu 1941 r. do USA. Osiedli w Nowym Jorku.

Do własnego ocalenia – gdyby nie opuścił Polski w lipcu 1939 r., możliwe, że zginąłby w Holokauście – Wittlin miał ambiwalentne odczucia. Córce przypominał: „ile wdzięczności winna jesteś Bogu za to, że cię wybrał z milionów dzieci polskich i żydowskich i pozwolił wywieźć twe niewinne życie z piekła na ziemi i z czyśćca. Całym życiem winniśmy spłacać ten dług zaciągnięty wobec naszych przyjaciół znanych i nieznanych w Europie".

W innym miejscu pisał: „Właściwie to jest podłe uczucie, widzieć dookoła siebie zagładę, a samemu być ocalonym. (...) Czy warto jeszcze żyć na świecie, który już nie istnieje?".

WYGNANIEC | Po 1945 r. postanowił nie wracać do pojałtańskiej Polski. Ale w USA czuł się obco, nie był w stanie stworzyć kontynuacji „Soli ziemi", o czym marzył. Jacek Hajduk pisze, że „To Ameryka uczyniła Wittlina w pełni Odyseuszem".

Był aktywny. W 1946 r. wydał tom „Mój Lwów", jeden z najpiękniejszych hołdów literackich, jakie złożono temu miastu. W 1963 r. zaś tom esejów „Orfeusz w piekle XX wieku", rodzaj autobiograficznego portretu. Publikował w londyńskich „Wiadomościach" (m.in. przekłady europejskiej literatury) i paryskiej „Kulturze". Współpracował z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa – nadająca z Monachium, dla Polaków w kraju była oknem na świat, a przez komunistów znienawidzona.

W 1956 r. podpisał apel do pisarzy na emigracji o niepublikowanie w PRL-u, a na przełomie 1975/76 list pisarzy polskich na emigracji („List 59"), którzy solidaryzowali się z sygnatariuszami krajowego protestu przeciw zmianom w konstytucji PRL.

Stronił od konfliktów, pomagał młodym twórcom. W kręgu jego przyjaciół byli Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Hermann Kesten.

Zmarł 50 lat temu, 28 lutego 1976 r. Spoczął na Cemetery of the Gate of Heaven w Nowym Jorku. Za jego życia jego utwory nie były publikowane w PRL, ukazały się dopiero po śmierci (w dużym stopniu dzięki Zygmuntowi Kubiakowi).

CHRZEST | Wittlin całe życie szukał trwałych, uniwersalnych wartości. Bliski był mu franciszkański ideał chrześcijaństwa, ubogiego i tolerancyjnego. Zaś jego duchowe poszukiwania zwieńczył chrzest w wieku 57 lat. Przyjęcie chrześcijaństwa było wtedy odbierane przez innych Żydów jako odcięcie się od korzeni.

Jak pisze Jacek Hajduk: „Odyseusz, Żyd Wieczny Tułacz, franciszkanin, c.k. patriota, lwowianin, Polak. Wittlin pozostał do końca człowiekiem o wielu tożsamościach. Do końca też nie pogodził się z tym, że jedna z tych tożsamości – będąc najpierw przyczyną jego ucieczki z ojczyzny, a potem boleśnie uwierającym cierniem – została *de facto* zanegowana". © PIOTR HAPANOWICZ

ELIZA

Kącka: *Dawaj na wznak*



Autobus 116, jazda ku Śródmieściu. Matka i synek twarzą w twarz ze starszym kiele osiemdziesiątki. Dosiadam się. Starszy do małego: „A dałeś mamie kwiatka?”. „Nie, a co?”. „Mamy Dzień Matki”. Starsza z sąsiednich: „Niech pan chłopca nie zawstydza”. „Eee, nie zawstydzam, ale mamie byłoby miło”. Mrugnął do matki. Do małego: „A ty wiesz, że kiedyś byłem taki mały jak ty?”. „Nie”. „Ładny byłem”. „To kiedy pan zbrzydł?”. Matka: „Zachowuj się!”. Starszy: „Hehe, kiedy? Na starość”. Mały po namyśle: „Nie, musiał pan to zrobić wcześniej”. „Myślisz?”. Mały fachowo: „Tak, potem tylko zmarszczki doszły”.

Metro, jazda z Bródna. Dwie z grubsza w moim wieku: „Rozumiesz, nie mam pary na kolejną ankietę”. „Ale co ty tam wypełniasz?”. „Już sama nie wiem. Umiejętności, aktywności...”. „Nie masz gotowca?”. „Za każdym razem robię od nowa”. „Głupia jesteś”. „Może. Ale wiesz, za każdym razem chcę zapomnieć. A kolejny formularz nigdy nie jest taki sam, zawsze coś zmienią”. „Ale po co tyle ankiet?”. „Doskonalenie”. „Przecież to fikcja”. „Wiadomo”. „To po co bierzesz w niej udział?”. „Nie mogę nie”. „Zmień pracę”. „Tam też będą ankiety”. „Może nie?”. „Będą. Dużo ankiet. Do końca życia się nie wypiszę”. „A nauczanie? Musisz mieć czas”. „Po co? Czas to ja muszę mieć na ankiety”. „Ej, ludzi trzeba uczyć!”. „Nie. Trzeba podpisywać”. „Wypaliłaś się”. „Wypalono mnie”.

Autobus 172, jazda poranna na dworzec. Wskakuję przy Dolnej. Obok dwie starsze z walizkami, wymieniamy porozumiewawcze. Pierwsza: „Co do tych pozycji...”. Druga: „Nono?”. „Ja ci powiem, to ma znaczenie”. „Ba”. „Jak śpię na wznak, to śnię o Polsce. Dzisiejsze problemy albo historia”. „Oj”. „Koleżanka poradziła, żebym podkładała poduszkę. Śpię na lewym boku i od razu relaksy: las, zwierzęta, dzieciństwo”. „Lewy, mówisz?”. „U mnie się sprawdza”. „Ja snów nie pamiętam”. „Aaa, to nie dla ciebie”. „Nie wiem, stary mówi, że buczę przez sen”. „Buczysz? Śpij na lewym”. „Podobno śpię”. „I co?”. „No, buczę”. „To dawaj na wznak”. „Nie chcę”. „Bo?”. „Dość mam Polski”.

Pociąg do Wałbrzycha. Kilka siedzeń dalej: „Matka chce grób rodzinny”. „A to ona umiera?”. „Nieee, ale żyje cmentarzem”. „Znam to”. „Wiesz, mamy z Pawłem kasę, ale on nie chce z nią leżeć”. „Z matką?”. „To nie jego matka”. „Fakt”. „Podejrzewam szantaż”. „Gdzie?”. „Matka grobem ciągnie do ślubu”. „Co?!”. „No, ostatnio wrzuciła, że jak załatwimy kwaterę i podmurujemy, to się życie na kocią łapę skończy, bo nie da się z niesakramentalnymi zakopać”. „Ej, ale ona umrze i tak przed wami, a potem se może gadać”. „Póki żyje, będzie grać grobem”. „Współczuję. A ty chcesz ślubu?”. „Paweł nie chce. A teraz mi powiedział, że z tej cmentarnej intrygi będzie rozwód”.

Warszawskie Bemowo, spożywczak. Stoję za trójką: dziewczynka i chłopcy. Pierwsza przy kasie: paznokcie, krok w kolanach, bluza-namiot. Potem wysoki na grubej platformie adidasów. Izotoniki, batony, sałatka. Trzeci przede mną: „Idźcie na zewnątrz. Mnie to zajmie...”. Wzruszyli ramionami, wyszli. Przez sklepową szybę przebija ich dobrostan. Jedzą czipsy, śmieją się. Chłopiec wyciąga dwie kajzerki. „Można kartą?”. Sprzedawczyni: „No, próbuj”. Operacja odrzucona. „Chyba nie masz środków”. „Mam! Ale może za mało. To zapłacę drobnymi”. W kolejce startuje zniecierpliwienie. „Ile można się chrzanić?” – komentarz z ogonka. Przez szybę koledzy dają znaki. Chłopiec liczy drobne: „A może mi pani rozbić za te bułki? Trochę kartą, trochę gotówką?”. „Nie uzbierasz?”. „Nie”. Wcinam się gestem, płacę za niego. Patrzy w bok, szybko wychodzi. Koniec szurania, z kolejki wychodzi gość kiele sześćdziesiątki, daje znak, że chce zagadać. Idziemy między półki. „Padło na panią”. „Często tak?”. „Czasem kupuję jemu i bratu jedzenie. Teraz jest z kolegami, wstydzi się”. „Nie ma rozwiązań...?”. „Tak, pomagam załatwić. Rodzice się wstydzą. Ojciec chory, zdezorientowani. Chłopcom się należą posiłki”. „Pewnie”. „To dobre dzieci”. „Widać”. „Młodszy bardzo zdolny muzycznie. Ale wie pani, rodzice w to nie wierzą”. „?”. „Sami podupadli, traktują dzieci jak przegranych”. „Ta, to się dziedziczy”. „Jak widać”.

Autobus 119, dosiadają się dziadek z wnuczkiem. „Dziadek, dlaczego nie jedziemy samochodem z tatą?”. „Mieliśmy z ojcem różnicę zdań”. „A o co?”. „Jak ci to wyjaśnić... Mamy inne poglądy na wojnę”. „Ale my przecież jedziemy do ogrodu, na grilla”. „Tak, co mnie nie cieszy”. „Nie lubisz kiełbasek?!”. „Nie lubię grilla”. „Tato lubi”. „No i znów się różnimy”. „Dziadek, ja tak nie chcę. Możesz polubić grilla dla taty?”. „Nie, ale dla mamy się postaram”. Mały się rozczmuchuje: „Dziadek, a ty wolisz keczup czy musztardę?”. „Wszystko mi jedno”. „Ja i tata wolimy keczup”. „No to mi zostanie musztarda”. „Dziadek, a o co chodzi z wojnami?”. „Nie będę ci w autobusie tłumaczył”. Mały patrzy na mnie: „O co chodzi z wojnami, pszepani?”. Dziadek ucina: „Pani nie jest twoją znajomą”. Mały: „To mi powiedz”. „Świat oszalał, kiedyś ci wytłumaczę”. „Teraz”. „Nie”. „Dziadek, a pamiętasz, jak mi powiedziałeś: »ty szalejesz, jak cię tata spuści z oka«?”. „Bo to prawda. I co?”. „To może Bóg spuścił nas z oka?”. „Ojoj, mądrala”. „Ty powiedz, jak jest”. „Kiedyś, nie w autobusie. Nie szalej”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).



JORG SIMANOWSKI

Sächsische Staatskapelle Dresden

Wratislavia Cantans: Smuga cienia



ŁUKASZ RAJCHERT

Andrzej Kosendiak, dyrektor artystyczny Wratislavii Cantans

JAKUB PUCHALSKI

Wrześniowy festiwal we Wrocławiu przynosi ze sobą całe spektrum muzyki: od średniowiecza po współczesność, od duetów po zespoły symfoniczne i operowe – z akcentami przypominającymi o przeszłości albo patrzącymi w przyszłość.

Ciepły wrześniowy dzień 1997 roku. Wrocław wciąż suszy się i czyści po powodzi. Słuchaczy festiwalu Wratislavia Cantans – dorocznego święta muzyki w mieście potrzebującym go w tej chwili bardziej, niż się może wydawać – czeka jednak coś nadzwyczajnego. Ten wieczór okaże się jedną z historycznych kulminacji festiwalu, wydarzeniem absolutnie niezapomnianym.

Najpierw w gotyckiej bazylice św. Marii Magdaleny Wrocławianie po raz pierwszy usłyszą wielką oratoryjną symfonię Krzysztofa Pendereckiego *Siedem bram Jerozolimy*. Następnie, późnym wieczorem, w barokowym kościele jezuitów – przylegającej do Uniwersytetu śląskiej wersji Il Gesù – muzykę wcześniejszą od tej świątyni, stojącą u samego progu baroku, a towarzyszącą swym wielogłosowym i wielobarwnym splendorem mszy koronacyjnej weneckiego doży Marina Grimaniego w 1595 roku.

Przywiózł ją wówczas na Śląsk dyrygent, który zasłynął tą oraz dalszymi rekonstrukcjami muzyki weneckich uroczystości, Paul McCreesh, prowadząc w niej swoje zespoły Gabrieli Consort & Players. Miało się to okazać przedtaktem do długiego romansu z Polską, a przede wszystkim z Wratislavią – później przez kilka lat był jej dyrektorem artystycznym. Teraz, po wielu występach na rozmaitych wrocławskich estradach i w różnych kościołach, wraca

MATERIAŁ PARTNERA

z tym samym emblematycznym dla siebie repertuarem: muzyką wenecką, od której rozpoczęła się barokowa rewolucja będąca jednym z najważniejszych przełomów w dziejach muzyki. Tym razem jednak pojawi się w owej uświęconej tradycją Wratislavii Cantans przestrzeni – katedrze Marii Magdaleny. Ten koncert może być symbolem całej edycji, nie bez powodu odbywającej się pod hasłem *Smuga cienia*. Tytuł ten nie oznacza jednak tylko przełamywania kolejnych barier wiekowych. Implikuje też wchodzenie na scenę nowych pokoleń, które mają przed sobą do odkrycia wszystko to, co ludzie dojrzali już wiedzą – na przykład poznanie rewelacyjnej dźwiękowej rekonstrukcji uroczystości koronacyjnych doży Marina Grimaniego według wizji Paula McCreesha (5 IX).

Kolejny z byłych dyrektorów festiwalu, Giovanni Antonini, jest na nim obecny co roku – i te powroty również tworzą wartość przekazywaną następnym generacjom. Tej jesieni Antonini ze swym zespołem Il Giardino Armonico także wróci do korzeni swego mistrzostwa, czyli instrumentalnej muzyki wczesnego włoskiego baroku (nieledwie drugiego pokolenia po weneckich Gabrielich), w programie *Sì dolce è'l tormento* (4 IX). Wystąpi też jednak w innym charakterze: pod batutą obecnego dyrektora Wratislavii, Andrzeja Kosendiaka, weźmie udział w wykonaniu kantat Bacha z partią fletu prostego, którego jest olśniewającym wirtuozem. Program ten ukazać się ma na płycie wytwórni Alpha Classics. To już nie tylko spojrzenie w przeszłość, lecz i opierające się na dojrzałości sięgnięcie w przyszłość.

Kolekcję największych gwiazd muzyki dawnej uzupełni Ottavio Dantone, który poprowadzi jedną z najpiękniejszych oper w dziejach – choć wciąż jedną z najwcześniejszych, XVII-wieczną *Dido and Aeneas* Henry'ego Purcella (9 IX).

Ten zestaw nie wyczerpuje naturalnie oferty muzyki dawnej na tegorocznej Wratislavii Cantans. Koniecznie trzeba zauważyć debiutujący w głównym nurcie festiwalu zespół Ars Cantus Tomasza Dobrzańskiego (co jest nadrobieniem dojmującego braku, gdyż wrocławska grupa z sukcesami działa już od dziesięcioleci) z XIV-wieczną muzyką i poezją Guillaume'a de Machaut (7 IX). Francuskie XVIII-wieczne kantaty, których autorem jest Louis-Nicolas Clérambault, wraz z uczestnikami 50. Kursu Interpretacji Muzyki Oratoryjnej i Kantatowej poprowadzi Marta Niedźwiecka (6 IX).

Koncert młodego zespołu BREZZA jest efektem ciekawej inicjatywy w ramach Wratislavii Cantans: konkursu na projekt muzyczny oparty na przesłaniu festiwalu. Jednym ze zwycięzców okazał się zestaw fragmentów z dzieł Händla, które stworzą jednak nową dramaturgiczną całość (13 IX). Innym – kwartet wokalny Les 4 Sens. W barwnej mozaice jego repertuaru wyróżniają się zbyt rzadko wykonywane utwory Samuela Barbera i Henryka Mikołaja Góreckiego, spointowane *Ad maiorem Dei gloriam* Benjamina Brittena (12 IX).

Liryka wokalna łagodnego, polskiego romantyzmu, zwieńczona ariami operowymi Moniuszki i Szymanowskiego, wypełni recital odnoszącego międzynarodowe sukcesy barytona Andrzeja Filończyka z pianistą Sashą Yankevychem (6 IX).

Bardzo oryginalnym projektem są *Podróże Guliwera* (5 IX) – duet uznanych skrzypków Bartłomieja Nizioła i Alexandra Sitkovetsky'ego wędrujących od fantastycznej suity Telemanna, która dała tytuł programowi (w rokokowym stylu galant), po sonaty Prokofiewa i Góreckiego. Obaj muzycy spotkają się również w koncercie z NFM Orkiestrą Leopoldinum – zmierzą się wówczas z wizjami poszukujących nowych spojrzeń kompozytorów stojących u progu i w pełnym świetle XX wieku (*Horyzont* – Schönberg, Panufnik, Schnittke, 8 IX). Analogicznie pojawi się także duo wiolonczelistów z eklektycznym programem sięgającym romantycznej i neoromantycznej wirtuozerii Niccolò Paganiniego i Giovanniego Sollimy, a także współczesnego mistyka Valentina Silvestrova (*Rezonans*, 12 i 13 IX).

Jak niegdyś symfoniki Pendereckiego lub Lutosławskiego, Wratislavia nie przestaje prezentować muzyki najnowszej. Nie zabraknie i prawykonań, a przecież moment wprowadzenia dzieła na estradę zawsze jest szczególnym wydarzeniem. Tym razem wokalny zespół proMODERN po raz pierwszy przedstawi *Noumen 5* – nowy utwór Aleksandra Kościówa, znakomitego autora muzyki chóralnej (6 IX). Inny nowy utwór, autorstwa Anny Korsun, zagości na koncercie kolońskiego Ensemble Musikfabrik (*Selfie w ciemności*, 10 IX).

Wreszcie wielka klamra, od której równie dobrze można byłoby zacząć, gdyż jej otwarcie zainicjuje cały 61. festiwal. Obejmuje ona niezwykły repertuar romantyczny i XX-wieczny. Najpierw arcydzieło francuskiej opery: efektowne *Samson i Dalila* Camille'a Saint-Saënsa, jednego z najwybitniejszych i mimo powodzenia wciąż za mało obecnego twórcy. Pole do popisu dla tenora i… tym razem nie sopranu, lecz altu (starsi Wrocławianie mogą jeszcze pamiętać w tej roli wspaniałą Ewę Podleś!), z pyszną orkiestrą fascynującą fajerwerkami zmysłowych bachanaliów (Brian Jagde, Anita Rachvelishvili, dyr. Thomas Guggeis, 3 IX). Ta sama orkiestra, NFM Filharmonia Wrocławska, wystąpi w koncercie z okazji siedemdziesięciolecia (!) pracy artystycznej i dziewięćdziesiątych urodzin Jerzego Maksymiuka – zabrzmią wówczas dwa słusznie najsłynniejsze arcydzieła sprzed mniej więcej stu lat: *La Mer* Debussy'ego i *Symfonia Psalmów* Strawińskiego. Jubilat odda też podium dyrygentce Małgorzacie Podzielny w *The Call of Wisdom* Willa Todda (*Gra fal*, 11 IX).



Wielki finał dokona się pod batutą kolejnego wybitnego maestra, który na Wratislavię Cantans powraca po latach. Przed trzema dekadami przywiózł do Wrocławia londyńską Royal Philharmonic Orchestra z *IV Symfonią* Brucknera, teraz zaś Daniele Gatti przyjeżdża ze sławną Staatskapelle Dresden i nie mniej wielką, a tragiczną w wyrazie *VI Symfonią* Mahlera. Nie może być mocniejszego zakończenia. Czy przynosi ze sobą „smugę cienia"? Każdy musi odpowiedzieć sobie sam, niezależnie po której jej stronie stoi. ©

KULTURA

PRZEPIÓRKI I PIECZARKI

ALICJA KOBZA, GRAFICZKA:

Zwykliśmy uważać, że mistrzostwem
jest osiągnięcie rozpoznawalnego stylu.
Moje bohaterki pokazują, że niekoniecznie tak jest.

BEATA CHOMĄTOWSKA: Twoja książka zawiera piętnaście portretów i dwanaście miniatur poświęconych wybranym polskim twórczyniom: plakacistkom, projektantkom okładek, znaków graficznych, a nawet opakowań czy materiałów reklamowych. To tylko niektóre spośród wielu graficzek działających w czasach PRL.

ALICJA KOBZA: Wybór jest subiektywny – pokazałam te autorki, których prace uznałam za najwybitniejsze, najciekawsze. Od początku wiedziałam, że książka będzie miała właśnie taki charakter, bez ambicji stworzenia leksykonu czy naukowego opracowania, które pokazywałoby całokształt dokonań kobiet w tej dziedzinie.

Oczywiście mam poczucie, że książka mogłaby mieć więcej bohaterek. Ale do wielu z nich nie dotarłam, archiwa zaś z ich dorobkiem przepadły lub są gdzieś ukryte. Były też graficzki, których twórczości nie zaprezentowałam, bo nie wydawały mi się wystarczająco ciekawe. Może to niesprawiedliwe, ale bliższe prawdy o tamtych czasach – bez względu na płeć osób tworzących.

Liliana (Baczewska) Lampert, Barbara Baranowska, Hanna Bodnar,



Elżbieta Murawska, ilustracja do książki „Baśnie braci Grimm", 1978 r.

Ewa Frysztak, Julita Gadomska, Maria „Mucha” Ihnatowicz, Emilia Piekarska-Freudenreich, Danuta Żukowska – to tylko niektóre spośród przedstawionych przez Ciebie twórczyń. Każda z nich to inna artystyczna osobowość. Czy poza płcią i wykonywanym zawodem coś je łączy?

Trochę pokolenie – międzywojenne, bo najwięcej jest wśród nich kobiet urodzonych w latach 30. XX w. Z tym wiąże się wspólnota doświadczeń, bo gdy ktoś wchodził na rynek graficzny dopiero w latach 80., sytuacja była już diametralnie inna.

Zwraca uwagę pokaźna reprezentacja absolwentek słynnej warszawskiej pracowni plakatu Henryka Tomaszewskiego i Józefa Mroszczaka, z której wyszło wielu wybitnych plakacistów i plakacistek. Ciekawe też, że większość moich bohaterek pochodziła z rodzin ziemiańskich lub inteligenckich, czyli wyższych klas społecznych. Wśród ówczesnych grafików jest więcej twórców o pochodzeniu robotniczym czy chłopskim.

Wspomniałaś o ważnej roli pracowni Tomaszewskiego. W okresie powojennym trzeba było mieszkać w Warszawie, by mieć szanse na pracę?

Gdy ktoś zajmował się plakatem, a wiele graficzek tak zaczynało, centrum rzeczywiście była stolica. Tu znajdowała się Centrala Wynajmu Filmów, jedyny polski dystrybutor filmowy, w którego siedzibie odbywały się pokazy filmów dla plakacistek i plakacistów, tu też była główna siedziba Wydawnictw Artystyczno-Graficznych czy Ośrodek Pism Drukarskich. Graficy i graficzki tworzący znaki i opakowania byli skupieni wokół państwowego przedsiębiorstwa Pracownie Sztuk Plastycznych.

Starałam się wyjść też poza Warszawę i tutejszą Akademię Sztuk Pięknych. Jest wśród moich bohaterek Ewa Frysztak, absolwentka krakowskiej ASP, choć akurat ona po odbyciu praktyk dyplomowych w Państwowym Instytucie Wydawniczym otrzymała tam propozycję pracy na pół etatu i przeniosła się do stolicy.

Martyna Bratkowska do dziś mieszka w Katowicach, gdzie współpracowała z miejscowymi oddziałami Krajowej Agencji Wydawniczej oraz Krajowej Agencji Reklamowej. Projektowała plakaty, prospekty i inne materiały drukowane, publikowała też kolaże i rysunki w pismach takich jak „Odra”, „Tak i Nie”, czy „Śląski Tygodnik Rodzinny”.

Ewa Stanisławska-Balicka współtworzyła łódzką szkołę projektowania graficznego, czerpiąc inspiracje z międzynarodowego stylu typograficznego – nazywanego szkołą szwajcarską – którego korzenie sięgały konstruktywizmu i założeń Bauhausu.

Z kolei Zofia Darowska, wykształcona jeszcze pod okiem przedwojennych twórców, pracowała głównie dla wydawnictw krakowskich. Stworzyła podwaliny pod styl okładek i opracowań graficznych Wydawnictwa Literackiego. Przez trzy dekady, od początku lat 60., projektowała i ilustrowała też książki dla Polskiego Wydawnictwa Muzycznego i Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak. Warto odnotować, że szatę graficzną tych trzech wydawnictw kształtowały wówczas głównie kobiety.

Ciekawa jest też historia Bożeny Jankowskiej, rodowitej Warszawianki, która skończyła akademię w Toruniu i próbowała dostać się na studia w stolicy, ale z powodów politycznych nie dopuszczano jej do egzaminu. Jej ojciec, przedwojenny urzędnik w stołecznym ratuszu, który jako dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego spędził kilka lat w PRL-owskich więzieniach, był napiętnowany jako „wróg ludu”. Jankowska była jednak na tyle zdeterminowana, że po dyplomie w Toruniu złożyła podanie z prośbą o możliwość dostania się do pracowni Tomaszewskiego, by zrobić specjalizację z plakatu.

W końcu się udało – zaczęła tworzyć plakaty, głównie na konkursy zagraniczne. Po ukończeniu studiów, z braku środków na utrzymanie się w stolicy, zamieszkała jednak w Olsztynie. Wszystkie jej prace gdzieś zaistniały, były publikowane w czasopismach za granicą, sama artystka dużo podróżowała. Jak powiedziała: „wszystko jakoś szło swoim torem, tylko po strasznych grudach”. Znalazła sposób, by funkcjonować poza głównym ośrodkiem.

Tym, co zwraca uwagę u wszystkich Twoich bohaterek, jest różnorodność prac. Tworzyły rozmaite formy: plakaty, okładki, grafikę reklamową, opakowania.

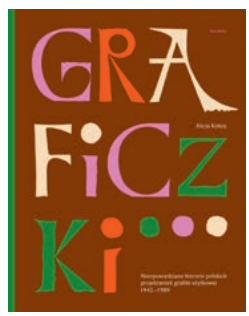
To prawda, choć podobnie było w przypadku grafików: też zajmowali się niemal wszystkim. Sęk w tym, że historię polskiego projektowania graficznego na długo zdominował plakat. On wybijał się na pierwszy plan, niewiele się mówiło o twórcach, którzy zajmowali się projektowaniem innych form.

Zwrócił na to uwagę Patryk Hardziej, grafik związany z Gdańskiem, prowadzący Fundację Karola Śliwki. Śliwka projektował głównie znaki, ale też opakowania. Można przypuszczać, że wiele tych drobnych projektów z zakresu grafiki reklamowej wychodziło spod rąk kobiet – uchodziły one po prostu za zlecenia mniej prestiżowe. Trudno je dzisiaj znaleźć – papierki po cukierkach, opakowania kosmetyków, papiery czy torby pakowe – nie dość, że rzadko były sygnowane, to jeszcze się ich najczęściej, jako śmieci, pozbywano.

W książce pokazuję odręcznie malowany projekt opakowania lodów Bambino, stworzony przez Emilię Nożko-Paprocką. Gdy próbowałam ustalić, czy został wdrożony do produkcji, w internecie znalazłam tylko słabej jakości obrazek lodów śmietankowo-kakaowych z podobną typografią, ale w innej kolorystyce.

Teraz, już po wydaniu książki, myślę o tym, czego w niej nie napisałam, a mianowicie, że mamy bardzo silne wyobrażenie „mistrzostwa” jako rozpoznawalnego stylu. Oceniamy go jako coś cennego. Tymczasem – niekoniecznie tak jest.

Wcześniej, próbując zrozumieć, czemu wiele graficzek takiego wyraźnego stylu nie wypracowało, tłumaczyłam sobie to głównie brakiem czasu, bo większość z nich pracowała, jednocześnie ↦



Alicja Kobza
GRAFICZKI. NIEOPOWIEDZIANE HISTORIE POLSKICH PROJEKTANTEK GRAFIKI UŻYTKOWEJ 1945–1989
Karakter 2026

↦ zajmując się domem i rodziną. Teraz mam na to inny pogląd – może to, że nie rozwinęły charakterystycznego języka wizualnego, nie jest istotne? Może właśnie to, że były bardziej otwarte, elastyczne, umiały eksperymentować, było ich atutem?

A czy same graficzki cenią swoje prace?

Te, z którymi rozmawiałam, czasem dokonywały wstępnej selekcji, prosząc, by nie zamieszczać w książce reprodukcji którejś z nich, ale nie miało to związku z całością ich dorobku, zwyczajnie danej pracy nie lubiły. Raczej jednak mówiły o swojej działalności jak o sposobie zarabiania na życie. Trochę, jak sądzę, wpłynęły na to uwarunkowania kulturowe – zostały wychowane, by nie mówić wiele o sobie, zwłaszcza dobrze, i stawiać cudze potrzeby ponad własnymi.

Wiele z nich, projektując, nie czuło się artystkami. Dla Emilii Piekarskiej-Freudenreich to malarstwo jest formą twórczej ekspresji, a projektowanie i ilustracje dla dzieci traktowała jako zajęcie, z którego mogłaby zrezygnować, gdyby była w stanie zająć się wyłącznie malowaniem.

Do malarstwa wróciła też Elżbieta Murawska. Córka Emilii Nożko-Paprockiej wspominała, że mama zajmowała się linorytem – i to była dla niej dziedzina swobodnej artystycznej wypowiedzi. Ale nie zawsze ta deprecjacja własnych dokonań projektowych ma związek z płcią.

Za artystów uważali się głównie plakaciści lub plakacistki – tu znów mamy efekt najwyższego statusu, jaki w polskiej szkole projektowania zajmował ten rodzaj twórczości. Autorzy i autorki projektów okładek czy innych grafik to rzemieślnicy. Karol Śliwka też zaznacza w filmie dokumentalnym („Znaki Pana Śliwki", 2025), że nie uważa się za artystę. Tymczasem porównując dziś projektowanie graficzne z tamtych lat z tym, co dziś robię ja oraz moje koleżanki i koledzy, wydaje mi się, że prace z okresu PRL-u noszą znacznie silniejsze piętno indywidualnej wypowiedzi twórczej.



Emilia Nożko-Paprocka, projekt opakowań lodów Bambino dla Związku Spółdzielni Mleczarskich, pierwsza połowa lat 60.

Poniżej: Elżbieta Procka, plakat filmu „Żądło", 1975 r., z archiwum artystki; Maria „Mucha" Ihnatowicz, okładki serii Klub Interesującej Książki PIW, 1981-90.



Z czego to wynika?

Przypuszczam, że z różnic w technologii. By pracować w tym zawodzie, trzeba było umieć wszystko robić ręcznie, przede wszystkim dobrze malować i rysować. Dziś warsztat malarski i rysunkowy nie jest konieczny do projektowania książek czy identyfikacji wizualnych.

Znam wielu projektantów, którzy – choć są absolwentami grafiki czy malarstwa na akademiach – nie są w tym biegli. Sama byłam fatalną malarką, zostałam w końcu zwolniona z tego przedmiotu, za to dobrze czułam się zawsze w formach kolażowych. W czasach PRL-u pewnie w ogóle nie zaistniałabym jako projektantka.

Dla moich bohaterek zmiana technologiczna i kulturowa po transformacji 1989 roku była wstrząsem. Komputer stał się dla ówczesnych grafików przekleństwem. Projekty z lat 90., realizowane nawet przez świetnych artystów, nie są, delikatnie mówiąc, udane.

Można odnieść wrażenie, że graficzki i graficy w PRL-u mieli większą swobodę twórczą. Barbara Baranowska projektująca we Francji czy Liliana (Baczewska) Lampert pracująca w Kanadzie czuły się jak trybiki w dużej machinie.

W przypadku grafików swoboda twórcza była istotnie dość duża, bo grafika powstawała już na bazie ocenzurowanych treści – książki czy filmu. No i rynek nie weryfikował projektów, nie tworzył mód.

Ambicje władz, by sztuka docierała do wszystkich warstw społecznych, też miały wpływ na poziom artystyczny prac. Świetnie pokazuje to historia Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego, dla którego projekty okładek tworzyły między innymi Danuta Żukowska i Emilia Piekarska-Freudenreich. To książki o ciągnikach, sadownictwie, hodowli przepiórek, uprawie pieczarek lub ogórków w gruncie, bardzo techniczne,



jednak mają przepiękną, nowoczesną oprawę graficzną.

Dla tych artystek nie było „złych" czy „nudnych" zleceń. Dziś nie byłoby to możliwe, grupy odbiorców są ściśle określone. Dlatego tak wiele osób pamięta dobrze konkretne okładki z tamtych czasów i wspomina je z sentymentem.

Ale oczywiście – jak już zaznaczałam – nie wszystko tak dobrze wyglądało. Wystarczy wejść do antykwariatu, by przekonać się, że ukazywało się też mnóstwo graficznego chłamu. Wiele moich rozmówczyń wspominało też, że nawet gdy projekt był dopracowany, często tracił na etapie realizacji – z powodu ciągłych deficytów, problemu z dostępem do materiałów.

Wydruki często były marnej jakości: nierównomiernie rozłożona farba, kiepski papier, czasem nawet odbity kurz. Baliccy sami retuszowali plakaty przed ich wysyłką na konkursy. W książce pokazuję reprodukcję jednego z plakatów Ewy Stanisławskiej-Balickiej, będącą próbą odtworzenia tego, jak miał pierwotnie wyglądać.

Wspominasz Balickich, ale większość Twoich bohaterek dzieliła życie z artystami, również grafikami.

W związkach artystów mógł istnieć pewien element rywalizacji. Graficy skupiali na sobie więcej uwagi, byli głośniejsi, bardziej dominujący, graficzki zaś żyły w cieniu, czego dobrym przykładem jest para Andrzej Krajewski – Maria „Mucha" Ihnatowicz.

Na niedawno otwartej wystawie w Muzeum Plakatu w Wilanowie są prace Krajewskiego, a plakatów Ihnatowicz zabrakło. W przypadku graficzek sfera domowa i rodzinna splatała się mocno z życiem twórczym: pracowały w domach, nierzadko przy kuchennych stołach, zarazem opiekując się dziećmi, co miało wpływ na ich zawodowe losy.

Nieliczne, jak Emilia Nożko-Paprocka, miały większą swobodę, bo – jak opowiadała mi jej córka – domem zajmowała się babcia, która sama kiedyś chciała zostać artystką, aktorką, lecz jej ojciec nie zgodził się na to, więc wspierała Emilię, która wybrała studia na Akademii Sztuk Pięknych. Miała też własną pracownię, co wśród moich bohaterek stanowiło rzadkość.

Niektóre, jak Ewa Stanisławska-Balicka czy Elżbieta Procka, dzięki mężom grafikom dostawały zlecenia na plakaty, inne ściśle współpracowały z partnerami, co widać choćby u Elżbiety Strzałeckiej-Żochowskiej czy Zofii Darowskiej. Także w pracach Krajewskiego i Ihnatowicz widać pewne wspólne kompozycyjne cechy, choć potem ich drogi zaczęły się rozchodzić.



MAŁGORZATA KĘPA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA KARAKTER

ALICJA KOBZA jest graficzką. Współpracowała z wieloma instytucjami kultury w Polsce i za granicą, współtworzyła publikacje poświęcone twórczości m.in. Mirosława Bałki, Roee Rosena, Guy Ben-Nera i Stefana Gierowskiego, jest autorką książki „Graficzki. Nieopowiedziane historie polskich projektantek grafiki użytkowej 1945–1989".

Dziesiątki rozmów, poszukiwań, odwiedzin w domach, niekiedy coś na kształt śledztwa, by po nitce do kłębka dotrzeć do zapomnianej graficzki. Masz poczucie satysfakcji?

Nie podchodziłam do rozmów w ustrukturyzowany sposób, z gotowym formularzem. Potrzebowałam zwykle kilku spotkań, minimum trzech. Poszukiwania i spotkania były najciekawszym etapem pracy nad książką. Ma to pewnie związek z moim charakterem i wyrzutami dopaminy, które pojawiały się, gdy coś odkryłam.

Na przykład w pandemii zaczęłam intensywnie zbierać prace graficzek. Był to moment, kiedy wszystko się zatrzymało, zamknęły się antykwariaty, muzea i biblioteki. Akurat byłam w ciąży, siedziałam w domu i przeglądałam kompulsywnie portale aukcyjne, szukając ciekawych okładek i prac graficznych.

Wyglądało to tak, że po przejrzeniu ogromnej ilości ofert tworzyłam listę i wysyłałam ją do sprzedawców z prośbą, by sprawdzili stopki, bo zakupię wszystkie prace zaprojektowane przez kobiety. I faktycznie, sprawdzali! Potem był moment największej ekscytacji, gdy dostawałam taką listę i czułam, że właśnie odkryłam jakieś cuda. Czasem wpadały mi w ręce na wyczucie, gdy nie chciałam już dręczyć sprzedających i robiłam jakieś zamówienie „na ślepo".

Po pewnym czasie zaczęłam już rozpoznawać styl niektórych graficzek, na przykład Emilii Freudenreich czy Julity Gadomskiej, która specjalizowała się w książkach kucharskich. Albo na zasadzie wykluczenia – celowałam w okładki, których nie zrealizowali raczej Świerzy, Freudenreich czy Młodożeniec, bo mieli zbyt charakterystyczne style. Ale od razu zaznaczam – nie ma czegoś takiego jak „dotyk kobiecej ręki", pozwalający rozpoznać płeć projektanta. Grafiki nie mają cech męskich ani kobiecych.

Udało Ci się porozmawiać z kilkoma projektantkami.

Tak, choć niestety były to nieliczne spotkania. Ponad połowa dłuższych historii przedstawionych w pierwszej części książki – tych, jak to ujęłaś, portretów – ma swoje źródło w opowieściach dzieci lub przyjaciół nieżyjących graficzek.

Rozmowy z tymi, z którymi się spotkałam, były różne. Niekiedy trudne ze względu na wiek, liczne dygresje, kłopoty z pamięcią. Choć wśród moich rozmówczyń są graficzki, które nadal pracują twórczo, jak Emilia Piekarska-Freudenreich czy Elżbieta Murawska, ale np. Ewa Stanisławska-Balicka traktowała tamten okres jako zamknięty etap życia.

Starałyśmy się rozmawiać fachowo, choć na pewno była między nami pod tym względem duża różnica ze względu na technologię. Jeśli ktoś nie doświadczył przygotowania prac do druku w tamtych czasach, niezmiernie trudno zrozumieć cały ten proces.

A jak oceniają PRL?

Większość z nich dobrze wspomina tamte czasy. Ale może klucz tkwi gdzie indziej: na ten okres przypadła ich młodość, czas beztroski, miłości, swobody cielesnej, więc z chęcią do niego wracały. Jednak pierwotny tytuł „Graficzki PRL-u", ↦

↦ który miał jasno sygnalizować epokę, w której tworzyły, wzbudził sprzeciw m.in. Bożeny Jankowskiej. Nie chciała być przedstawiona jako graficzka PRL-u, bo – jak podkreślała – nie miała nic wspólnego z tamtym systemem, przyszło jej po prostu tworzyć akurat wtedy.

Po namyśle zrezygnowałam z tego zwrotu, zastępując go przedziałem czasowym. Z pewnością jest to zbyt demonizowany okres, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że dał wiele szans ludziom, którzy w erze wolnego rynku by ich nie mieli. Graficzki i graficy zyskali względnie stabilne warunki pracy, podlegające, owszem, cenzurze, ale mniej restrykcyjnej niż w literaturze, prasie czy filmie.

Państwowy mecenat i konkursy gwarantowały liczne zlecenia. Choć, jakby się zastanowić, sama dziś funkcjonuję w podobnym trybie jako projektantka, bo współpracuję głównie z instytucjami kultury, które są finansowane z publicznych środków.

Wzięłaś coś od nich na dalszą drogę?

Ich prace są dla mnie nadal bardzo dużym źródłem inspiracji, choć przeszłam już etap zachwytu tym projektowaniem i teraz przyglądam się mu głównie z perspektywy historycznej. Bliższa jest mi szwajcarska szkoła, publikacje bardziej modernistyczne, zgeometryzowane, oparte na siatce, w zupełnie innym stylu. W swoich pracach więc świadomie odrzuciłam ich wpływy, ale czasem przemycam jakieś wątki.

Najważniejsze, co zostało, to kontakty. Część z nich przerodziła się nawet w przyjaźnie. Z niektórymi graficzkami lub ich rodzinami jestem w stałym kontakcie, dość często rozmawiam z Emilią Piekarską-Freudenreich i Bożeną Jankowską, a także z wnuczkami Julity Gadomskiej oraz Marii „Muchy" Ihnatowicz. Mamy kilka pomysłów na to, co można by wspólnie zrobić z ich dorobkiem. Często widywałam się też z Danutą Żukowską, nim odeszła w 2024 roku. Podobno jedne z jej ostatnich słów, gdy zadzwoniła do kolegi, brzmiały: „Chyba jednak już umieram, ale i to da się przeżyć".

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA

Reprodukcje projektów dzięki uprzejmości Alicji Kobzy i wydawnictwa Karakter.

Beethoven boso

DOROTA KOZIŃSKA

MUZYKA | W sali koncertowej wciąż jesteśmy oceniane nie tylko w kategoriach rzemiosła muzycznego, ale też stosowności ubioru, fryzury i zachowania na estradzie.

O Barbarze Hannigan recenzenci piszą, że w dziedzinie śpiewu solowego nie ma ograniczeń technicznych, jakich nie byłaby w stanie pokonać, a jako dyrygentka wkracza w rejony niedostępne dla większości jej kolegów po fachu. Kilka lat temu, przed koncertem w Krakowie, interpretacje Patricii Kopatchinskiej anonsowano jako przyprawiające purystów o ból głowy, nie omieszkując zaznaczyć, że skrzypaczka „daje czadu na bosaka".

Konserwatywni wielbiciele filharmonicznej klasyki omijają występy obu artystek szerokim łukiem, nie tylko ze względu na ich predylekcję do twórczości współczesnej, lecz i z przekonania, że swoimi ekstrawagancjami naruszają koncertową etykietę. No bo jakże traktować poważnie solistkę, która nie dość, że gra „Koncert skrzypcowy" Czajkowskiego boso, to jeszcze tupie?

Jak zareagować na wielkie wejście Komendantki Gepopo z „Mysteries of the Macabre" Ligetiego na estradę Barbican, skoro ma włosy związane kokardką w kucyki, minispódniczkę w kratkę i lakierowane szpilki, a na dodatek żuje gumę, którą za chwilę wyciągnie z ust, ugniecie w kulkę i wciśnie w dłoń sir Simona Rattle'a? I dopiero wtedy zacznie śpiewać, a do tego sama dyrygować zespołem London Symphony Orchestra?

Suknia i koczek

A przecież ani w jednym, ani w drugim przypadku nie mamy do czynienia z efekciarskim wygłupem, lecz z głęboko przemyślaną kreacją artystyczną. Owszem, często kontrowersyjną, wdzierającą się jednak szturmem w świat wąsko myślących zwolenników rzekomej tradycji. I zarazem przełamującą stereotypy tego, co w sali koncertowej wolno kobietom, ocenianym przez niektórych krytyków nie tylko w kategoriach rzemiosła muzycznego, ale też stosowności ubioru, fryzury i zachowania na estradzie.

Wciąż nie brak poważnych z pozoru melomanów, którzy stoją na stanowisku, że kobiet nie należy w ogóle dopuszczać do pulpitu dyrygenckiego. Nie brak też reprezentantów środowisk muzycznych, którzy każdą solistkę, bez względu na wiek i warunki fizyczne, ubraliby w suknię z lamy i upięli jej włosy w schludny koczek.

Miałam prawdziwe szczęście, że w napiętym terminarzu majowym udało mi się uwzględnić dwa wieczory Praskiej Wiosny z udziałem artystek, których charyzma i umiejętność zjednywania publiczności do muzyki trudnej i mniej znanej zaowocowały zaproszeniami do Pragi w charakterze rezydentek festiwalu.

Kopatchinskaja była gościem Pražského jara w ubiegłym roku – w tym sezonie powróciła na koncert Filharmoników Czeskich pod batutą ich przyszłego szefa Jakuba Hrůšy, który tymczasem kieruje orkiestrą Bamberger Symphoniker i pełni funkcję dyrektora muzycznego Royal Opera House w Londynie.

Hannigan jako tegoroczna *artist-in-residence* wystąpiła ogółem na czterech koncertach: z francuskim pianistą Bertrandem Chamayou; z Belcea Quartet; oraz dwukrotnie – jako śpiewaczka i dyrygentka – z zespołem Českiej Filharmonie. Poprowadziła też warsztat dla studentów śpiewu.

Słowem: wariatka

Ani Kopatchinskiej, ani Hannigan bywalcom Praskiej Wiosny prezentować nie trzeba. Jeśli trzeba którąkolwiek z nich przedstawić polskim melomanom, zacznę od tego, że obie są kobietami w kwiecie wieku i u szczytu artystycznej kariery.

Kopatchinskaja dobiega właśnie pięćdziesiątki. Przyszła na świat w radziec-



MICHAL FANTA / PRAŠKA WIOSNA

Barbara Hannigan jako śpiewaczka i dyrygentka z zespołem Českiej Filharmonie, 26 maja 2026 r.

kim Kiszyniowie (dziś stolicy Mołdawii), w rodzinie muzyków, którzy wraz z córką wyemigrowali do Wiednia, gdzie młodziutka Patricia odebrała najbardziej formatywne wykształcenie, kontynuowane później w Szwajcarii.

Pytana o pierwszych przewodników po świecie dźwięków, lubi odpowiadać prowokacyjnie. Że w dzieciństwie uczyła się muzyki od deszczu, słońca i wiatru. Że sztukę frazowania opanowała, wsłuchując się w ludzką mowę, a podstawy improwizacji – obserwując grę cieni w rozświetlonych płomieniami świec cerkwiach mołdawskich.

Czasem wspomina też babcię podśpiewującą w rytm ściegu starej maszyny do szycia, trzask palącego się drewna i turkot kruszących asfalt młotów pneumatycznych. Czuje się przede wszystkim opowiadaczką muzycznych historii, które nie zawsze muszą być piękne. Czasem muszą też boleć, niepokoić, wzbudzać wstręt i odrazę.

Kopatchinskaja nie wierzy w muzykę absolutną. Dążenie do perfekcji kosztem zawartych w utworach treści porównuje z uprawą idealnych pomidorów na rynek masowy: krągłych i rumianych, ale pozbawionych aromatu. Sama lubi przebierać w odmianach i smakach. Występuje jako solistka i kameralistka, para się wykonawstwem historycznym, prowadzi zespoły na koncertach, komponuje sama i z zapałem promuje utwory innych kompozytorów współczesnych, aranżuje dzieła dawnych mistrzów. Czasem lubi sobie pogadać ze skrzypcami, na przykład w opracowanej przez siebie kadencji do „Koncertu" Ligetiego. I rzeczywiście gra boso, bo w trakcie gry chce mieć kontakt z ziemią, nie z wyimaginowanym niebem nieskazitelnego technicznie wykonania.

Jednym słowem: wariatka. I tak ją odbiera część publiczności, z osłupieniem śledząc jej żywą mimikę i dziwny, jakby pierwotny taniec, w jaki wdaje się z własnym instrumentem. Niektórzy lamentują, że w Beethovenie i Czajkowskim nie da się jej słuchać. Od interpretacji szorstkiej, chłopskiej z ducha II Rapsodii Béli Bartóka na koncercie w Pradze – granej często brudnym, agresywnym, a mimo to bez reszty przekonującym dźwiękiem, nie sposób było uszu oderwać. Podobnie jak od „Koncertu skrzypcowego" Luboša Fišera, kompozycji niezwykle skondensowanej, opartej na wyraziście ukształtowanym materiale tematycznym i nagłych zderzeniach kontrastów.

Do sukcesu Kopatchinskiej walnie przyczynił się także Jakub Hrůša: doborem programu, uzupełnionego suitami z opery „Osud" Leoša Janáčka i z baletu „Cudowny mandaryn" Bartóka, ale też sposobem prowadzenia Czeskich Filharmoników: różnobarwnie i przejrzyście, jakby miał do czynienia z ogromnym zespołem solistów, grających równie organicznie jak bosonoga skrzypaczka.

Głos z ciała

Barbara Hannigan pięćdziesiątkę już przekroczyła, w co doprawdy trudno uwierzyć, obserwując ją na estradzie i słuchając jej wciąż świeżego sopranu. Po raz pierwszy zetknęłam się z tą artystką blisko ćwierć wieku temu, w napisanej specjalnie dla niej operze multimedialnej „One" Michela van der Aa. W Polsce przez chwilę było o niej głośno po premierze „Lulu" Albana Berga w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego ↦

↦ w brukselskiej La Monnaie. Od tamtej pory kariera Hannigan potoczyła się tak burzliwie i w tylu kierunkach, że pozostaje nam tylko zazdrościć zagranicznym melomanom, którzy w przeciwieństwie do nas mogą śledzić ją na bieżąco.

Początki swej edukacji muzycznej Hannigan wspomina z równą czułością jak Kopatchinskaja: dzieciństwo na kanadyjskiej wsi, wspólne śpiewanie z matką i rodzeństwem w samochodzie, coroczne wakacje na obozach chóralnych. Być może dlatego tak wcześnie pojęła, że głos nie rodzi się w krtani, lecz w całym ciele, że na jakość śpiewu wpływa nie tylko napięcie mięśniowe, ale też umiejętność kontrolowania oddechu, rozwijania koordynacji ruchów i zmysłu równowagi. Przede wszystkim jednak odkryła, że śpiew nie może wynikać z presji, tylko z potrzeby wewnętrznej. A tę można realizować również w milczeniu, wyobrażając sobie nierozkwitłe jeszcze melodie i nieopanowane w pełni techniki wokalne.

W tym zapewne kryje się sekret świeżości jej głosu. Tą drogą można dojść do sedna jej sukcesu w dyrygenckim fachu. Hannigan nie zgadza się z opinią, że kobieta na estradzie musi się pilnować, że pewne gesty przystoją tylko mężczyźnie. Nie zależy jej na tym, żeby ładnie wypaść przed publicznością. Jedyne, co leży jej na sercu, to pomóc słuchaczom wniknąć w sens utworu.

Tak było na recitalu z udziałem Bertranda Chamayou, pianisty równie muzykalnego i wyczulonego na kulturę dźwięku jak ona sama. To dzięki ich idealnej współpracy zrozumieliśmy, skąd tyle światła i ojcowskiej dumy w „Chants de Terre et de Ciel" Oliviera Messiaena, a w cyklu „Jumalattaret" do fragmentów z „Kalevali" – tyle odcieni żeńskiej boskości. Wyśpiewanej, wykrzyczanej, wyćwierkanej i wyrechotanej głosami wymyślonymi przez Johna Zorna, których Hannigan wcześniej w sobie nie miała, które musiała dopiero w sobie stworzyć.

Potrzeba nam więcej takich czarownic i kapłanek. Niech opowiadają swoje historie: muzyką bliższą naszym sercom niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

© DOROTA KOZIŃSKA



MIESIĄC FOTOGRAFII W KRAKOWIE X2

Wojciech Wilczyk, z cyklu Krzyże wolności, Goździelin

To, co boli

PIOTR KOSIEWSKI

FOTOGRAFIA | Mogłoby się wydawać, że w ciągu ostatnich dekad zbliżyliśmy się do siebie. Rozwinęliśmy kontakty gospodarcze, polityczne i kulturalne. Tymczasem Polaków i Niemców łączy coraz mniej.

Organizowany od niemal ćwierćwiecza w Krakowie Miesiąc Fotografii nieustannie się zmienia. Jedna rzecz jest jednak na tej imprezie stała: od samego początku stawia ona pytanie o miejsce fotografii we współczesnym świecie, rozumiejąc to medium bardzo szeroko. A jednocześnie przygląda się temu, czego dzięki zdjęciom dowiadujemy się o rzeczywistości.

Vladimir Nabokov w wydanej w roku 1947 „Pamięci, przemów" pisał o „przygodnych włościach". Zwrot dotyczy nie tylko utraconych przez niego miejsc, ale też ludzi, rzeczy, a nawet drobnych zdarzeń czy chwil. Autobiograficzne zapiski są jednak nie tylko sentymentalnym powrotem do przeszłości. „Pamięci, przemów" stanowią też opowieść o budowaniu tożsamości w sytuacji przymusowego wykorzenienia. „Odziedziczyłem poniekąd wyborną ułudę – piękno nieuchwytnej posiadłości, przygodne włości – co okazało się wyśmienitym przygotowaniem do zniesienia późniejszych strat" – wyznawał Nabokov.

Dlatego właśnie „Unreal estate" (Wyborna ułuda) stała się hasłem przewodnim tegorocznego Miesiąca Fotografii. Odwołanie do Rosjanina – arystokraty wspominającego to, czego pozbawiła go rewolucja – może zaskakiwać. Jednak dla odpowiedzialnych za tegoroczną edycję imprezy Krzysztofa Pijarskiego oraz Anny Voswinckel sformułowa-

nie użyte przez pisarza stało się kluczem do opisania sytuacji w naszej części Europy. „Unreal estate" to „kraina pomiędzy, przestrzeń bliskich, sąsiedzkich relacji, naznaczona jednocześnie widocznymi bliznami".

Miejscem, któremu się przyglądają organizatorzy Miesiąca Fotografii, są Niemcy i Polska. Mogłoby się wydawać, że ostatnie 35 lat zbliżyło oba społeczeństwa – ukazały się przecież niezliczone książki, filmy, a przede wszystkim rozwinęły się kontakty gospodarcze, polityczne czy kulturalne. Tymczasem coraz wyraźniejsze staje się nasze rozmijanie. Zwłaszcza relacje minionego wieku wywołują emocje, czego przykładem może być niedawny spór o gdańską wystawę „Nasi chłopcy".

Te niejasne odczucia nadal są istotnym kapitałem politycznym. Tymczasem w Niemczech Polska, a zwłaszcza polsko-niemiecka przeszłość, wzbudza coraz mniejsze zainteresowanie. Dlatego kuratorzy obecnego Miesiąca porównują naszą granicę do ekranu, przez który ledwie się „nawzajem dostrzegamy, a jednak zarówno nasze państwa, jak i tożsamość pozostają głęboko splecione i nawiedzone przez duchy przeszłości".

Duchy

Program rozpisano na trzy wystawy przypominające rozdziały książki. Pierwszy akt poświęcono właśnie „duchom przeszłości". W Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK zorganizowano wystawę



Annette Kelm, z cyklu Die Bücher

niemieckiej artystki Annette Kelm. Pokazano na niej fragmenty dwóch cykli. W „Die Bücher" artystka sfotografowała okładki pierwszych lub wczesnych wydań książek, które w latach 1933-45 zostały w nazistowskich Niemczech zakazane. Są wśród nich dzieła Waltera Benjamina, Alfreda Döblina czy Ericha Marii Remarque'a – kluczowe dla kultury XX w. Ale znalazła się tu również literatura popularna, a nawet książki dla dzieci i młodzieży. To szczególne zdjęcia: przypominają portrety ludzi, zdjęcia dowodowe lub paszportowe.

Drugi cykl artystki, „Travertinsäulen Recyclingpark Neckartal", przypomina o historii pomnika Benito Mussoliniego w Berlinie, którego fragmenty zostały porzucone na przedmieściach Stuttgartu. Dziś wznoszą się obok nich ogromne zakłady przetwórstwa odpadów. Resztki monumentu wyglądają jak fragmenty antycznej budowli. Ślady przeszłości, przypomina niemiecka artystka, wciąż tutaj są, co więcej: mogą się stać niebezpieczne.

Druga część Miesiąca, zorganizowana w Bunkrze Sztuki, została poświęcona znacznie bliższym nam czasom. Wystawa „Możliwy układ" przygląda się przemianom społecznym i gospodarczym, jakie zaszły od 1989 roku w obu krajach. Stawia pytania o bilans tej transformacji i jej społeczną cenę.

Zdjęcia Arweda Messmera pokazują, jak zmieniały się Niemcy po zjednoczeniu, także architektonicznie. Tytus Szabelski-Różniak przygląda się, w jaki sposób zostały przekształcone Warszawa i Berlin, ale także Belgrad, Budapeszt i Ryga. Jaki wpływ na ich wygląd miał kapitał, w jaki sposób je unifikował. Natomiast Fungi (Phuong Tran Minh) wraca wspomnieniami do swojego dzieciństwa w Niemczech po ich zjednoczeniu. Zdjęcia, ale też teksty pokazują ten okres z bardzo indywidualnej, osobistej perspektywy wietnamsko-niemieckiej twórczyni. To opowieść o staraniach odnalezienia się w obcej rzeczywistości. O próbach dostosowania się, upodobnienia. ↦

REKLAMA





MIESIĄC FOTOGRAFII W KRAKOWIE X2

Sonia Góral, z cyklu Family Album, Sekcja ShowOFF

Jedną z prac otwierających ekspozycję jest „Urna" (2014) Pawła Bownika. Ta znacznych rozmiarów fotografia przedstawiająca urnę z pozostałościami książek spalonych przez Niemców w październiku 1944 roku w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich. Zniszczeniu uległy wtedy jedne z najcenniejszych zabytków piśmiennictwa ze zbiorów Biblioteki Narodowej. Ta jedna fotografia przypomina o tym, jak bardzo nasza przeszłość jest stale obecna.

Postawy

Śladom przeszłości zostały także poświęcone „Uwarstwienia" w Pałacu Potockich. Artyści i artystki przyglądają się na wystawie konkretnym miejscom, zarówno ważnym dla naszej pamięci, ale też wypartym czy przemilczanym. Wojciech Wilczyk od 2020 roku szukał na terenie Polski krzyży i kapliczek upamiętniających zniesienie pańszczyzny, wydarzenia o fundamentalnym znaczeniu dla wsi i jej mieszkańców, ale nadal marginalizowanego w oficjalnej historiografii. Znalazł ich w sumie 136. Poprzez fotografie przywraca pamięć o tych, którzy je wznosili.

Anna Orłowska zajmuje się Górą Świętej Anny, odgrywającą ważną rolę w polskiej, ale też niemieckiej polityce pamięci. Jadwiga Janowska zaś przygląda się funkcjonowaniu Radiostacji Gliwickiej, miejsca ważnego dla polskiej tożsamości. W jaki sposób jej wizerunek jest komercjalizowany i wykorzystywany np. jako motyw na... czekoladkach.



Paweł Bownik, Urna

Jednak nie jest to jedynie wystawa o przeszłości. Tobias Zielony w wideo „Jak rozpalić ogień bez dymu" (2026) przygląda się temu, jak wygląda przekraczanie granicy między Litwą a Białorusią. Natomiast Jonas Höschl w pracy „80 portretów: 73 mężczyzn, 7 kobiet" gromadzi pochodzące z internetu zdjęcia osób związanych z grupami neonazistowskimi.

Pokazują one symbolikę, do której odwołują się te osoby, sposób ich ubierania się. Höschl dokumentuje niebezpieczne postawy, ale unika popadania w sensację.

Złudzenia

Nie mniej ważne na Miesiącu Fotografii jest przyglądanie się i wyszukiwanie nowych postaci i zjawisk w tej dziedzinie sztuki. Częścią tegorocznej edycji jest wystawa studentów polskich i niemieckich szkół artystycznych. Jednak kluczowe znaczenie mają pokazy w ramach realizowanej od dawna Sekcji ShowOFF. O jej randze świadczy m.in. to, że w przeszłości prezentowano na niej prace m.in. Dominiki Gęsickiej, Ireny Kalickiej czy Diany Lelonek.

Uczestników i uczestniczki wyłania się w międzynarodowym konkursie, a nad wystawami pracują osoby o dużym doświadczeniu. W tym roku są to m.in. Aneta Grzeszykowska, Yulia Krivich i Tobias Zielony, ważne nazwiska współczesnej fotografii.

Przygotowano sześć wystaw. Abdalsalam Alhaj (Galeria Szara Kamienica) opowiada, odwołując się do rodzinnej historii, o politycznym i gospodarczym upadku Sudanu. O złudzeniach związanych z modernizacją, jaka miała miejsce po ogłoszeniu przez ten kraj niepodległości, i konfliktach, które go pogrążyły. Witalij Herasymenko (Galeria Piana) fotografował, służąc w szturmowym batalionie Sił Zbrojnych Ukrainy. Nie tylko dokumentował strefę wojny, ale pokazywał, jak się zmienia i wpływa na tych, którzy w niej przebywają.

Z kolei Sonia Góral (Apteka Janicki gallery) fotografie z dzieciństwa wykonane przez jej ojca wykorzystała jako podłoże do obrazów. Pokrywa zdjęcia farbą, nadając przedstawionym na nich ludziom i wydarzeniom nowe znaczenia. To spojrzenie na własne dzieciństwo, niepozbawione humoru, żartobliwe, ale też chwilami okrutne. Wystawy te, ale także Andrzeja Frydrycha, Moniki Libery i Maite Vanhellemont, pokazują, jak różnie dziś jest rozumiana fotografia, ale też że nadal daje możliwość mówienia o aktualnych sprawach.

© PIOTR KOSIEWSKI

23. Miesiąc Fotografii w Krakowie, **UNREAL ESTATE. O GRANICACH, SPLĄTANIACH I NIEDOKOŃCZONYCH HISTORIACH**.
Wystawy można oglądać do 14 czerwca. Ekspozycje w Galerii Bunkier Sztuki i Galerii Pałacu Potockich czynne są do 30 sierpnia.



▪ *Plawgo*, **RZECZY KTÓRE ROBIMY ZAMIAST**, *kamomile*

To drugi album rapera, dla którego droga do kariery muzycznej była biegiem przez płotki. Kiedy miał 28 lat, uznał, że jest za stary na marzenia o rapie, i... swoją pierwszą płytę wydał dekadę później. Moment okazał się właściwy. „Laurki" (2024) były dojrzałym debiutem, a drugi krążek tylko potwierdza, że Plawgo świetnie wie, co i w jaki sposób chce powiedzieć. To szybki, liryczny album z elektronicznymi, wpadającymi w boom bap i funk bitami, którego autor opowiada o zwykłym życiu. Może nie dzieje się nic strasznego, a jednak często nas to wszystko przeraża. Talent artysty polega na tym, że chociaż mówi o współczesnych lękach – wypaleniu, braku bliskości, chaosie świata – to zachowuje lekkość, a zamiast przytłaczać, wzrusza. Za produkcję odpowiadają Fleir (Stefan Głowacki) oraz connorr (Olaf Sośnicki) we współpracy z berlińską grupą Art Nails. Płyta ma energię i miękkość klubowego koncertu, a do bitów spokojnie mógłby nawinąć Loyle Carner albo Isaiah Rashad. Występy na żywo są zresztą mocną stroną Plawgo, który zwykle gra z zespołem. Na płytę składa się osiem utworów wypełnionych odniesieniami, przybierającymi formę skojarzeniowych puzzli. Przykładem fraza „czuję się jak Joe Strummer, powinienem zostać, czy już tu nie siedzieć" rzucona do psychoterapeutki w singlu „ChCę tAbLetkĘ". W „Nowym serialu" fabuły popularnych produkcji zostają niepostrzeżenie internalizowane we własne życie. Na powierzchni to serialowe bingo, ale Plawgo sięga głębiej. W końcu każda dobra sztuka jest jednocześnie ucieczką i autorefleksją, a najczulsze struny to te poruszone niespodziewanie. „Stary od zawsze trzymał firmę, rodzinę, dłońmi jak w ze stali rękawicach / przyzwyczajenie, że jeśli, to krzywo patrzy / i do oceny, że źle robię wszystko zawsze / może doceni, jak mu przejmę korporację / cztery dychy ciągle czekam, aż pogłaszcze". Każdy ma swoją „Sukcesję". Najbardziej porusza jednak kawałek „Dzień Dziadka". To próba rozmowy, na którą zawsze brakuje czasu i uważności. Z obu stron, bo dziadek też wpatruje się w ekran. „Opowiedz mi raz jeszcze, choć opowiadałeś tyle razy / tym razem zapamiętam, bo następny może się nie zdarzyć / twoją historię, która zostawiła w moim ciele znaki / jestem z ciebie i sam nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć". Plawgo kończy ten kawałek gorzką mantrą. Posłuchajcie.
© AREK KOWALIK



▪ *Long Distance Calling*, **THE PHANTOM VOID**, *earMUSIC*

Ta muzyka nie wpada w ucho. Ani po pierwszym, ani po piątym przesłuchaniu zapewne nie będziecie w stanie odtworzyć w myślach zbyt wielu melodii. Zapamiętacie za to przeżywane podczas słuchania emocje. Niemiecka grupa Long Distance Calling należy do czołówki zespołów tworzących w nurcie post-rocka. To gatunek, który wykorzystuje rockowe instrumentarium, ale w zupełnie nierockowym celu. Nie ma tu struktur typu zwrotka-refren-przejście-zwrotka-solówka. Ba, na ogół nie ma wokalu: ten „instrument" jest tu zbędny. O ile jednak wiele zespołów post-rockowych poszło w kierunku charakterystycznych dla ambientu plam dźwiękowych i „muzyki tła", ci Niemcy tworzą aranżacje gęste, galopujące, często przekraczające granice metalu, ale sięgające też chętnie po dziedzictwo Pink Floyd czy The Alan Parsons Project. W ich kompozycjach słychać też echa minimalizmu Philipa Glassa: utwory bazują na wielokrotnie powtarzanych, hipnotycznych, na różne sposoby splatanych sekwencjach. Jest to w jakimś sensie muzyka medytacyjna – gdy zamkniemy oczy, ostre gitary i pulsująca perkusja zabiorą nas w podróż po zakamarkach wyobraźni. Można, ale nie trzeba inspirować się tytułami utworów i tematyką poszczególnych albumów (LDC nagrywali już koncept-albumy o sztucznej inteligencji czy ginących gatunkach; „The Phantom Void" dotyka źródeł lęku). Trochę szkoda, że na najnowszym krążku muzycy postanowili prowadzić słuchacza za rękę i niektóre utwory zaopatrzyli w (niedługą na szczęście) narrację grobowego basu. Ten brak zaufania do odbiorcy to jedyna – acz dotkliwa – słabość albumu. © MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"



DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

Matki i córki

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Trudno powiedzieć, na ile ten film oddaje wewnętrzny stan młodocianych bohaterek, lecz jedno jest pewne: uważność na życiowy szczegół i empatia okazały się optymalnym sposobem, by dotknąć wrażliwego tematu.



Nawet najmniej spektakularny tytuł braci Dardenne może okazać się filmem potrzebnym. Belgijski duet wyspecjalizował się w bardzo „małych" historiach, które w najlepszych wydaniach niosły potężny, oczyszczający ładunek. Zawsze szczególną uwagę kierowały ku osobom młodym i z najbardziej marginalizowanych środowisk – ku imigrantom, dzieciom ulicy czy osobom w jakikolwiek sposób zaniedbanym i niewidocznym.

To w ich kruchości, w podatności na wszelką krzywdę, w bezbronności wobec deprawacji, dostrzegali twórcy ślepe plamki społecznych systemów i trudno usuwalne pęknięcia ludzkiej natury. Oraz próby ich przezwyciężania, na przekór okolicznościom.

Oczywiście, ich najnowsze dzieło nie ma w sobie takiego potencjału, jak „Rosetta" czy „Syn", ani tak skondensowanej polityczności, jak „Młody Ahmed". Już sam tytuł, „Młode matki", znowu bardzo prosty i zdawkowy, brzmi niczym kolejne hasło w katalogu problemów społecznych. I filmowcy z Liège nigdy nie ukrywali, że w takich właśnie, ściśle zdefiniowanych kontekstach umieszczają swoich bohaterów.

Nie po to jednak, aby ilustrować tezę, iż „byt określa świadomość", ale żeby pokazać, że ów byt może mieć czasem determinujące znaczenie dla czyjegoś losu. Jakkolwiek człowiek nigdy nie był dla nich prostą wiązką problemów socjalnych, a ich kino nie było od tego, żeby je odhaczać. Kluczem jest jego wiarygodność – oglądając nowy film Dardenne'ów już od pierwszej sceny, gdy kamera obserwuje na przystanku dziewczynkę z wielkim brzuchem, łatwo zapomnieć, że to przecież zagrana i zainscenizowana fabuła.

Gdy tyle się wokół grzmi o niskiej dzietności, twórcy „Dziecka" wskazują na jej patologiczny aspekt – bo historie, w których dzieci rodzą dzieci, mają w sobie często fatalistyczną logikę. Tak jest w belgijskim filmie, gdzie podopieczne schroniska dla nieletnich mam powielają życiorysy własnych matek albo lękają się powtórzenia w przyszłości znajomego wzorca. Istnieje wszak spore ryzyko, że również ich córki wpadną kiedyś w podobne koleiny.

Wszystkie dziewczyny, zagrane głównie przez aktorki nieprofesjonalne, łączy nie tylko fakt, iż niechciana ciąża pozbawiła je szans na normalne dzieciństwo i edukację, a tym samym wyrwanie się z zaklętego kręgu ubóstwa i przemocy. Wspólne jest także to, że na różnych etapach życia pozostawiono je samym sobie. „Wpadka" i jej następstwa są wypadkową rozmaitych braków – miłości, bezpieczeństwa, konkretnej życiowej porady, edukacji seksualnej...

Poza tym każda z tych historii jest inna w swoim nieszczęściu. Bracia Dardenne tworzą przegląd rozmaitych losów, który nie zmierza do prostych uogólnień, lecz chce uchwycić szersze zjawisko w pojedynczych, intymnych odsłonach.

Oto ciężarna Jessica (Babette Verbeek) próbuje się spotkać ze swoją matką, by zadać jedno pytanie: dlaczego kiedyś, zaraz po urodzeniu, kobieta ją porzuciła. Od tego zależy, czy jej córka odda teraz swoje dziecko do adopcji. Ciemnoskóra Perla (Lucie Laruelle) uzależnia swoje dalsze decyzje od tego, czy zostanie przy niej chłopak, z którym zaszła w ciążę. Pomna własnych koszmarnych doświadczeń z dzieciństwa, nie chce być samotną mamą.

Z kolei Ariane (Janaïna Halloy-Fokan) wie na pewno, że lepiej znaleźć rodzinę adopcyjną, niż powierzyć dziecko dysfunkcyjnej babci. A Julie (Elsa Houben, jedyna w tym gronie doświadczona aktorka) miałaby duże szanse na tak zwany normalny dom, gdyby udało jej się zerwać z uzależnieniem.

Co istotne, ekran nie epatuje patologiami. Pokazuje raczej zwyczajną codzienność w ośrodku pomocowym, bowiem bracia Dardenne szczerze wierzą w system, który może jeszcze uratować te dziewczyny i ich dzieciaki.

„Młode matki" nakręcono tak autentycznie i świeżo, że nie czuje się w nich typowego „pochylania się nad losem". Ani bezpośrednich oskarżeń wymierzonych w kogokolwiek, bo przecież dorośli krzywdziciele i krzywdzicielki też kiedyś byli krzywdzonymi dziećmi. To akurat pozostawia nam film w domyśle, a kiedy w jednym z wątków doprowadza do dramaturgicznej kulminacji, stara się dawkować oszczędnie jej dramatyzm.

Owa powściągliwość rozciągnięta na cały film sprawia, że łatwo go zignorować. Uhonorowany w Cannes nagrodą



MATERIAŁY PRASOWE

MŁODE MATKI
(„Jeunes mères”) – reż. Jean-Pierre i Luc Dardenne. Prod. Belgia/Francja 2025. Dystryb. Aurora Films. W kinach.

Jean-Pierre i Luc Dardenne zaczynali od dokumentów, a filmy fabularne tworzą razem 40 lat. Są ulubieńcami festiwalu w Cannes. „Rosetta” (1999) i „Dziecko” (2005) przyniosły im Złotą Palmę, „Chłopiec na rowerze” (2011) Grand Prix, „Młody Ahmed” (2019) nagrodę za reżyserię, a „Milczenie Lorny” (2008) za scenariusz. Produkowali filmy Cristiana Mungiu czy „Emilię Pérez”.

Powyżej: kadr z filmu „Młode matki”

Jury Ekumenicznego i za scenariusz, typowany przez Belgów do tegorocznych Oscarów, nie wyróżnia się niczym specjalnym, także na tle twórczości Jean-Pierre’a i Luca Dardenne’ów. Gdyby powstał w Polsce, na pewno wpisałby się w ideologiczne spory, tymczasem tu o aborcji (w Belgii ogólnodostępnej i refundowanej) mówi się jakby mimochodem, raczej w kategoriach rozważanej wcześniej możliwości. Ważne, by każda z dziewczyn wyszła na prostą, a ich dzieci znalazły kochający dom.

Ktoś zapyta, co dwóch uprzywilejowanych siedemdziesięcioparolatków, nawet jeśli całe ich prywatne i filmowe życie związane było z robotniczym środowiskiem, może wiedzieć o współczesnych nastolatkach w ciąży. Ale to samo pytanie można postawić każdemu z ich filmów, zgodnie z dzisiejszą hiperpoprawnością, że „o czarnych tylko czarni”. Trudno powiedzieć, na ile „Młode matki” oddają wewnętrzny stan młodocianych bohaterek, lecz jedno jest pewne: raz jeszcze uważność na życiowy szczegół i czysta empatia okazały się optymalnym sposobem, by dotknąć wrażliwego tematu.

Ponieważ zaś prawie wszystko rozgrywa się tutaj w kręgu kobiet i wielkimi nieobecnymi są mężczyźni (partnerzy i ojcowie bohaterek), a za każdą z dziewczyn ciągnie się jakiś rodzaj domowych nadużyć, cała nadzieja – zdają się mówić filmowcy – w rodzinach umownie rozumianych. Również instytucjonalnych czy tych z wyboru.

Wiara w człowieka, jego zdolność do przemiany, a także w międzyludzką solidarność i efektywną opiekę społeczną upodabnia kino belgijskich braci do Kena Loacha z czasów, kiedy narracyjna prostota w jego filmach była wolna od uproszczeń. Przedwczesne i często niechciane macierzyństwo funkcjonuje u Dardenne’ów bez sentymentalnej otuliny – w ujęciu wyraźnie klasowym i w surowej, paradokumentalnej optyce. Jak uniknąć pomnażania nieszczęść tego świata i jak zachować godność w sytuacji bez (idealnego) rozwiązania? Mimo iż Belgowie pytają o to głosem bardziej stonowanym niż zwykle, to ów język troski, w sensie werbalnym i wizualnym, pozostaje całkowicie wolny od fałszywych tonów. ©

Lektor:
Inna wojna



▪ *Wojciech Tochman,* **DELFINY I BELZEBUB**, *Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026.*

Wojna od innej strony – od strony zwierząt, które współcierpią z nami, choć nie wiedzą, dlaczego. I nie wiedzą, dlaczego muszą umrzeć. Jak delfiny, którym sonary okrętów wojennych uszkadzają mózg, albo które giną od mazutu z uszkodzonych tankowców. Iwan Rusew z parku narodowego Limany Tuzłowskie, położonego między ujściem Dniestru a ujściem Dunaju, szacuje, że wojna pochłonęła już co najmniej 85 tys. delfinów – jedną piątą populacji w Morzu Czarnym.

Rusew opowiada też o ptakach. Migrujące przestały się prawie pojawiać, a flamingi porzuciły czterysta gniazd. Tematem książki jest przede wszystkim los zwierząt domowych w Ukrainie, w których ratowanie znakomity reporter mocno się od 2023 roku zaangażował, zacząłem jednak od zwierząt dzikich, by podkreślić prawdziwość zdania: „To wojna przeciw wszystkiemu, co żyje”.

„Delfiny i Belzebub” to oczywiście także – jak mogłoby być inaczej? – reportaż o ludziach. Wspaniałych, pełnych poświęcenia, często bohaterskich. Wolontariuszach, pracownikach schronisk. Jedni polecają przybyszowi z Polski innych – tak powstaje wstrząsająca patchworkowa całość, którą chwilami trzeba odłożyć, tak jest mocna i gęsta. Jest i o niezwykłych relacjach ludzi ze zwierzętami, i o zwykłej (?) ludzkiej miłości. O poecie Maksymie Krywcowie, którego wizerunek – śpiący w okopie żołnierz, na którym leży czuwający rudy kot – obiegł świat. Dwa dni później Krywcow zginął. Kot jednak ocalał.

Wróćmy jeszcze do tytułu. Dlaczego delfiny – już wiemy. A skąd Belzebub? Ze wspomnień dzieciństwa, z Iraku, dokąd wyjechali na kontrakt rodzice autora, inżynierowie. „Młody to był kotek, przybłęda, biały w czarne łaty. Nasze oczko w głowie”. Po wybuchu wojny iracko-irańskiej rodzina zdecydowała się wyjechać. Belzebub został, powierzony opiece sąsiadów. Dziś na pewno już nie żyje. A teraz trafił do galerii kocich postaci w literaturze polskiej, jak Iwan państwa Konwickich, jak pozostawiony w Wiśle Głupielok Jerzego Pilcha, i jak pewna czarna kotka, ulubienica żydowskiej dziewczynki w wojennym Tarnopolu. Po latach, gdy owa dziewczynka, wspaniała pani Ruth Buczyńska, umarła, Adam Zagajewski napisał elegijny wiersz. „Jej ukochana kotka – czytamy w nim – nie chciała zostać w getcie, dwukrotnie / nocą wracała na aryjską stronę. Jej kotka nie wiedziała, / kim są Żydzi i co to jest aryjska strona”. Ale to już zupełnie inna historia. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Kapłani kapłona



Rok prawie by zajęło jedzenie kolacji za każdym razem w innym miejscu rekomendowanym przez polski przewodnik Michelina – bo jest ich niemal dwieście i jakieś przerwy na przepisane posty też trzeba uwzględnić. Tak, przewodnik polski, bo mamy już pierwszą całościową naszą edycję, dotychczas byliśmy podpięci pod dział „główne miasta Europy". Kiedy się patrzy na mapy demograficzne, to myśl, że niedługo „Polska" będzie *de facto* sprowadzona do wielkiej piątki metropolii plus kolonii dacz mieszkańców tychże molochów oraz kilku ostatnich wiosek słowiańskich Galów utrzymywanych za pieniądze z unijnych funduszy na zagrożone gatunki, nie brzmi jak koncept znudzonego felietonisty. Ale na razie wciąż jest życie poza Warszawą czy Krakowem, całkiem godne – dobrze, że nasze państwo zapłaciło Francuzom, żeby pojeździli to tu, to tam i pozbierali wrażenia z tzw. terenu.

To jest jeden z warunków zapewniających tej akurat klasyfikacji i gwiazdkom sensowność – nikt nie może sobie ich kupić, chyba że zbiorowo jako kraj czy region. Dawno już ten model biznesu, że najpierw drukujesz aktualny, ergonomiczny i wiarygodny w ocenach przewodnik, potem możesz go z zyskiem sprzedawać okrągły rok w księgarniach i na stacjach benzynowych, padł. Nie ma już czegoś takiego jak „przewodnik" w sensie książeczki. Zielona była turystyczna i opisywała zabytki wedle kategorii „warte osobnej podróży", „warte zboczenia z trasy", „interesujące", czerwona ułatwiała zaplanowanie jedzenia i spania, operując tymi samymi ocenami. A do tego jeszcze mapy z żółtą okładką. Semafor podróżnika już zgasł.

A zatem polska „edycja" nie znaczy dziś nic więcej poza stroną internetową, zawieszoną w chmurze podobnych, a jednak zachowuje siłę przyciągania, skoro nawet tu w naszym kąciku, gdzie pichcimy obiady domowe i niewyszukane, nastawiliśmy radioodbiornik na transmisję z premiery nowej listy. Po części właśnie z powodu tej robespierrowskiej aury *incorruptibles* – anonimowi inspektorzy w oczach publiczności są trochę jak sąd kapturowy, skłonny ścinać, więc jeśli ktoś ma nienaruszoną szyję, to znaczy, że naprawdę jest czysty. Na razie. Do następnego sezonu.

Trochę też chodzi o kompleksy – och, niech nas docenią – zwłaszcza wobec Francuzów, kapłanów kapłona, ufamy im w kwestii smaku bardziej niż Anglosasom, mimo że nasi bywali i kształceni w świecie szefowie znacznie częściej już mówią na swoją sztukę *fine dining*. Mniejsza o to, dobrze, że coś takiego może sobie istnieć w kakofonii nieuczciwych gwiazdek i kupionych hurtowo opinii.



POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA

Miejsc wyróżnionych jest, jak się rzekło, prawie dwieście. Piramidę wieńczy jedenaście gwiazdkowych – ale o tych sza, za wysokie progi, *hauts seuils*. Pytajcie o to i słuchajcie Łukasza Modelskiego z „Drogi przez mąkę". Jako gruntownie wykształcony mediewista ma warsztat mentalny i kompas moralny, by bez lęku poruszać się po katedrach dobrego życia. Lepiej skierujmy wzrok niżej, tam gdzie w pyle gościńca ślady kopyt i kół.

Prawie 40 restauracji dostało plakietkę „Bib Gourmand" oznaczającą wyrafinowane doświadczenie za umiarkowaną (hehe) cenę. A potem idzie cała reszta rekomendowanych, co w języku zielonego katalogu zabytków znaczy „interesujące". Gdzie zatem zjemy interesująco? Dokąd dotarli inspektorzy rozesłani ponoć na cztery strony kraju? Oligopol Warszawy, Krakowa i Poznania trzyma się mocno. Doszły duże miasta, jak Olsztyn, Lublin czy Białystok. Szczecin. Nawet Radom i Wałbrzych. To cieszy. A co z przysłowiowym obiadem przy drodze pośrodku niczego? Niech was nie zwiedzie obecność nazw sugerujących zapadłe dziury. W Wysokiej Wsi mapa Google'a pokazuje lądowisko dla helikopterów – tam bowiem znajduje się ośrodek spa znanej firmy od kremów. Na twarz, nie na kanapki. Trzek leży tuż pod Poznaniem, można wyskoczyć na kolację z dala od zgiełku, podobnie jest z Wiślinką koło Gdańska. I jeszcze parę podobnych przykładów. Jeśli naprawdę daleko od miasta, to najczęściej będzie to elegancki hotel w zamku – tu przodują Sudety, ze zrozumiałych historycznych względów dobrze zaopatrzone w zamki i dewizowych turystów z Heimatu.



Polska gala przewodnika Michelina. Kraków, 27 maja 2026 r.

No trudno. Nie skopiujemy nigdy tego (podkręconego nostalgią) obrazu Francji czy Włoch, gdzie faktycznie proste, przydrożne gospody były oazami smaku i zasługiwały na rankingi i opisy (wspominany tydzień temu Carlo Petrini był m.in. pomysłodawcą przewodnika po osteriach, czyli tanich gospodach, to jedna z pierwszych publikacji ruchu *slow food*). Wzbogaciliśmy się, mamy coraz więcej wolnej gotówki na jedzenie, ale tamtejszy model gastronomii ze świętą przerwą obiadową i rytuałem posiłku obejmującym także klasę ludową do spodu, nie jest przewidziany w polskim scenariuszu modernizacji i awansu.

Cieszmy się tym, co mamy, gratulujmy wyróżnionym i płaćmy za ich sztukę w miarę możliwości. A w drodze starajmy się mimo wszystko wybierać coś innego niż śmieciowe hot dogi na stacji. Liczba tirów na parkingu – to będzie zawsze mój niezawodny Michelin. Dlatego, jeśli jadę A2 do Berlina, skręcam w Świebodzinie, tracę czas i zwykłą drogą zmierzam do Pożrzadła. Gdzie czekają najlepszy rosół, schabowy i naleśniki. Drogi barze Nevada, mam nadzieję, że trzymacie poziom. Przyjadę was sprawdzić. Anonimowo, więc nie patrzcie na moje zdjęcie.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Pesto szparagowe z Culi

Kiedy myślę o szczerym, sycącym jedzeniu godnym rekomendacji – uczciwej, choć nie anonimowej – i sezonowym, to chodzi za mną specyficzne pesto szparagowe. Z knajpy nie gwiazdkowej, broń Boże, bo mówimy o miejscu, które 10 lat temu sam współprowadziłem, możecie się domyśleć, że nie było „fajn”, ale i też nie bezpłciowe – nie znajdziecie nad Wisłą głębszej jaskini neapolitańskiego kiczu. A jedzenie – no cóż, dawno nie mam nic wspólnego z firmą, chyba stałem się prawie obiektywny, cokolwiek by to znaczyło w kontekście dobrego jedzenia. Przybytek nazywa się Culiinaria Italiana i to drugie „i” nie jest błędem – lecz sprośnym żartem, z którego niech się tłumaczy właściciel, ja się nie będę za niego wstydzić. W każdym razie roboczo i tak mówiliśmy zawsze: Culi.
Alfredo gotuje dużo klasyków włoskiej kuchni osteryjnej, ludowej, takiej ciut powyżej „domowości”. I lubi się bawić. A że jest z Veneto, to dzieli ze mną genetyczny fanatyzm szparagowy.

SKŁADNIKI:
0,5 kg zielonych szparagów 100-150 g blanszowanych migdałów 100 g grana padano (jak najłagodniejszego, nie pecorino!) ▪ masło ▪ oliwa ▪ korzeń chrzanu

Szparagi muszą być jak najświeższe i raczej dość cienkie – ale też nie takie jak drucik. Odcinamy zeschłe końcówki, obieramy delikatnie skrobaczką, kroimy na trzy-cztery części. Dajemy na dużą patelnię, na której roztopiliśmy masło, obsmażamy na średnim ogniu, solimy, zmniejszamy ogień i dusimy pod przykryciem parę minut – tyle, żeby nieco zmiękły. Jeśli się trafiły nam wyjątkowo twarde okazy, możemy podlać wodą w trakcie duszenia, ale tylko trochę. Przekładamy do miksera, w którym wcześniej zmiksowaliśmy krótko – nie na proszek – blanszowane migdały (chyba że kupiliśmy gotowe migdały siekane). Miksujemy jak najkrócej. Przy tym dolewamy trochę oliwy, ale tylko tyle, żeby ułatwiła powstanie „szorstkiej” masy. Na koniec dodajemy ser, mieszamy wszystko łyżką. Przekładamy do miski, w której będziemy łączyć pesto z kluskami (najlepiej długa forma – spaghetti, bavette itd). Jeśli na oko wydaje się za gęste, dolewamy parę łyżek wody z gotowania makaronu, ewentualnie jeszcze rozrzedzając w trakcie energicznego mieszania. Na wydaniu kluczowa rzecz: trzemy na gotowe porcje odrobinę świeżego korzenia chrzanu. Z początku niewiele, ale zostawiamy chrzan i tarkę na stole, żeby goście mogli sobie wzmocnić.
Alfredo dodaje przy miksowaniu mały ząbek czosnku – ja wolę bez. Sami zobaczcie. ©℗



VANILLAECHOES / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

MORZE JEST MOKRE

Choć jego materialność zagadujemy mirażami,
nad Bałtykiem wszyscy jesteśmy polodowcowi.

TEKST I ZDJĘCIA ADAM ROBIŃSKI

Internetowy koktajl ze stereotypów: zabytkowa niebieska Skoda, na dachu dmuchany flaming. Para zabawnych Czechów jedzie przez Polskę, okraszając swoją podróż komentarzami na temat przewijających się widoków. Góry, jeziora, tunele! „Jak się u nas, w Czechach postarają, to i Grecy tędy do samej Szwecji dojadą". Wreszcie docierają do celu, którym jest morze. „Jaka piękna plaża. Taka mało chorwacka. Kamieni nie ma", mówi bohaterka do partnera. „Bo to Bałtyk", on odpowiada. „No i z Polakami zawsze się dogadasz". A potem oboje pozdrawiają jakiegoś przypadkowego plażowicza, wołając do niego „*Ahoj*!". I to jest chyba w internetowej reklamie polskiej trasy S3 najzabawniejsze: choć ani Czesi, ani Słowacy nigdy w swojej długiej historii nie mieli dostępu do morza, to pozdrawiają się jak marynarze.

Piękno leży w oku patrzącego – określenie „taka mało chorwacka" dla nas, Polaków, brzmi jak krytyka. Chorwacja to przecież słońce, gęsta zupa słonego Adriatyku, z której nie trzeba wychodzić po kwadransie. To jeżowce i rozgwiazdy obserwowane pod wodą oraz owoce morza oglądane na talerzu. I południowosłowiański gospodarz, z którym zawsze jakoś się dogadasz, bo przecież „*hvala*", czyli „dziękuję", brzmi naprawdę znajomo.

Co innego Bałtyk – on jest zbyt swojski, by mógł być ekscytujący. Bałtycka plaża to nośnik zupełnie innych wspomnień. Dominują w nich ulewy i szkwały. Deszczowe lipce i zimne sierpnie. Tłumy schowane za parawanami. Panga z Mekongu w zbyt grubej panierce i gofry z bitą śmietaną tak słodkie, że aż mdli. A to wszystko podsumowane paragonem grozy.

Więc kiedy oczarowana Bałtykiem Hněvka z zabawnej reklamy rusza na północ, by delektować się urlopem nad naszym morzem, my uciekamy w przeciwną stronę. Oto wspólnotowe doświadczenie kilku pokoleń Polaków: nocleg w Mikulovie, obwodnica Wiednia, Graz i Maribor. Za Zagrzebiem w wiecznym korku, ale już jakby z górki, bo gdzieś tam chłodzi się półlitrowe Karlovačko.

Jak włóczędzy

Wróćmy jednak myślami w bliższe nam geograficznie strony, bo chciałbym teraz przywołać jeszcze jedną relację z podróży. Jest ich trzech, mają po 20 lat, a swoją przyszłość widzą w poezji. Peter Repka, Ivan Laučík i Ivan Štrpka, założyciele grupy poetyckiej Samotni Biegacze, chcą iść pod prąd. Opublikowany przez nich manifest mówi o obojętności ludzi skłębionych w wygodnych samochodach, odizolowanych od świata i wyobcowanych, którzy całą masą prą w jednym kierunku. Oraz o poczuciu osamotnienia tego, który biegnie w przeciwną stronę, do nieznanego celu. Poza tym wszyscy trzej są zafascynowani opowieściami polarników i odkrywców. Marzą o karierach Amundsena albo Shackletona, ale jedyna Północ, jaka przychodzi im do głowy i na jaką ich stać, to Półwysep Helski.

Ludzie literatury miewają dziwne pomysły: wzorem bohaterów „Dżumy" Camusa, Słowacy postanawiają wykąpać się w morzu. Twierdzą, że ten gest scementuje ich przyjaźń. Spisana później przez Laučíka relacja z ich podróży jest jak „W drodze" Kerouaca w wersji zza żelaznej kurtyny.



Mamy sierpień 1964 r. Z zaproszeniami od polskich znajomych i niewielką ilością gotówki w kieszeniach, w Żylinie wsiadają do nocnego ekspresu. „Do Krakowa, żebyśmy mieli kran, bo stamtąd nad Bałtyk jest jeszcze dość daleko. Od Krakowa będziemy jak włóczędzy”, planuje wcześniej Štrpka w liście do Laučíka. Drogę do Krakowa przegadują, a rozmowa tak uwrażliwia ich na świat, że już z peronu widzą „Polskę kruchą, przewiewną i plastyczną; dziś powiedzielibyśmy – elastyczną”.

W Krakowie poznają dwie Polki, co trochę opóźnia start w dalszą drogę, ale nie wpływa na dalekosiężne plany. Kolejnym przystankiem jest Warszawa, wjeżdżają na taras widokowy Pałacu Kultury i Nauki, który nie ma jeszcze przecież nawet dziesięciu lat. „Krzyczeliśmy tam na wietrze i wszędzie, jak okiem sięgnąć, była Polska”. Później idą do zoo, gdzie znów wpadają w zachwyt. Długo stoją przy basenie z fokami: „Piękno błyszczących ciał! Ach, Polska, kraj, który potrafi utrzymać przy życiu te delikatne stworzenia, karmiąc je śledziami bałtyckimi z dodatkiem witamin!”. Po paru dniach, przez Płońsk, Malbork i Elbląg docierają do Gdańska, gdzie widzą port. Znajdują jeszcze kilka zaskórniaków i wsiadają na statek wycieczkowy do Helu. Na łajbie dochodzi do wiekopomnego odkrycia: „Przepłynęliśmy zatokę, kolor wody zaczął się zmieniać, zalała nas fala. Morze było mokre”.

Wreszcie są na mecie i mogą zrobić to, po co tu przyjechali. Rytualnej kąpieli w Bałtyku towarzyszy euforia: „Panie Boże, Hel! Ta mierzeja, jej wschodni kraniec z latarnią morską! Pobiegliśmy przez wysoką trawę do otwartego morza i rzuciliśmy się wprost do wody. Štrpka chodził po piasku dostojnie niczym ibis, ale gdy zobaczył, że toniemy, zaczął nas ratować – przeprowadził nas przez wodorosty. Prawda jest taka, że po tej kąpieli trochę zamilkliśmy. Przed nami znajdowała się jeszcze jedna autostrada, absolutna, biorąc pod uwagę ziemskie możliwości. Czuliśmy jej puls, czuliśmy się nawzajem”. ↦



Przy dobrej pogodzie z latarni morskiej Sõrve na południu estońskiej Saremy można dostrzec brzeg Łotwy



Linia brzegowa Estonii to w dużej mierze płytkie zatoczki z szybko nagrzewającą się latem wodą, które przywodzą na myśl Mazury

Pułapka horyzontu

↦ A gdyby tak wziąć przykład z braci Czechów albo Słowaków i zamiast na gorące południe zwrócić się w stronę północy? Jako dziecko niemal każde lato spędzałem na bałtyckiej plaży – Jastarnia, Jurata, Władysławowo albo Rowy – a w mojej głowie rodziły się pytania. Czym jest horyzont? Co znajduje się za nim? Szwecja, mówili mi rodzice, ale była to odpowiedź pozbawiona jakiejkolwiek treści. Ze Szwecji znałem tylko paru przeciętnych piłkarzy, bo akurat trwało piłkarskie Euro 1992. Tamten widnokrąg mógł być równie dobrze horyzontem zdarzeń – sferą, która otacza czarną dziurę, i której zdaniem astronomów nie jest w stanie przekroczyć ani jeden foton.

Nie wiedziałem wtedy, że podobny dialog prowadził ze swoją córką Elisabeth Tomasz Mann, pisarz po uszy zakochany w Bałtyku. Podobno gdy pierwszy raz zobaczyła morze z brzegu wyspy Hiddensee, nie potrzebowała słów, by zrozumieć ojca. Jednocześnie natychmiast ogarnęła ją ta sama ciekawość. Tato, a co jest dalej? Tam, gdzie nie sięga wzrok? Horyzont, wyjaśnił tata. A za nim? Co znajduje się za horyzontem, dopytywała. Horyzont, jeszcze więcej horyzontu! Im dłużej wiosłujesz, tym dalej przed tobą ucieka, tłumaczył Mann. Aż wreszcie widzisz przed sobą ląd. Wtedy horyzont znika. Ale wystarczy się odwrócić i znowu go zobaczysz. Tym razem będzie za twoimi plecami.

Geografia jest bardziej jednoznaczna niż dywagacje na temat optycznego złudzenia. Z polskiego wybrzeża mamy o wiele bliżej do Szwecji niż choćby tylko do Mikulova. Musiało minąć kilka dekad, by na bazie szczenięcych dociekań w mojej głowie zrodziło się postanowienie: sprawdzę, co jest po drugiej stronie. Podróżom wokół swojskiego morza poświęciłem ponad sześć lat, a owocem tej drogi jest książka „Faronauci. Dookoła Bałtyku". Skoro tak odkrywcza staje się dla nas perspektywa Czechów i Słowaków, to jak widzą nasze wspólne morze Litwini? Łotysze i Estończycy? A Rosjanie, Finowie, Szwedzi albo Duńczycy? No i Niemcy? Bo przecież nie ma wśród nas wszystkich zgody nawet co do nazwy akwenu, którego brzegi gromadnie obsiedliśmy.

Według Niemców zwie się on *Ostsee*, Morze Wschodnie. Estończycy mówią *Läänemeri*, Morze Zachodnie. Z kolei Finom wszystko się pomieszało: nazwa *Itämeri* wskazuje na wschód, choć z perspektywy linii brzegowej Finlandii Bałtyk leży na północy, zachodzie i południu. Ale że na wschodzie?

W sedno trafił więc szwedzki poeta Tomas Tranströmer, który bodaj najsłynniejszy ze swoich tomików zatytułował po prostu „Morza Bałtyckie". Bałtyk jako multiwersum.

Ulotne drogi

Najmłodsze morze świata jest jednym z niewielu, które da się okrążyć. Ze wszystkich stron otacza je ląd, a tam, gdzie go brakuje, wybudowano mosty. Taka trasa ma ponad pięć tysięcy kilometrów długości, a jej pokonanie samochodem zajęłoby kilka dni. Jako morze śródlądowe Bałtyk przypomina jezioro, bo parokrotnie nim był. Jego status uzależniony jest od kilku duńskich cieśnin, które zapewniają styczność z Morzem Północnym i Atlantykiem.

Powstał kilkanaście tysięcy lat temu jako jezioro lodowe, wskutek topnienia wycofującego się lądolodu. Potem jego wody przelały się do oceanu. Następnie to połączenie odciął podnoszący się ląd. Gdy poziomy wód ustabilizowały się, akwen jeszcze raz zbratał się z Atlantykiem. Gdybyśmy jakimś cudem mieli mapy sprzed pięciu tysięcy lat, zobaczylibyśmy linię brzegową zbliżoną do współczesnej.

Znajomy ornitolog zażartował kiedyś, że nawet dziś Bałtyk nie jest prawdziwym morzem. Opowiadał o mewach, które jednoznacznie kojarzymy z morzami, a przecież są one co najwyżej ptakami przybrzeżnymi, a nie pelagicznymi. W Polsce żyje ponad 20 gatunków mew, tłumaczył. W oblanej ze wszystkich stron oceanami Nowej Zelandii występują tylko trzy. Ale zamiast nich mają tam rurkonose, czyli np. albatrosy i burzyki, ptaki faktycznie morskie, bo ich dzioby są wyposażone w specjalne kanaliki służące do odprowadzania nadmiaru soli.

Można powiedzieć, że to właśnie sól – albo jej brak – definiuje dziś materialność Bałtyku. Sporadyczne wlewy słonej wody z Morza Północnego bronią jego statusu. Dawniej dochodziło do nich raz na kilka lat, obecnie – co dekadę lub kilkanaście lat. W efekcie jego północna część – Zatoka Botnicka oddzielająca Szwecję od Finlandii – jest niemal słodkowodna, a zimą zamarza jak pierwsze z brzegu mazurskie jezioro. Gdy nadchodzi grudzień, Finowie wytyczają na lodach północy efemeryczne drogi, zwane *jäätie*. Obowiązuje na nich normalny kodeks drogowy: ruch jest prawostronny, trzeba pilnować ograniczenia prędkości. Piratom grożą mandaty, za prowadzenie po alkoholu można stracić prawo jazdy. W podobny sposób między wyspami podróżują wtedy Estończycy.

Góry rosną

Estonia to zresztą dobre miejsce na pierwsze bałtyckie odkrycia. Najlepiej wybrać się tam latem. Zatoki są płytkie i pozbawione fal, a czerwcowe słońce tak uparte, że szybko nagrzewa wodę. Człowiek wchodzi do morza na długie godziny i zastanawia się, jak to możliwe, że kilkaset kilometrów dalej na południowy zachód, w Mielnie albo Świnoujściu, wciąż ma ono tylko 16 stopni.

Ale to, jak zmienną przestrzenią jest nasza najbliższa okolica, można też poczuć w skali geologicznej. W północnej Szwecji ruchy skorupy ziemskiej są widoczne niemal jak na dłoni. Ostatnia epoka glacjalna zakończyła się mniej więcej 10 tys. lat temu – w geologicznej skali czasu ledwie wczoraj. Lodowiec skandynawski, którego źródłem były obfite w opady tereny górskie, miejscami miał nawet trzy kilometry grubości. Gdy zwalił swoje podbrzusze na bezbronny kontynent, skorupa ziemska ugięła się pod jego ciężarem tak samo, jak to robi materac, gdy się na nim kładziemy.

Ale człowiek z czasem wstaje z łóżka, a materac, na którym leżał, zaczyna odzyskiwać pierwotny kształt. Gdy to samo dzieje się ze skorupą ziemską, mówimy o odbiciu izostatycznym. Części składowe litosfery dążą do stanu równowagi, a proces ten ma zróżnicowane tempo: początkowo przebiega bardzo szybko, a potem zwalnia. Szacuje się, że 10 tys. lat temu Höga Kusten, czyli Wysokie Wybrzeże Szwecji – to sześć godzin jazdy na północ ze Sztokholmu – rosło w tempie 10 centymetrów rocznie. Dziś podnosi się trochę wolniej, ale niecały centymetr na rok to wciąż wartość, którą trzeba brać pod uwagę choćby przy budowie mostów.

Wędrując przez krajobraz, w którym góry wyrastają wprost z Bałtyku – bo toponim „Wysokie Wybrzeże" wcale nie jest marketingową ściemą – w środku sosnowego lasu natknąłem się któregoś razu na opuszczoną przyczepę kempingową. Wśród pozostałości po właścicielu znalazłem gazetę datowaną na październik 2001 r. Lektura takich archiwów to zawsze przygoda, ale tym razem moją uwagę zwróciła sama metryka. Bo przecież skoro Höga Kusten podnosi się w tempie 8 milimetrów na rok, to od chwili publikacji numeru dziennika, który miałem przed nosem, region dźwignął się o dobrych 17 centymetrów. W tym samym czasie ja, czterdziestolatek ze skłonnością do garbienia się, nie urosłem wcale.

Co zrobić z taką wiedzą? Jak przetworzyć informację o procesie geologicznym, który ilościowo da się zestawić z tempem wzrostu paznokcia na ludzkiej stopie? Albo jak pogodzić się z brakiem sensownej odpowiedzi na pytanie, dlaczego do Bałtyku wpływają czasem wieloryby, skoro ich wędrówka niemal na pewno zakończy się śmiercią? Przekonujemy się o tym niemal co roku. Ostatnio, gdy Niemcy na siłę próbowali odholować na głębsze wody humbaka, który utknął na mieliźnie u ich wybrzeży. Bijemy się wówczas z myślami, nie wiedząc, co począć z faktem, że świat zupełnie nie przystaje do naszych wyobrażeń.

Wyspy Palmowe

To wszystko może człowieka przerastać, i chyba dlatego wolimy myśleć o przestrzeniach, w których żyjemy, jak o fantazmatach. Niczym bohaterowie prac mistrza niemieckiego romantyzmu, Caspara Davida Friedricha, patrzeć na zaaranżowane przez naszą kulturę oswojone i zrozumiałe kadry. Wyglądać przez okna, które otworzył dla nas ktoś inny. Czujemy się wtedy bezpieczniej, bo wszystko staje się przewidywalne. Owszem, ryba na deptaku we Władysławowie ocieka olejem i kosztuje majątek, ale to nasza ryba i zawsze ją jedliśmy.

Jednym z ulubionym plenerów Friedricha była wyspa Rugia. Przenosząc tamtejsze pejzaże na płótno, łączył wiele rzeczywistych widoków w jeden, dokładnie taki, jaki był mu w danym momencie potrzebny. Inspirował publiczność wyspiarskimi krajobrazami i tym samym przyczyniał się do rozwoju turystyki na Rugii. Sam traktował ją jako azyl, podobnie malowane przez niego postaci, których myśli dryfowały w kierunku fal. Morze nie kojarzyło im się z fizyczną pracą, bo i nam dawno przestało się w ten sposób kojarzyć.

Australijski antropolog Michael Taussig dowodzi, że morza, jako przestrzenie fizyczne i dotykalne, przez wieki zajmowały w historii człowieka centralne miejsce. Ekonomiczna geografia metropolii opierała się na portach. Siatka połączeń morskich łączyła społeczności tak samo jak krwiobieg oplata poszczególne organy w ciele człowieka. Według Taussiga punkt zwrotny w naszej relacji z morzami nadszedł wraz z narodzinami kapitalizmu. Rozrastające się porty wyniosły się z miast; zarówno one, jak i statki obsługiwane były przez coraz skromniejsze załogi. Mniej ludzi wiązało się zawodowo z eksploatacją morza, została ona zmechanizowana i zautomatyzowana. Umarł zawód latarnika w jego dawnym rozumieniu.

Materialność morza zniknęła nam sprzed oczu, bo stało się ono częścią niewidzialnej ekonomii. Nie kojarzy się już z ciężką pracą, ale z relaksem. Ten trend widać choćby w cenach nieruchomości stawianych w bezpośrednim sąsiedztwie plaż. Współcześnie, gdy linia brzegowa morza nie jest w stanie pomieścić wszystkich chętnych, to nie człowiek dopasowuje się do przestrzeni – zamiast tego przebudowywane jest wybrzeże. Przykładem niech będą Wyspy Palmowe, sztuczne lądy budowane przez Dubajczyków na wodach Zatoki Perskiej. Albo puchnące na wsypywanym do Zatoki Puckiej gruzie kempingi w Chałupach. Wszystko po to, by każdy chętny mógł sobie pozwolić na mieszkanie z widokiem na morze.

I gdy to się dzieje, zamiast próbować zrozumieć, czym jest miejsce, w którym żyjemy, ruszamy w jakieś inne.

■■■

A Słowacy? Ku swojemu zaskoczeniu, wieloletnią podróż dookoła Bałtyku zakończyłem w Bratysławie. Ivan Štrpka, jeden z dwóch żyjących jeszcze Samotnych Biegaczy, łatwo dał się namówić na wspomnienia. Opowiadał m.in. o grupie harcerzy, na którą jako dwudziestolatkowie natknęli się w Gdańsku. Ubrana w mundurki młodzież z dumą śpiewała coś o morzu. „Wyglądali, jakby robili to z potrzeby serca. Jakby nikt im nie kazał tak stać i śpiewać. W refrenie cały czas powtarzało się morze. Co to mogła być za piosenka?", pytał mnie słowacki poeta. Od razu zrozumiałem, że chodzi mu o słowa, który znało wtedy na pamięć każde polskie dziecko: „Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec".

© ADAM ROBIŃSKI



Nakładem Wydawnictwa Czarne ukazuje się właśnie książka Adama Robińskiego „Faronauci. Dookoła Bałtyku".

TOMASZ

Stawiszyński:
Większa rama



Ożywiona dyskusja, jaka rozgorzała już kilkanaście minut po publikacji „Magnifica humanitas", pierwszej encykliki Leona XIV – nie tylko wśród wierzących, lecz także i tych, którzy od wiary trzymają się na dystans – dowodzi, jak bardzo potrzebna jest dziś refleksja, która dotyka spraw głębszych niż tylko pragmatyka i organizacja.

W jaki sposób praktycznie stosować sztuczną inteligencję, jak rozwiązywać problemy, które ona generuje, jak wdrażać ją w różnych miejscach życia społecznego – to oczywiście sprawy istotne i nieustannie omawiane. Zarówno przez przedstawicieli cyfrowego biznesu, jak i polityków, dwie grupy żywotnie zainteresowane realiami funkcjonowania najnowocześniejszych technologii, w tym AI. Jednak widmo depersonalizacji, które pod postacią wielkich modeli językowych krąży nad światem, nie redukuje się do zestawu praktycznych zagadnień. Najważniejsza gra toczy się przecież o wartości, którymi chcemy i powinniśmy się kierować, a także o coś mniej uchwytnego: jakąś ogólną wizję, ramę, poprzez którą i dzięki której rzeczywistość przestaje się jawić jako chaotyczny rój zdarzeń i zjawisk – niezrozumiałych procesów wiodących nie wiadomo dokąd, a staje się mniej lub bardziej zintegrowaną całością. Z rozpoznawalnymi wektorami, punktami odniesienia, hierarchią celów i ideałów.

Filozofia dawno przestała taką ramą operować, uznawszy – nie bez istotnych racji, naturalnie – że wszelkie próby jej budowania skazane są na niepowodzenie. Świat nam się wciąż wymyka, język, którym próbujemy go opisywać, notorycznie zwodzi i uwodzi, tężeje w nieuzasadnionej pewności i generuje fatamorgany. Jednym słowem, każda taka rama to w mniejszym lub większym stopniu artefakt. Co więcej, można tych artefaktów wytworzyć ile się chce, brak tu bowiem jednolitych kryteriów weryfikacji. Nie pozostaje więc nic innego niż kapitulacja – uznanie, że nie da się odnaleźć żadnego głębszego sensu, a w związku z tym należy zadowolić się co najwyżej sensami cząstkowymi.

Między innymi dlatego, jak się zdaje, filozofia stała się w ostatnich dekadach dziedziną w ogromnym stopniu samozwrotną, zajętą drobiazgowym roztrząsaniem własnych paradoksów i niemożliwości, oddalającą się coraz bardziej od doświadczenia na rzecz hermetycznej spekulacji. A do tego przekonaną o własnej bezradności wobec fundamentalnych zagadek, którymi przez wieki efektywnie się zajmowała: istnienia i nieistnienia, dobra i zła, życia i śmierci, miłości i nienawiści, przemijania i straty.

Tymczasem jesteśmy dziś świadkami i podmiotami radykalnych przemian w obszarze technologii i antropologii, w obszarze fundamentalnych przekonań dotyczących człowieka, jego natury, ograniczeń i możliwości. W tej zmieniającej się, zarządzanej przez wielki kapitał i polityków rzeczywistości Kościół katolicki – niezależnie od tego, jak całościowo go oceniamy, niezależnie od tego, czy wierzymy, czy nie wierzymy w głoszone przezeń przesłanie – pozostaje w zasadzie jedyną instytucją względnie niezależną zarówno od wielkiego kapitału, jak polityków; zarówno od międzynarodowych korporacji, jak i od partyjnych konsorcjów. Owszem, jego historia jest historią różnorakich zależności od tych potęg, niekiedy katastrofalnych w skutkach, niemniej, żeby w zależności popaść, trzeba być najpierw osobnym bytem. Watykan wciąż dysponuje tą autonomią – nie tylko na poziomie instytucjonalnym, lecz także na poziomie, by tak rzec, niewidzialnych punktów odniesienia, trosk ostatecznych, najwyższych celów.

Funkcjonując w realiach kapitalizmu, Kościół – jeśli chce przetrwać – musi oczywiście stosować techniki marketingowe. Musi zabiegać o wiernych, bo bez nich jego znaczenie i pozycja będą słabnąć. Niemniej optyka tej instytucji – przynajmniej nominalnie nakierowana na sprawy życia i śmierci, dobra i zła, zbawienia i zatracenia – różni się zasadniczo od optyki wielkiego kapitału i sił politycznych. Przy coraz dalej idącej komercjalizacji, „uporadnikowieniu" rozmaitych alternatywnych wobec chrześcijaństwa nurtów duchowych czy popterapeutycznych, katolicyzm, ze swoją zinstytucjonalizowaną suwerennością wobec korporacji i partii, pozostaje sferą, w której obowiązują po prostu inne reguły niż w dwóch pozostałych. Kładzie także nacisk na aspekt moralny (mierząc się wprawdzie z demoralizacją we własnych szeregach i przez to kryzysem wizerunkowym), co szczególnie istotne w kontekście systemowego zastępowania języka etyki językiem terapii oraz rozprzestrzeniania się ideologicznego hipermoralizmu, który nie służy bynajmniej rozeznawaniu co dobre, a co złe, lecz usprawiedliwianiu przemocy i poczucia wyższości wobec innych.

I właśnie m.in. dlatego głos Leona XIV dotyczący sztucznej inteligencji – ale nie tylko, w „Magnifica humanitas" mowa też o innych kwestiach – jest tak donośny. I właśnie m.in. dlatego jest też potrzebny. W tym tekście papież – odwołując się zresztą tyleż do bogatej tradycji teologicznej czy biblijnej, co do... „Władcy pierścieni" – nie tylko prezentuje stanowisko etyczne dotyczące technologii i wielkiego biznesu, ale i umieszcza to, co się teraz dzieje, wewnątrz, no właśnie, tej większej ramy, o której wcześniej wspominałem.

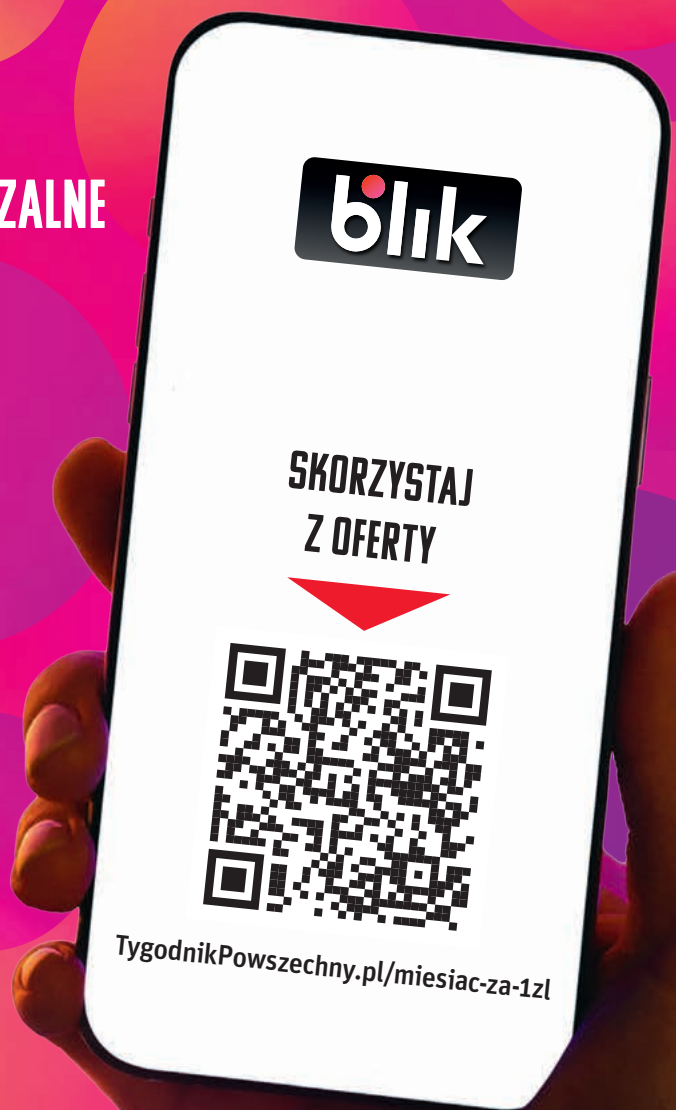
Czy jego głos realnie wpłynie na kierunek rozwoju tych technologii, czy wpłynie na sposób, w jaki będziemy sobie z nimi poczynać? Miejmy nadzieję, że tak. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚĆI POWTARZALNE
BLIK



Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Erste Bank Polska S.A., ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Albatros travel

Gruzja
– klejnot w koronie Kaukazu

Odkryj to, co najlepsze na Kaukazie: zachwycającą przyrodę, wspaniałe zabytki kulturalne i fantastyczną gruzińską kuchnię oraz wina.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Tbilisi. **Dz. 2** Tbilisi. Przyjazd i zwiedzanie miasta, w tym Stare Miasto, Kościół Metekhi, Twierdza Narikhala i Plac Wolności. **Dz. 3** Tbilisi – Signaghi – Sagarejo – Tbilisi. Górskie wioski, degustacja wina i gruziński obiad. **Dz. 4** Tbilisi – Mccheta – Gudauri. Lokalny targ, Katedra Sweti Cchoweli i Góry Kaukaskie. **Dz. 5** Gudauri – Kazbegi – Gudauri. Imponująca natura, Kościół Świętej Trójcy i łatwe wędrówki. **Dz. 6** Gudauri – Gori – Uplisciche – Kutaisi. Muzeum Stalina i starożytne miasto Uplisciche. **Dz. 7** Kutaisi – Tskaltubo – Prometheus – Batumi. Sanatoria w Tskaltubo i imponujące Jaskinie Prometeusza. **Dz. 8** Batumi. Zwiedzanie miasta, czas wolny i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Batumi – Warszawa.

9 dni | Wylot z Warszawy 21/09 2026 | od **6.998,-**

NOWOŚĆ

Romantyczna Anglia – zamki, legendy i malownicze pejzaże

Zobacz największe atrakcje Anglii, od królewskiego Windsoru i malowniczych wiosek Barnaby'ego po miejsce urodzenia Churchilla i zagadkowe kamienie Avebury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. **Dz. 2** Zwiedzanie Windsoru wraz z rezydencją królów angielskich. **Dz. 3** Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. **Dz. 4** Angielski urok Bibury i pałac Blenheim. **Dz. 5** Rzymskie miasto Bath. **Dz. 6** Avebury, Salisbury i Bournemouth. **Dz. 7** Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 26/08 2026 | od **6.998,-**

Tajlandia – zwiedzanie i plażowanie

Oto wyprawa, podczas której zobaczysz Bangkok, przepłyniesz rzeką Kwai, spędzisz noc w tropikach i dotrzesz na plażę marzeń.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Bangkoku. **Dz. 3** Bangkok. Rejs po kanałach (po tajsku Klong) ze zwiedzaniem świątyni Wat Pak Nami, targu kwiatowego świątyni Wat Pho. **Dz. 4** Bangkok – Targ na torach – rzeka Kwai, przejazd Koleją Śmierci. **Dz. 5** Rzeka Kwai. Rejs do Parku Narodowego Sai Yok. **Dz. 6** Rzeka Kwai – Ayutthaya. **Dz. 7** Ayutthaya – Chanthaburi. Plantacja pieprzu i zwiedzanie miasta. **Dz. 8** Chanthaburi – Koh Chang. Las namorzynowy, podróż wzdłuż wybrzeża i prom na wyspę Koh Chang. **Dz. 9–14** Odpoczynek na Koh Chang. **Dz. 15** Koh Chang – wylot do Polski. **Dz. 16** Przylot do Polski.

16 dni | Wyloty z Warszawy 25/10 2026, 28/01 2027 | od **9.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP11**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe